

Maria Rodziewiczówna

Hrywda

Wydawnictwo Polskie Lwów-Poznań

Równina śniegiem jednolicie spojona, niby karta biała. Z czterech stron ciemną ramą bory ją objęły. Zza borów wschodziło słońce, za bory zapadało, a na karcie tej białej z bardzo wysoka -- z nieba -- widać było wypisaną nazwę i historię równiny.

Charaktery pisma różne były. W środku, niby runami odwiecznymi z kroniki przedhistorycznej, kreśliły się dwa wiersze, długie, gęsto zbite, ze starości koślawe -- dwa szeregi chat dymnych i niskich, rozdzielonych ulicą.

Nie było jeszcze historii i prawa, wiary i nauki, a one dwa wiersze już stały wypisane i coraz trudniej ludziom nowym treść ich wyczytać.

A potem przyszła władza i rzuciła opodal swą pieczęć: dwór z cegły i kamienia, a na tej -- z bardzo wysoka, z nieba -- czytać było można łacińskim duchem i głoskami: „Domini sum!”

A potem przyszła religia i na równinie wśród borów postawiła swój dom, naznaczyła go krzyżem, a z bardzo wysoka -- z nieba -- dom ten i krzyż miały kształty zgłoski starosłowiańskiej.

A potem przyszło prawo i młodą, świeżą pieczęć położyło na równinie, dla każdego czytelną i zrozumiałą.

Dom sądu i prawa nowy był, biały, dla każdego otwarty, miał opodal jako zakończenie szkołę, jako wstęp domostwo wielkie i obdarte, z podjazdem na słupach.

Z bardzo wysoka -- z nieba -- te trzy plamy, niby zgłoski trzy, kreśliły wyraz wielki, ale tajemniczy. A historia tymczasem pisała i pisała, zbierała dokumenty dziejów równiny i księga jej czerniała wśród bieli i płaszczyzny pól -- ostatni już z owych znaków: sosnami i jodłowcem okryte wzgórze piaszczyste, gdzie pokolenia po pokoleniach się kładły, synowie na łonach ojców, dzieci u boku matek, i dokumenty swych dziejów i życia, jako niepiśmienni znaczyli krzyżykiem, który opadał i nikł -- jak pamięć po nich!...

Tak tedy te dwa wiersze runów i te sześć plam, które z bardzo wysoka -- z nieba -- miały wyraźne kształty, zapełniły równinę. Bory oddziały ją od reszty świata, a nad nią wisało niebo, zwykle siwe, krótko błękitne, i wisała cisza, spokój, smutek.

Kto by okolicę tę mijał, ten mógł się jej nazwy dowiedzieć z drogowskazu, co sterczał na rozstaju wśród wsi.

Stało tam: „Sioło Hrywda”. A w cztery strony rozchodziły się drogi: na północ do Zapрудy -- na wschód do Błotnian -- na południe do Kończyć -- na zachód do Zamoroczenia. Gdzieś u kresów tych dróg były miasta, żelazne koleje, cywilizacja, wiedza, ale z Hrywdy było tam bardzo daleko!...

Styczeń

Nie było jeszcze dnia, ale już noc dobiegała końca, noc styczniowa, mroźna, dzika, tak ponura, że patrząc na niebo i ziemię, zdawało się to niemożliwym, że przecie kiedyś będzie wiosna.

Nigdzie ruchu, nigdzie drżenia, nigdzie życia. Wieś zdawała się zamarzła i skostniała na śmierć. Przez zamurowane mrozem okienka nie świecił nigdzie płomień ognia, psy nawet nie odzywały się, ani bydło nie ruszało w chlewach. W tej ciszy i martwocie skrzyp pierwszych drzwi rozległ się donośnie.

Jęczały bo okropnie te drzwi na drewnianych zawiasach i z drewnianym skoblem, tak niskie, a z tak wysokim progiem, że wychodzący wypełził zza nich, jak z nory, wpół zgięty, na podwórze.

Chata była jak wszystkie: stara, bez komina, boczną ścianą zwrócona ku ulicy, frontem do podwórza.

Od ulicy miała płot i ogródek, gdzie sterczała grusza wpółdzika i bezlistna, słomianym powrośłem, gwoli rodzajności, opasana; od frontu miała też ogródek wążutki, graniczący z sąsiednią zagrodą; w głębi podwórza stodółkę i chlewy.

Chata była tak do innych podobna, że trzeba było w niej się urodzić, by nie zbłądzić, nie trafić do wrót sąsiada; trzeba było ją własnymi rękami postawić, by ją wśród stu rozpoznać.

Skrzypnęły tedy drzwi i na podwórze wyszedł chłop. Wysoki był, barczysty, ale oprócz mięśni i skóry nic nie miał na grubych kościach, a na ciele jego od pracy pełno było guzów i wypukłości. Wszedł, jak wstał z ławy i ze snu: w koszuli grubej i przedymionej, rozpiętej na piersi, którą zdobił krzyżyk mosiężny -- w parciany spodniach i bosi.

Mróz, który zabijał całą naturę, oślizgiwał się po nim, jak po bryle kruszcu.

Bosi, z obnażoną piersią i odkrytą głową, nie czuł zimna. Odwrócił oczy w stronę, skąd słońce miało przyjść, i chwilę cucił się ze snu krótkiego, a ciężkiego.

Młody był -- złotawy blondyn. Złotawe były włosy nadzwyczaj bujne i długie, rzadko, a może nigdy nie czesane -- złotawy, mizerny zarost na policzkach, złotawe oczy, zawsze, z nawyknięcia do słońca -- zmrużone.

Twarz była ciemnej barwy, o wydatnych szczękach i policzkowych kościach, z trochę bezmyślnym, trochę dobrotliwym wyrazem. Czoło niskie mało miewało myśli, oczy żadnego blasku, usta rzadko znały uśmiechy i słowa.

Na skrzyp drzwi, gdzieś z głębi podwórka, zjawił się stróż nocny: pstrokaty, szpetny kundel, i trącił chłopa w rękę, dając wiedzieć, że, jeśli drzemał, to bardzo lekko, i że gotów do wszelkich usług.

Chłopa rozbudziło to do reszty. Obejrzał się i psa machinalnie pogładził.

-- Idź, nagrzej się, Łyska! -- mruknął, wpuszczając go do chaty, a sam drzwi zawarł i poszedł na gumno.

Otworzył jeden chlew: klacz gniada, grubo--płaska, i źrebak dwulatek powitały go rzeniem, w głębi, zabczały owce. Otworzył drugi chlew: woły podniosły się powoli i, pyski ku niemu zwracając, wyglądały jadła; obok krowa i byczki niedorostki wyciągały szyje i szorstkie języki, wołając jeść.

Obejrzał każdą sztukę i wiśniowego „podręcznego” po lśniącej sierści pogładził; ale gdy faworyt za nim na podwórze się napierał, pięścią go w brzuch uderzył i odpędził:

-- Bodaj cię wilki popruły! -- burknął, zamykając wrota.

Od obór poszedł ku stodołę. Znowu zajęczały wierzeje. Stodółka prawie pusta była. Cep stał o ścianę oparty, na toku wczorajszy omłot leżał; w kącie pierwotny warsztat do sieczki; gdzieś w głębi beczki z nasieniem wiosennym i reszta chleba.

Chłop się obejrzał i zamyślił markotnie.

Wtem od chaty głos się podniósł, kaszlący i zgryźliwy.

-- Kalenik, a nu, Kalenik!

-- Aha! -- odparł chłop, wracając na podwórze.

-- Chodź do chaty, a żywo!

Poszedł, ale nie żywo, rozglądając się na prawo i lewo. Już z kominów szły dymy, już błyskały okienka, już skrzypiały żurawie studzienne, i już tam, skąd słońce przyjsć miało, czyniła się jasność.

Zbudziła się wieś -- zbudziło się słońce.

Kalenik wszedł do chaty, do sieni raczej, zajmującej środek budynku.

Sień nie miała podłogi i pułapu, panował w niej zaduch kwaszonej kapusty i buraków, stały żarna, leżały pod ścianą kartofle, wisiały po ścianach pęki suszonych liści pod chleb, obręcze, szmaty najgorsze; w kącie zrobiono zagrodę dla owiec kotnych.

Kalenik otworzył drzwi na lewo i znalazł się w izbie. Tam powietrze było jeszcze cięższe, przesiąknięte dymem, kwasem dzieży, tytoniem domorosłym i oddechami kilkorga ludzi. Tu spali wszyscy: gospodarze chatni, Kalenik, i troje dzieci; tu mieściły się też kury, czworo małych prosiąt i miliony robactwa.

Już wszyscy byli na nogach. Gospodyni, kobieta niestara, krzykliwa i brudna, stała przy piecu i nastawiała garnek z wodą na zacierkę; dzieci rozczochrane i senne wyglądały bezmyślnie śniadania; gospodarz, chłop jeszcze w sile wieku, ale wątły i blady, mył się, to jest nabierał do ust wody, wylewał ją stamtąd na ręce, którymi wodził następnie po twarzy, mrużąc przy tym pacierze.

Prosiaki wrzaskliwie dopominały się posiłku; kury spod pieca rozchodziły się po izbie, gdacząc, a robactwo ze wszech szczelin i kątów biegło na ogień, zazieralo do statków z resztkami wczorajszej wieczery.

-- Mróz gwoździ, jak na Mikołę! -- rzekł Kalenik. -- Siana ani kłapcia. Trzeba w ostrowy dzisiaj jechać. Wyjmijcie, diad'ku, (stryju) pieniądze! Pośniadam, taj ruszę. Jedzie Syluków Kalistrat, jedzie od Żurawia Iwan: razem szmat drogi zrobimy.

-- Po drwa trzeba jechać! -- wrzasnęła gospodyni. -- Obiadu wam nie zgotuję.

-- Trzeba wziąć w lesie pańskim! -- zdecydował stary, ocierając twarz i ręce połą świty i siadając na ławie. -- Ty lżejszy, Kalenik, skoczysz wołami do lasu i schwycisz furę gałęzi; ja cięższy, pojedę z pieniędzmi po siano. Ciebie Żydy oszmania (oszukają).

Parobek podczas tej rozmowy ubierał się. Z ławy, gdzie spał, wziął świtę, jedyne swe posłanie, i począł oplątywać nogi szmatami. Potem wsunął na nie lipowe łapcie i misternie zasnurował. Na zakończenie stroju opasał się czerwoną krajką, wsunął za koszulę woreczek z tytoniem, fajkę, i był gotów.

Na dyspozycję stryja obejrzał się.

-- Dacie pieniędzy na drwa? -- spytał. -- Fura dwa złote.

-- Nie dam. Albo ja taki głupi!

-- To ja bez pieniędzy nie pojedę. Boh me! (Dalibóg). Truś ja do kradzieży. Raz spróbował -- złapali; zaklął się drugi raz nie robić. Boję się, nie chcę!

-- Durny ty! Albo to las sieją, orzą, rzną? Albo to pan sadił? Wyrosło darmo!

Ale Kalenik głową potrząsnął.

-- Boh me, nie pojedę! -- powtórzył uparcie. -- Wy, diad'ku, do tego sprytny, ja nie. Mnie, ani chybi, strażnik złapie.

Stary przyjął to jako pochlebstwo. Oczy i usta przybrały wyraz pogodnego szyderstwa i triumfu. Ruda głowa, twarz o wstrętnych rysach miała pozór złośliwej małpy.

-- Oj, sprytny ja, sprytny! Ale też nie senny i nie hultaj. Za młodu tom nigdy nocy nie dospał. Były też u mnie woły gładkie, kobyła jak harbuz pękata, drwa suche, a nasiona zagraniczne. A byle lato, ojoj, u mnie bywało korcy kilka gruszek i jabłek w komorze. Pan

przez to nie zginął. Czart pana nigdy nie bierze!

Chłopak wyrostek, blady, z zuchwalstwem i wczesną swawolą w oczach, zbliżył się do stołu i słuchał, ukazując w uśmiechu zawistnym rzadkie, ostre zęby. Był to syn gospodarza, „szkolnik” Kiryk.

Dwoje młodszych dzieci, dziewczynka dziesięcioletnia i młodszy nieco chłopiec, wytrzeszczały także oczy na ojca, oczy już dorosłych i złych ludzi.

Baba śmiała się, wylewając śniadanie w misę.

-- Oj, były to czasy, były! -- mruzczała.

-- I nigdy was, diad'ku, nie złapali? -- zawistnie spytał Kalenik.

-- Nie. Pan mnie do dziś dnia szanuje. Parobek głową pokręcił.

-- Ja truś! -- rzekł.

Szkolnik pogardliwie nań spojrzął i zaśpiewał:

Szedł ja, Hryc
Z wieczornic,
Ciemnej jednej nocy
Siedzi gęś ponad rowem,
Wytrzeszczyła oczy.
A ja do niej: „Hyla, hyla”
Jeszcze lepiej siadła.
Żeby nie kij, nie łomaka (gałąź),
Byłaby mnie zjadła.

Z dowcipu Kiryka zaśmiali się wszyscy. Był przecie uczonym rodziny i chlubą.

Kalenik ramionami ruszył.

-- Ty, wrona! -- burknął niewyraźnie.

Zacierka dymiała na stole. Zasiadli wszyscy do jadła, spożywając je powoli i zagryzając chlebem, który białym ręcznikiem przykryty, leżał zawsze na rogu stołu.

Gospodyni założyła ręce i poczęła biadać.

-- Dolo moja! Co roboty! Nie przedziona połowa lnu, a wełna cała leży. Gdzie ja rady dam na was pięcioro: obszyć, opruć, nakarmić?

-- Ja gadał, że tak będzie, jakeście się uparli Hannę na jesieni wypędzić -- rzekł Kalenik.

-- Już twoja Hanna! Chłopcom z niej korzyść była, a nie mnie. Łajdaczka i hultajka!

-- Taką gębę zimować -- grzech -- dodał gospodarz.

-- Ożenić by Kalenika -- zaproponowała baba. Chłop się oburzył.

-- Zachciało się tobie, wiedźmo, wesele sprawiać? A wieprzak jest? A pszenica na korowaj jest? A pieniądze na wódkę są? Skręciła się!

Kalenik swego zdania nie objawił. Skończył jeść, wstał, na koszulę włożył kozuch, potem dwie świty, podrapał się i fajkę zapalił.

-- Czas mnie jechać. Dajcie, diad'ku, pieniądze na siano! Stary, stękając, marudząc, poszedł do komory i dość długo nie wracał.

Szkolnik tymczasem ruszył do szkółki, dzieci dojadły resztki śniadania, gospodyni rozczyniała chleb w dzieży, wyrzekając na swą dolę.

Kalenik ogromny kawał chleba włożył sobie do torby, za pas zatknął siekierę i krzątał się po sieni, zbierając sznury, widły i grabie.

Słysząc było, że rozmawiał z towarzyszami, którzy wstąpili wywiedzieć się, czy razem ruszą.

Nareszcie stary przyniósł pieniądze.

Zaczęli je liczyć, powoli, mozolnie, rozkładając kupkami na stole. Były tam stare papierki,

srebro, wytarta miedź. Mylili się po sto razy w rachunku.

Gdy doszli wreszcie do porozumienia, parobek te krwawe grosze zgarnął do chustki, związał, i, zachowując tysiączne ostrożności, schował za wszystkie świty i kozuchy, na piersi. Potem razem wyszli do bydła.

Słońce, jak kula czerwona, już wypełzło nad ziemię. Wieś roiała się ludźmi. U studni, przy chacie Kalenika, dziewczyna małaletnia, blada i mizerna, poila dwie pstre krowy. Zsiniałe jej ręce ledwie wyciągały wiadro. Chłopi stanęli, patrząc na to.

-- Rozbij-no mi wiadro, rozbij! -- krzyknął stary. -- Rozbiję ja tobie głowę, ty, Prytulanka!

-- Nie rozbiję -- odparła pokornie.

-- Gładkie Huców krowy, jak myte! -- cmokając językiem, rzekł Kalenik.

-- Co mają być chude? Albo to jego potem karmione, jak nasze, gospodarskie? Pańska pasza, pańskie siano, pańskie plewy, jak i oni wszyscy pańskie sobaki!

Mówił to, gdy z sąsiedniej chaty wyszło czterech ludzi. Wszyscy byli na schwał rośli i zamożnie ubrani. Przodem idący stary był ojcem, tamci trzej, do siebie i do niego podobni, widocznie synowie.

Stary musiał posłyszeć słowa Kalenika, bo się zatrzymał i odparł bez gniewu, spokojnie:

-- My pańskie, a wy czyje sobaki, Sydorze? Potem na Kalenika spojrzął i dodał:

-- Wy, słyszę, po siano ruszacie; szkoda, chciałem was do młócki koniczyny zaprosić.

-- U nas doma dosyć roboty: możemy i was nająć! -- burknął stary niechętnie.

Sąsiad ruszył dalej. Teraz synowie go wyprzedzili na przełaj, wydeptaną ścieżką, skręcili do dworu; on szedł ulicą wioskową i słychać było, jak wołał donośnie:

-- Hej, chłopcy, dziewczęta, kto chce do młóckarni! Żywiej, zbierajcie się! Za mną!

Był to Kornio Huc, gumieny dworski. Jego były te tłuste krowy, dorodni synowie i chata, sąsiadująca z zagrodą Kalenika, chata porządna, z kominem i większymi, niż reszta, oknami. Kalenik ze stryjem zabrali się do roboty. Narządzili sanie, nakarmili bydło.

Teraz na wsi ludzie snuli się tu i tam: do dworu jedni, do lasu drudzy, do karczmy niektórzy. Kobiety rozczochrane i zadymione przebiegały z chaty do chaty, albo krzyczały do siebie przez ulicę. Mężczyźni małowówni i posepni, nie odzywali się do siebie.

Kalenik założył gniadą do sani, usiadł na nich niedbale bokiem, przeżegnał się i wyjechał.

Towarzysze stali już pod karczmą; tam i on zajechał. Wódka była przedmiotem, który mu się uśmiechał, ale, jak każdy chłop nie pijak z profesji, nie lubił pić za swój grosz, a poczęstunku się nie spodziewał, więc nie wstąpił do środka, tylko wołał z podwórza. Z chaty mizernej i małej, stojącej naprzeciw karczmy, wyszła w tej chwili dziewczyna z grabiami na ramieniu.

Wysoka była i zgrabna, świteczkę miała nową, chustkę białą na głowie, na nogach całe trzewiki.

Spod chustki na plecach spadał warkocz złocisto--płowy, nadzwyczaj bujny, zawiązany czerwoną tasiemką. Kalenik popatrzał na nią i pozdrowił.

-- Dzień dobry, Łucysia.

-- Dzień dobry! -- odparła, spuszczać oczy.

-- Do dworu idziesz?

-- Ale do młóckarni.

-- A co dają?

-- Dwudziestkę.

-- Mało. Nie warto robić.

-- Będzie latem drożej -- spokojnie odparła, jak pracownica doświadczonej i cierpliwa.

Minęła go i wtedy zobaczył ten warkocz przepyszny. Spoglądał na to żywe złoto i przyszło mu na myśl, jak to sprawnie, bijąc kogo, obwinąć sobie te włosy około ręki -- i zaśmiał się.

Nie on tego nie spróbuje, ale może Huców najmłodszy, bo i dziewczyna ta była wierną dworską służką, córką starej samotnej kobiety, mieszkającej na pańskiej „pustce” we wsi. Kobieta częśćkę tę odziedziczyła po mężu, który z wojska nigdy nie wrócił. Nazwano ją nawet,

nie męzowskim, ale ojcowskim nazwiskiem: Marianna Makuszanka i na Łucysię wołano: Makuszanka.

Tymczasem chłopci wyszli z karczmy. Ruszył Kalenik przodem, najpierw ulicą, potem traktem ubitym i sianem usłanym. Całą zimę Hrywda woziła tędy siano; pożerało ono cały letni zarobek.

Sanie biegły, jak im się podobało, zataczając się po drodze; ludzie wsuwali ręce w rękawy i nie kierowali końmi; każdy z nich duszę miał pełną troski i żalu po mozolnie zebranych pieniądzech.

Opodal za wsią spotkali starego chłopca. Czarny był, chudy, kościsty. Popatrzył na nich uważnie. Oni przed spojrzeniem tym spuszczały oczy. Każdy go z uszanowaniem pozdrowił, ale też każdy konia popędzał. Stary słowa nie rzekł, tylko dziwnie się uśmiechnął i wzrokiem ich przeprowadził.

-- Kalenik! -- rzekł Iwan Żurawel. -- Widział ty?

-- Nie...

-- Przepadniemy w tej drodze. On nas policzył.

-- Taj co? Lichego mu nic nie zrobili.

-- Zobaczysz. Taki my niecało wrócimy.

Inni, dalsi potakiwali. Człowiek czarny wciąż szedł za nimi i wciąż się uśmiechał złowieszczo.

'Znał on swoją moc nad wsią, znała go też cała okolica. Był to Czyruk Oksenty. Bano się go o tyle, ile poważano pozornie, bo on „wszystko znał”.

Było w Hrywdzie kilkoro ludzi, którzy „coś znali”.

Był „kostopraw” Łuchwyn Chryn, nastawiający zwichnięte lub połamane kości u bydłęcia i u człowieka; był Dymytro Borysiuk, co zamawiał krew; były baby „szeptuchy” od wiatrów i kołtuna; był zamawiacz gadziny Maksym Czmiel; były czarownice, co odbierały mleko; byli znachorzy od złych oczu i uroków.

Ale wszyscy oni niczym byli w porównaniu z potężnym Czyrakiem. Ten znał wszystkie „dwanaście wiatrów”; ten czarował ogień i wodę; ten leczył każdą słabość i narzucał choroby; tego słuchały kamienie i wszystkie żywioły.

Sprowadzał on burze i posuchy, wróżył z włosów, odnajdywał sprawców kradzieży, rzucał i „odczyńiał urok”; do niego ludzie szli i jechali o kilkanaście nawet mil. Imię jego wymawiano z bojaźnią i czcią.

Widywali go ludzie latem, jak pszczoły czarował i szły do niego roje ze wszech stron; widzieli, jak było jego, stracone kiedyś w lecie, wróciło w nocy pędem, jakby je „coś” gnało; pożar, który przed laty wypalił całą Hrywdę, jego tylko chatę ominął, a w tej chacie były stopy pieniędzy i dostatków.

Czyruk w Hrywdzie był arcykapłanem czarnej wiary w siły tajemnicze, był lekarzem, sędzią, panem tej masy ciemnej, a zabobonnej.

Rodzinę jego stanowił jednak syn, parobek głupowaty, nędzny, chorowity. Żyli odludnie na końcu wsi.

-- Stary, oddany swym praktykom znachorskim, nie wglądał w gospodarstwo. Uprawiał rolę i karmił bydło ów syn, Tychon.

Długi czas parobcy jadący po siano rozprawiali o czarnym człowieku. Spotkanie jego wróżyło fatalnie.

Nareszcie wyczerpał się temat, mróz odbierał ochotę do gawędy, skulili się na saniach i umilkli.

Wtem na drodze zaczerniała znowu pieszo idąca postać kobieca. Teraz Kalenik ją z daleka poznał.

Miała na sobie perkalową pstrą spódnicę i taką chustkę. Siermięga jej była obdarta i brudna. Szła prędko, śpiewając półgłosem.

-- Dywy! (patrz) -- zaśmiał się jeden z chłopów -- Ta już od rana się upiła!
-- Kalenik! -- drugi zawołał. -- Toć to wasza Hanna!
-- Kalenik, zbliżywszy się do dziewczyny, kropnął ją biczem przez plecy. Krzyknęła przekleństwo, obejrzała się i zaśmiała bezczelnie.
-- Ot, chłopów szmat! (dużo) -- zawołała. -- Powieźcie mnie!
-- Gdzie się wleciesz? -- spytał brat i klacz zatrzymał nieco. -- Prr! No, siadaj.
-- Nie chcę. Bijesz -- odparła, zerkając na Iwana Żurawia.
-- Siadaj, mówię! -- powtórzył stanowczo Kalenik. Usiadła obok niego i krzyczała, ilekroć sanie zabiegły.
-- Gdzie się wleciesz, szelmo? -- spytał znowu brat.
-- Za służbą do miasteczka.
-- Wypędzili cię z Horska?
-- Iii, zapomniałam kiedy. Już trzy razy zmieniam miejsce. Nudno siedzieć na jednym. W miasteczku weselej.
-- Skąd ty wzięła tę raba spódnice? Pewnie ukradła?
-- O, kawalir dał!
-- Jaki?
-- Bo ja pamiętam który! -- śmiała się cynicznie.
-- Ty, suczko! -- burknął, bat na nią podnosząc. Przelekła zeskoczyła z sanek. Przyjął ją na swoje Iwan Żurawel; potem, szamocząc się z nim, spadła. Przyjął Maksym Syluk i swawolili z sobą wśród ogólnego śmiechu.
Kalenik nawet się nie obejrzał. Słońce, zaledwie się ukazawszy, zgasło i siwe zbite chmury zlały niebo z ziemią. W dal tę parobek oczy swe bezmyślne wlepił i myślał.
Głodny był, niewyspany, zziębnięty, apatyczny na wszystko.
U zawrotu do miasteczka Hanna pożegnała z widocznym żalem towarzystwo. Oni skręcili w prawo w las i ciągnęli dalej, a dalej, aż przed nimi step traw się rozłożył. Teraz był biały i martwy z końca w koniec.
Jak gwiazdy niezliczone czerniały na nim stogi siana. Było to Perechreście, niezmierzone obszary błotnistych łąk, które dzierżawił Żyd, a kosili chłopci okoliczni, za ubodzy na sianokos w domu.
Czworo sań wbiegło w labirynt dróg, kreślących fantastycznie lodem pokrytą powierzchnię błot; trzeba dobrze znać te zygzaki, by nie zabłądzić.
Kalenik prowadził. On to Perechreście znał dobrze. Tu każdego roku, od lat kilkunastu, spędzał dwa miesiące, kosząc, często po pas w wodzie; tu suszył trawę, zbierając na wzgórkach; tu nocował w szałasie, zajadany przez „meszkę” i komary; tu przymierał często głodem; tu co zimy o krwawy owoc swej pracy staczał bój z Żydem i zawsze go przegrywał.
Powoli towarzysze go opuszczali, zdążając na swoje „wytyki”. Nareszcie sam został.
Jego „wytyk” leżał najdalej. Po drodze spotkał obcego chłopca i pozdrowili się, mijając.
„Obcy” był każdy, choćby mieszkał w Zaprudach o pięć wiorst za Hrywdą. Tego Kalenik nie znał nawet. Jedną drogą jadąc, zaczęli rozmawiać:
-- Wy z Hrywdy? Za sianem?
-- Ale!
-- Ja z Zamoroczenia. Przejeżdżał przez Hrywdę! Wielka wieś. Pola dosyć?
-- Jak u kogo: jest dużo, jest mało; bywa i nic.
-- Chleb do nowego wystarcza?
-- Ee, skąd! Połowa wsi kupuje od Ruzdwa (Boże Narodzenie), a reszta od postu.
-- I siano kupujecie?
-- Ni, swoje robimy tutaj, ale „postozne” płacim.
-- Dużo?
-- At, jak do bydła.

-- A wy ile?
-- Sorok rubli z liszka.
-- To wy bogaci w dobytek! Jak was wołają?
-- Kalenik.
-- A przezwisko?
-- Ta różnie! Po „spiskach” to nas piszą Chomicze; u duchownego stoi „Bazyłuki”, a „drażnią” Hubenia!
-- Wy sam gospodarz?
-- Nie diad'ko. Po ojcu ja pastuszkiem się ostał. Diad'ko hodował.
-- A diad'ko bezdzietny?
-- Dzietny! Jest w wojsku najstarszy Zacharko, a w domu troje mniejszych.
-- A wy gospodarz tymczasem?..
-- Ale! Ja orzę i sieję i zbieram. Zimą w zarobki z klaczą jeżdżę. Już pójdzie piętnasty rok, jak pierwszy raz tutaj kosił. Zacharka zabrali, a stary nieduży (niesilny); tak ja sam się sprawiam.
-- Żonaci wy?
-- Nie. Mołodeć! (kawaler).
-- Taki wam pora żenić się!
-- Ta dziwo, że pora. Nijak nie można przybrać się. Co się pieniądze zbiorą, to i rozejdą. Spaliła się chata, drugiego roku wół padł, Zacharka trzeba było oporzędzić, a siano drogo kosztuje. Tak to się odkłada!
-- To źle. Potem was żadna dziewczyna nie zechce.
-- Powietrze na „nich”! A któż „ich” weźmie! Toż tego we wsi, jak gęsi! -- burknął Kalenik.
-- A w „pryjmy” nie chcecie iść?
-- Pryjmaczy chleb -- sobaczy! -- odparł parobek. -- A mnie na co jego kosztować? Jest chata, jest pole! Każda bohaterka (bogaczka) za mnie pójdzie! W chacie baby brakuje. Na jesieni, albo może i na Trójcę, ożenię się. Żać nie ma komu!
Tu popatrzył na nowego znajomego i spytał:
-- A wy gospodarz?
-- Ja Rychor Szerbera, starosta z Zamoroczenia. Do Żyda tutejszego jadę wołu targować.
-- U was siana dosyć?
-- Dosyć u mnie. Drudzy kupują. Ja tylko sól kupuję. Chleb jest i do chleba jest! Pół włóki pola mam!
-- Aa! -- kręcąc głową, wymówił Kalenik zachwycony. U nas wszystkiego cztery zagony. Podzielili się! Kiedyś, mówią, było także pół włóki.
-- My nie dzielili się: splęcili!
-- Na durniów trafili, co odstąpili ziemi.
-- Ano, udało się! -- z uśmiechem chłop odparł.
-- Pół włóki, pół włóki! -- szeptał do siebie Kalenik, a oczy jego senne dziwnie się ożywiły.
-- Dwóch chłopców mam i córkę. Tak ci jeden przy mnie, a drugi w „seminarium”, na „nastawnika” (nauczyciel wiejski) się kieruje. Córka, jak ta malina!
Kalenika mniej to zajmowało. Spojrzał przed siebie.
-- Ot i mój stóg! -- rzekł, biczem wskazując. -- Było dwa; jeden mój, drugi żydowski. Zima wszystko zje.
Dotknął ręką piersi, gdzie miał chustkę z pieniędzmi, i zasępił się.
Jechali w milczeniu już do folwarku dzierżawcy.
Na dziedzińcu tamże Kalenik klacz zostawił, uczepiwszy jej do głowy worek z obrokiem, i czekał na Żyda.
Żyd się wcale nie kwapił. Parę godzin zajął targ o wołu; parobek, nauczony cierpliwości od dziecka, od czasu do czasu tylko przypominał, że noc się zbliża.
Nareszcie przyszła i na niego kolej.

Żyd zacenił stóg czterdzieści pięć rubli; traktował chłopą z góry, nie chciał słyszeć nawet o ustępstwie. Stóg, który przy dziale nazwał najgorszym, teraz był najlepszym; ano, i Kalenik zapłacić był powinien za fur dwadzieścia, a nie, jak przy dziale było przyjęte, za piętnaście.

Zresztą jak sobie chłop chce! On (Żyd) tego siana nie ma na sprzedaż i robi mu szczególną łaskę.

Kalenik, który rachował, że z danych mu przez stryja pieniędzy zostanie choć trochę groszy na wódkę i tytoń, ujrzał ze zgrozą, że mu jeszcze dwóch rubli zbraknie.

Targował się zęb za zęb, wymyślał Żydowi, to go błagał; zaklinał się, że więcej nie da, i odchodził, aby znowu wrócić. Wreszcie ujrzawszy, że dzień się kończy, dobył pieniądze i tylko o zwłokę dla tych brakujących dwóch rubli prosił.

Żyd i na to się nie zgodził.

Parobka ogarnęła dzika rozpacz. Popatrzał na kupca oczami, za--biegłymi krwią i, słowa nie rzekłszy, odszedł do klaczy. Całodzienny post i zimno przejmowało go do kości, schrypnął od krzyku i targu, siny był, zbiedzony, a pomimo wrodzonego spokoju, chciwy jakiegoś złego odwetu. Widział w myśli swój powrót do domu, do pustej stodółki, do łajania stryja, do śmiechu i drwin całej wsi, gdy go bez siana zobaczą.

-- Hubenia! Hej, Hubenia! -- ktoś go zawołał.

-- Był to Rychor Szczerba, nowy znajomy.

-- Naści wam te dwa ruble. Szkoda mi was!

-- Było to coś tak niesłychanego, że Kalenik usta otworzył i nie wierzył.

Szczerba jednak nie żartował; podawał mu dwa zwinęte papierki. Parobkowi wyjaśniła się twarz. Nie umiał dziękować, więc tylko się uśmiechnął głupkowato.

-- Zawierzcie mi? -- spytał zdziwiony.

-- Zawierz! Cóż! Widać, żeś uczciwy, a żal mi waszego bydła! Odwiesz mi te pieniądze. Ot, pomóż wołu uwiązać!

Kalenik wpółdzikiego byka do sań uwiązał i kawał drogi Szczerbę przeprowadził, zanim się bydlak z losem pogodził i uspokoił. Zajęło mu to czas spory. Potem targ z Żydem ukończył i ruszył do stogu. Krótki dzień zimowy dobiegał końca i wiatr się zerwał nieznośny, ciskając w oczy śniegiem.

Nie lada robota była przy zapadającym zmierzchu, na nagim błocie, bez pomocy, ułożyć furę siana.

Wicher porywał siano z wideł, rozrzucał furę, obalał z nóg chłopą. Sto razy rozpoczynał od początku, pomimo mrozu, potem oblany.

Noc zapadła, a on sam był na tym odludziu, sam szamocąc się z wichurą, o wiele mil od domu, o wiele mil od ludzkiej pomocy.

W szarym tle nieba i ziemi zatarło się wszystko. Stóg czerniał tylko, a obok sanie nałożone i klacz zbiedzona, opuściwszy głowę do ziemi. Człowiek, jak mrówka marna, pracował, nie ustając na chwilę. Niedaleko w puszczech łośy ozwało się żalosne skomlenie: to wilki głodne żer czuły i nawoływały się na wyprawę. Chłop na chwilę się zatrzymał, wzrok i słuch tam wyteżył, siekierę pomacał u pasa.

Potem znowu się mozolił. Mróz widocznie zelżał, bo śnieg się lepił do stóp. Zabierało się na śnieżną zamieć.

Teraz Kalenik długim drzewem, „rublem”, furę przyłożył i sznurami mocno przyciągnął. Od czasu do czasu, to bliżej, to dalej, jęczały wilki.

Śnieg zaczął padać, a raczej lecieć, jakby go ktoś garściami ciskał. Już i stogu o kroków parę widać nie było. Klacz się skuliła, zgarbiła, garnąc do kupy cztery nogi i głowę; tylko, gdy wilczy jęk tuż się rozlegał, chrapała dziko.

Kalenik się obejrzał. Nigdzie drogi, ni śladu; nigdzie nieba, ni ziemi: tylko ciemność, wicher i śnieg.

Wtedy westchnął głęboko i pot z czoła otarł i przeżegnał się. Zostać do rana -- to go wilki

opadną; jechać -- to błędzić. Zdecydował się na drugie.

Założył klacz i wdrapał się na wierzch fury.

-- W Imię Ojca i Syna i Świętego Ducha! -- przeżegnał się raz, drugi, i ruszył powoli.

Droga była gładka, bo drogi nie było, tylko lód trochę śniegiem przykryty. Niekiedy w pobliżu łoż trafiały się zasy, ale te klacz sama omijała.

Zamieć szalała coraz gorzej; chwilami pęd wiatru tamował oddech, ostre igielki śniegu siekły boleśnie twarz; klacz, zwalczona wicherem, stawała, ciężko dysząc. Gwizdy, jęki, łkania, chichoty niósł wiatr.

Nieruchomy na swej furze, śniegiem okryty, Kalenik znosił wszystko i milczał.

Od rana raz pierwszy skosztował chleba. Tak był zimny, że zdawało mu się, jakby kęsy lodu połykał. Potem go sen zmorzył i drzemał. Budził się chwilami i rozglądał, ale wnet zapadały ciężkie powieki, chyliła się na piersi głowa. Marzyło mu się, że siedzi u pieca, że wrócił szczęśliwie do Hrywdy, że bydło „podobalo” siano, że już zjadł wieczerzę ciepłą i odpoczywał.

Klacz poczciwa wiozła śpiącego ostrożnie, powoli.

Spuszczała głowę do ziemi i węszyła jak pies i niestrudzona szła i szła.

Godzinę, dwie może, spał Kalenik. Wreszcie na dobre się rozbudził; strach go zdjął.

Zlął z fury i, na kolanach pełzając, śladu szukał; ale wszędzie śnieg świeży leżał i coraz więcej go się słało z grubych, siwych chmur.

Dalej i dalej posuwał się parobek, jak rozbitek na morzu, ni kierunku, ni brzegu nieświadomy.

Teraz już szedł obok klaczy, tuląc się do niej, wierzył w jej rozum i instynkt. Oboje, zwierzę i człowiek, węszyli, zali do ich nozdrzy dymu zapach nie doleci. Dym -- to chata.

I tak szli i szli znowu, godziny całe, cierpliwi i cisi!

Nareszcie klacz, potem oblana i bezsilna, stanęła, żałośnie patrząc na człowieka. Zrozumiał, że odmawia posłuszeństwa, i nie zmuszał więcej.

Naskubał siana z fury i dał jej. Sam usiadł u jej nóg, u piersi, grzejąc się ciepłem pary, która z niej szła, opierając głowę o jej mokrą skórę. I tak pozostali, a śnieg ich obsypywał wałem.

Znowu minęły godziny. Noc styczniowa nie ma kresu! Czekali ranka. Apatyczne oczy Kalenika szukały na niebie wschodu, ale i nieba nie widać było; błędziły tedy po tej ciemni bezmyślne, mgławce, pełne tępej na wszystko rezygnacji.

A przecież i on coś myślał. Myślał, że w taką noc z lasu dworskiego łatwo wywieźć furę gałęzi, a wicher usłużny nawet ślad zamiecie.

Teraz żałował, że nie pojechał kraść; udałoby się a stryj tymczasem niechby tutaj biedował.

Stary on, niesilny, w chacie mała z niego pociecha; jakby i przepadł, to co?

Tylko szkoda by było klaczy, żeby zmarniała, bo źrebięta daje śliczne i żadnych narowów nie ma. Klaczy tej pół wsi im zazdrości.

Potem myślał Kalenik, że ta zamieć -- niczyja to sprawa, tylko Czyruka. Złość miał na nich, że go nie podwieźli, spotkawszy na drodze.

Wreszcie pomyślał o Szczerbie i o półwłóce pola, o sposobie oddania mu długu jak najpóźniej; o tłustych krowach Huca i o wielkiej mocy w ręku najstarszego z synów gumienego Matwieja!

A w końcu już nie wiedział o czym myśleć, więc znowu zaczął ranka na niebie wypatrywać.

Szarzało, a wściekłość śnieżycy gasła. Jeszcze godzina, a dojrzał Kalenik kontury nieba i ziemi, szare punkciki stogów i łozy, i nagle rozpoznał gdzie był.

Wstał i osłupiałe oczy w jeden punkt wlepił.

Mamidło to? Zmora? Stał o kroków dziesięć od stogu, który mu się zdał znanym; poszedł tam i poznał swój własny stóg.

Po całonocnym błędzeniu wrócił, skąd był wieczorem odjechał. Klacz, kręcąc się tu i tam, wpadła na swój własny tor, i Bóg wie, ile razy opisali błędne koło, Bóg wie, ile razy mijali ten stóg, aż się zwierzę, zupełnie zmordowane, przy nim zatrzymało.

Kalenik długi czas nie chciał uwierzyć. Nareszcie kilkakrotnie się przeżegnał, i splunął.

-- Czart wodził! -- zamruczał zabobonnym strachem zdjęty. Dzień się zrobił zupełny. Teraz chłopca ogarnęła ślepa złość na klacz.

Wgramolił się na furę i gnał zwierzę pocziwie, batem bez litości okładając i klnąc.

Mścił się na nim za mitręgę, za swój głód i zmęczenie.

Po chwili znalazł się na przysypanym szlaku i umykał z tego Perechreścia przekłętego do domu.

Ludzi prawie nie spotykał, spotkanych nie pozdrawiał, tylko w duchu życzył im nocy podobnej.

O zmroku już dobił się do Hrywdy. Pierwszym, kogo ujrzał, był Oksenty Czyruk. Spojrzeli sobie w oczy i minęli się bez słowa; ale Kalenikowi się zdało, że twarz starego czarodzieja wyraża złośliwy tryumf, i zalekły odwrócił oczy.

Znalazł się wreszcie na własnym podwórzu.

Wyszła naprzeciw niego gospodyni, rozpytując o powód spóźnienia.

-- Błądziłem! -- lakonicznie objaśnił.

-- Syluka i Żurawia dotąd nie ma! -- rzekła.

-- Mohe? (czy może być) -- zawołał, stojąc zdziwiony.

-- Doprawdy! Zachodzili starzy pytać, czy ciebie nie ma.

-- Nu, Czyruk, Czyruk! -- zamruczał.

-- Co takiego?

-- A no nic. Spotkali my jego -- i popatrzal. Trzeba było wrócić!

-- Pewnie! Dziw, żeś żywy przyjechał.

-- Żyw ledwie! Gdzie diad'ko? Niechby furę złożył, ja zmarzł i głodny!

-- Gdzie by był ten pijanica? W karczmie! Zaskrzeczała baba. Z chaty wyszedł tymczasem Kiryk i beczynnie przypatrywał się sianu.

-- Nu, Kiryk! -- zawołał go bratanek. -- Zładuj siano do odryny!

-- Może jeszcze czego? -- zuchwale chłopiec burknął. -- Będę za ciebie robił!

Zawrócił się i, gwizdząc, wyszedł za wrota.

-- Poczekaj! Dam ja tobie! -- krzyknął Kalenik; ale nic nie dał, tylko jął sam siano pod dach znosić, aż zostały puste sanie na podwórzu.

Wieczera była tego dnia burzliwa w chacie Hubeni.

Sydor wrócił pijany z karczmy i odgrażał się strasznie na Żyda, porywał się z pięściami do Kalenika.

Ten, rozmarzony ciepłą strawą i gorącem izby, senny, półgębkiem odpowiadał.

Rozebrany ze świt i kozuchów, bosy, w jednej koszuli, siedział u pieca, nawykły do scen podobnych, do pijaństwa stryja, do wrzasku baby. Inni jego rówieśnicy w podobnych razach bili starych do pół--śmierci; on dotąd nigdy na swoich ręki nie podniósł.

Powolny był i bał się, sam nie wiedział czego.

Było to zwierzę robocze, wytrwałe, ciężkie i łagodne, jak zwykle bywają olbrzymy.

Nareszcie pijaństwo pokonało Sydora. Wgramolił się na piec i zasnął. Wtedy żona zaczęła mu wymyślać, a Kiryk bezsilnego ojca przedrzeźniał i drwił z niego.

Kalenik już drzemał, o rozpalony piec oparty.

Spędziła go stamtąd gospodyni, bo było to miejsce najmłodszego chłopca; wstał apatycznie i przeniósł się na ławę pod oknem. Szkołnik gdzieś się wymknął z chaty na swawole, czy kradzież. Nikt się o niego nie troszczył. Po chwili baba zgasła kopnąc lampę blaszaną, która stała na rogu komina, i, mrużąc pacierze, ułożyła się do snu, na piecu.

Kalenik się zwałił na ławę nagą, naciągając na głowę świtę -- i chatę zaległa cisza, przerywana chrapaniem, stękanem, mrużeniem i kaszlem chorowitej dziewczynki.

Kto by się wsłuchał, ten by oprócz tego przejął szmery robactwa, wychodzącego legionami na żer!...

Luty

Korniło Huc służył we dworze lat dwadzieścia pięć. Pochował starego pana, doczekał się młodego, pohodował własne dzieci, przeszedł różne przewroty.

Wieś go nie lubiła, a on z nią mało miał styczności.

Wójtem był za czasów pańszczyźnianych i tego skóry garbował. Po uwłaszczeniu włościan dnia jednego nie zmitrężył. Nowa era wolności nie była mu niczym osobliwym; on się z dworem zżył i on jeden podczas chwilowego buntu, gdy wieś cała, dla okazania swej swobody nie chciała pracować, nawet za pieniądze, u pana, on jeden, o świcie tego wielkiego dnia poszedł swoją ścieżką na gumno, na służbę.

On jeden, gdy rozdawano ziemię, nie połakomił się na zagon, i zapisano go jako „batraka” ze szmatką ogrodu.

Konserwatystą był do szpiku kości. Nie znosił innowacji, bał się wielkich obietnic i darów.

Rygor też staroświecki panował u niego w chacie, która stanowiła wyjątek we wsi pod względem ładu i czystości. Synowie dorośli -- żonaci i parobcy -- słuchali ojca jak malcy. Bił ich, ale lubił. Za łaskę sobie mieli, gdy pochwalił, albo, rozchmurzywszy poważną twarz, zażartował.

Trzymał ich też przy sobie i od dziecka nauczył ich chodzić swoją ścieżką do dworu.

Nigdy Huce nie szli na flisy, na dalekie zarobki do kolei, na leśne fabryki; nie uczyli się też czytać, ani pisać w szkółce: uniknęli szczególnym sposobem wojskowej służby; jako „batraki” nie spełniali nawet żadnych gminnych urzędów.

Chata ich żywiła osób kilkanaście przecie i nie znała przednówka.

Stary Korniło, zwany we wsi „pańskim psem”, we dworze miał wielkie zachowanie. Szanował go ekonom i niższa służba, bo widzieli, jak pan przed starym gumiennym uchylał czapki, jak go poważał, jak go traktował i cenił.

Na Huca nikt głosu nie podnosił, nikt nań „ty” nie wołał; młodszy całowali go w rękę.

W razie choroby odwiedzała go w chacie pani, przysyłała doktora, wino, herbatę, troszczono się jak o przyjaciela.

Pobierał 60 rubli pensji, trzech synów brało po 40, a latem, gdy na łan pański szły kobiety, zbierało się także kilkadziesiąt rubli.

Był więc dostatek; były krowy, które nie znały wioskowej paszy; były owce; była komora pełna zboża, lnu, wełny; były na nich świty cienkie, białe płótna, wysokie buty.

Ciągle obcowanie z dworem odbiło się nawet na powierzchowności młodych. Gdy w święto wychodzili na ulicę, oglądano się za nimi. Ogoleni, ostrzyżeni, weseli szli i wtedy do dworu, trochę później tylko; wracali wcześniej, ale ścieżyna ta ojcowska stała się ich nałogiem.

Zajmowały ich konie, którymi pracowali, zajmowało życie dworu; przyłgnęli i oni do tego pana, który ich ojca szanował.

Korniło Huc stracił dawno żonę, ale w chacie były dwie synowe i Prytulanka z córką.

Tak nazywano kobietę żebraczkę, którą przez długie lata pędzono z chaty do chaty -- bezdomną, bezrolną, bez rodziny i opieki.

Latem każdy ją chętnie trzymał i wysługiwał się, jesienią każdy za próg wyrzucał, żałując chleba, tym bardziej, że dziecko miała.

W tych wędrówkach zastukała raz do Huców i weszła.

Przyjęto ją spokojnie bez frazesów i ubolewań; ale też nie wypędzono więcej. Chleb pański sycił ich; wystarczył i dla nędzarki; nigdy go jej nie poskąpiono, a stary Korniło sam często dziecko karmił -- dziecko wynędzniałe, woskowo żółte, chore.

Wkrótce potem pani wstąpiła do chaty, jak zwykle była czynić od czasu do czasu, zobaczyła Prytulankę i dowiedziała się kto jest.

-- Dziadku! -- rzekła do starego. -- Byliście dotąd sami, a teraz jest wśród was Boża łaska. Zobaczycie, jak wam się będzie szczęściło.

Huce słuchali z uwagą i uszanowaniem.

Pani pogłaskała dziecko.

-- Moja droga! -- zwróciła się do kobiety, która swe błędne, zdziżące poniewierką oczy wlepiła w nią jak w obraz -- przyjdźcie do mnie z małą. Obie potrzebujecie lekarstwa i kąpieli przede wszystkim. Przyjdźcie, proszę!

W ten sposób i Prytulanka poznała ścieżkę Huców.

Zotała w chacie i po kilku latach zatarła się w niej pamięć niedoli i biedy; rodzinę Huców uważała za swoją, dobro ich za własność. Oni ją nazywali ciotką; dziewczyny nikt słowem nie skrzywdził.

Zimą cztery kobiety przędły i tkwały, prały i szyły; latem stawały wszystkie na dworskim łanie.

Olenia miała wyrosła nieco, ale pozostała blada i mizerna. Ona co południe nosiła do dworu dwojaki ze strawą dla mężczyzn i ścieżynę Huców znała doskonale.

Karmił tedy chleb dworski ośmioro ludzi i oni jedni z całej wsi go błogosławili.

Kłótni i swarów nie było w chacie, bo nie było czym się dzielić. Wieczorem rozmawiali o jutrzejszej robocie, niefrasobliwi ani o siano, ani o przednówek, ani o wiosenne podatki.

Izba była bielona, z kominem, zawieszona obrazkami. Stary nie cierpiał brudów i nieporządków, gderał synowe o byle co. Młodzi, napatrzwszy się na pokoje we dworze, musztrowali też kobiety.

One same wiedziały, że gdy pani kiedy wstąpi, to je wstydzić będzie: wypędzały też z izby kury i prosięta, tępiły robactwo, zmywały stoły i ławy.

„Pany” -- pogardliwie nazywano Huców we wsi, a oni słysząc to, śmiali się też pogardliwie.

Chata ich jednak miała dla kobiet i młodzieży urok nieopisany. Przestronna była, z podłogą, i jasna w długie wieczory zimowe, bo nad stołem paliła się lampa wisząca z kominkiem i blaszanym daszkiem, rzecz arcyosobliwa w Hrywdzie.

Schodziła się tam młodzież na „muzykę”, którą uprawiał Karpina, najmłodszy syn gumienego. W poście schodziły się tam sąsiadki z „potasami” (prząśnicami) na wieczornice. Na raucie takim roztrząsano bieżące sprawy, opowiadano sobie plotki, prawiono cuda o znachorach i strachach.

Mężczyźni w gawędach tych nie brali udziału. Stary pół uchem słuchał, grzejąc kości u komina; młodzi meli w żarnach, lub rąbali drwa; Karpina tylko wtrącał do bajek kobiecych jaki dosadny żart lub powątpiewanie.

Pewnego takiego wieczora gwarzono w najlepsze przy wtórze furkotania wrzecion.

Baby w swych fantastycznych białych namitkach i krasnych „andarakach” (spódnice) obsiadły ławy, zydle, nawet piec; to jedna, to druga opowiadała dzieje sąsiadów. Ów bił żonę, drugi kłócił się z bratem, inny kradł, co się udało. Huce milczeli, obojętni. Oni ze swej uczciwości się nie szczycili, ale też na błędy innych mieli niezmierne pobłażanie.

Wtem drzwi skrzypnęły: wszedł Kalenik.

Gość to był rzadki; to też Kornilo zdziwione oczy podniósł, a baby umilkły.

Olenia Prytulanka spojrziała na dorodnego parobka i schowała się za plecy matki, okropnym strachem zdjęta. Od paru godzin drżała z poczucia winy, której dotąd wyznać się nie ośmieliła.

Kalenik istotnie na nią najpierw popatrzył.

-- Rozbiła nam wasza „najmitka” (najemnica) wiadro! -- rzekł burkliwie.

-- Jaka najmitka? U mnie są synowie i sierota, niby córka! -- poważnie odparł stary Huc.

-- Nu, to sierota!

-- Rozbiłaś, Oleniu? Będzie tobie! -- krzyknął Karpina, patykiem od miotły jej grożąc, a Prytulanka już się porwała i odpasywała fartuch.

Olenia wiedziała, że sznurki tego fartucha smagają jak bicze i rzewnie płakać zaczęła.

-- Cyt! -- krzyknął stary Kornilo, i do starszego syna się zwrócił: -- Ty, Matwiej, weź zaraz nowe wiadro w komorze i dopasuj do żurawia, a ty, Karpina, słabszemu nie wygrażaj, bo to wstyd!

Po tym sądzie nastąpiła cisza. Baby podziwiałały mądrość Huca, a Kalenik zdumiał. Nawykły w chacie do awantury o lada grosz, do kłótni i buntów, nie pojmował, jak stary spokojnie przeniósł stratę wiadra, a jak ci synowie na słowo jego byli posłuszni.

Matwiej wyszedł natychmiast, a Karpina spuścił głowę i poczerwieniał jak dziewczyna.

Hubenia podrapał się w swe kudły złotawe, ale nie odchodził.

-- Mam do was prośbę! -- szepnął.

-- Co? -- zagadnął stary.

-- Pożyczcie mi „króbkę” żyta!

-- Nie macie już swego?

-- Nie ma ni garści.

-- To pożyczonym będziecie żyć?

-- A cóż? Kupić nie ma za co. Pieniądze poszły na siano, a reszta na drzewo. Sień się zawaliła. A tu prędko i podatki wybierać będą.

-- Licha taka gospodarka! -- mruknął Huc.

-- Było kop dwadzieścia, ale i rozchód jest. Na magazyn zsypali, na szkołę; a taki i jeść jest komu. Nas dusz sześcioro; a wieprz, a kobyła...

-- Do nowego zboża pięć miesięcy.

-- A musi tak! -- apatycznie odparł parobek, znowu swe złote włosy wicherząc.

-- I jeszcze o jedno prosić będę! -- wahając się, mówił dalej.

-- O co? -- spytał Huc.

-- Żeby wy Matwiejowi pozwolili nasze „sieni” postawić. Ja do siekiery niesprawny, a on majster pierwszy.

-- A diad'ko twój? Toż cieśla!

-- Leży chory. Musi umrze! Rany ma na nogach; róża pobiła do kości.

-- To czemuż ratunku nie szuka?

-- Dał Czyruk ziele.

-- Niechby do pani poszedł. Sławnie od róży leczy. Kalenik obojętnie ramionami ruszył.

-- Matwieja nie dam, bo służbę ma. Teraz u nas we dworze dostawy kartofli. Nie ma czasu.

-- Ja bym za niego stanął na ten tydzień. Poratujcie, bo sam rady nie dam!

Matwiej wrócił, ale się do rozmowy nie mieszał. Szczątki wiadra pobitego z sobą przyniósł i oglądał, jakby je naprawić.

-- Chcesz, Matwiej? -- spytał ojciec.

-- Nie bardzo. Konie mi „pogłumi!” (zaniedba).

-- Boh me! Będę pilnował jak własnych. Poratujcie!

-- Jak trzeba, to trzeba -- mruknął stary. -- Jutro on do was z siekierą przyjdzie, a ciebie z sobą zabierzemy. A teraz chodź!

Wstał, zapalił małą lampkę i prowadził za sobą parobka.

-- Masz worek? -- spytał.

Weszli do komory, ogromnej, zamczystej. Kalenik ujrzał beczki ze zbożem i stanął, zawistnie je rachując. U nich na jesieni nawet nie było tyle.

Huc odmierzył króbkę żyta.

-- Na bierz! Nam starczy. U nas przednówka nie ma. Wasze gospodarstwo -- to nie panowanie, ale marnowanie się! My robimy dla pana, a wy to nie wiecie, dla kogo, bo i nie dla siebie.

Kalenik worek na plecy zarzucił i nic nie odparł, bo usłyszał gdzieś blisko hałas straszny, i uszu nastawił.

-- U nas to? -- zamruczał, szybko wychodząc. Hubeniów chata z zawaloną sienią,

przedstawiała obraz ruiny i nędzy.

Z wewnątrz rozlegał się krzyk, lament, uderzenia głuche, zawodzenie nieludzkie.

Parobek wskoczył po rumowiskach do środka.

Izba, pełna dymu, wpółciemna była teatrem małżeńskiej sceny. Stary Sydor, rozczochrany, wpółnagi, widocznie pijany, bił żonę, a raczej dobijał ją, włócząc za włosy po ziemi.

Młodsze dzieci skuliły się w kącie. Kiryk siedział na brzegu pieca i śmiał się cynicznie, kopiąc papierosa, skręconego w kawał gazety.

Sydor z wściekłości nie mógł dobyć już głosu.

Jedną rękę wnurzył w siwiejące włosy kobiety, w drugiej trzymał „mlon” (draż od żaren) i okładał nim jej ciało, nie zważając, gdzie trafi.

I rozlegały się razy prędkie i głuche po kościach, po piersiach, po głowie, a za każdym razem opór słabł, głos ofiary cichł, przechodząc w chrapanie i świst śmiertelny.

Dzieci zawodziły, jak głodne szczenięta, i widać było w cieniu ich twarze blade, wykrzywione, obrzękłe od febry i złego żywienia.

Kalenik zboże z pleców zrzucił i do stryja przyskoczył.

-- Porzuć! Hody! Zabijesz! -- wołał, szamocąc się, by mu mlon z rąk wydrzeć.

-- Zabiję wiedźmę! -- krzyknął wściekły Sydor, odpychając go. Ale parobek, silniejszy, opanował go, oderwał od baby, pchnął w kąt.

Kobieta leżała nieruchoma, sina. Chlusnął na nią wody -- ani drgnęła.

Wtedy przerażony rzucił się do drzwi.

-- Lude! -- Ratunku! -- krzyknął.

Ludzie byli niedaleko. Przysłuchiwali się, stojąc pod chatami. Ciekawe baby wnet napelniły izbę.

Zaczęto Sydorową włóczyć po ziemi, oblewać wodą, kurzyć ziołami.

-- Spyrту! (spirytusu) -- Kanchory! (kamfory) -- wołano.

-- Diabeł ją ma! -- burknął Kalenik -- umarła, taj, hody!

-- We dworze jest spyrт! -- zawołała Prytulanka. -- Ołenia, biegaj do pani żywo!

Dziewczyna skoczyła pędem.

Kalenik, zwiesiwszy ręce, przypatrywał się scenie.

Roilo mu się już śledztwo, sąd, turma dla stryja i ze strachem myślał, że go pewnie do więzienia wsadzą latem w sam czas roboczy. Żebyż wzięli teraz, na przednówku, z ranami, niedołągę!

Sydorową wciąż nie dawała znaku życia. Leżała rozkrzyżowana, pokrzwawiona, sina, w poszarpanej odzieży.

Sydor, widocznie zmęczony, położył się na przypiecku i obojętnie patrzył na krzątające się baby. Nikt na niego uwagi nie zwracał.

-- Kiryk! -- spytał Kalenik -- Jak to było? Czego się oni poswarzyli?

-- Czego? Maty głupia! Kazał mi ba'tko wódki z karczmy przynieść: ja przyniosłem! Ona do mnie z krzykiem i dała mi w gębę. A ojciec za mną stanął: -- Nie śmieć chłopca bić! -- Będę! -- odpowiada. -- Ot, jej teraz za to!

-- To u was pieniądze na wódkę są, a zboże pożyczamy! -- oburzył się parobek.

-- Szynkarz z ba'tkiem rachunki jakieś ma! Nie bierze pieniędzy. To musi jeszcze za te koła, co je ojciec na jesieni z dworu przyniósł.

Kalenik umilkł, znacznie uspokojony.

Tymczasem Sydor wytrzeźwiał i strach go zdjął przed odpowiedzialnością. Rozepchnął baby, przykucnął nad żonę, nożem rozwarł jej zęby i resztę wódki z flaszki wlał w gardło.

W tej chwili wróciła zdyszana Ołenia ze dworu.

Zaczęto wycierać kobietę spirytusem, napojono ją znowu wódką. Nareszcie dała znak życia. Zajęczała słabo, potem coraz głośniejsze, a w końcu rozwarła oczy błędne.

-- Będzie żywa! -- zdecydowały baby, podnosząc ją z ziemi. Sydor, uspokojony, wgramolił

się na piec. Kalenik patrzył, jak szanowne opiekunki wypijały resztę wódki i spirytusu, i splunął parę razy z łakomstwa.

Ułożono kobietę na ławie. Urywanymi słowy skarżyła się na ból głowy i piersi, potem stękała ciężko.

Powoli opróżniła się chata. Odchodząc, ludzie się dziwili, że stary Sydor jeszcze tak silny i że widocznie lubi żonę, kiedy bije.

Kobieta stękała całą noc. Kalenik myślał: kto im jutro obiad zgotuje i kto wieprze nakarmi? Z tą troską zasnął.

Nazajutrz nie jedli śniadania. Sydorowa miała gorączkę i spuchnięta była -- czarna od sińców.

Popatrzwszy na nią, Kalenik głową potrząsnął.

Durny ty, diad'ku, durny! rzekł. Kto widział bić tyle? Zapomnieli, że jedna baba w chacie? Teraz co zrobim?

Sydor, ponury, milczał.

-- Durny! -- powtórzył Kalenik, wychodząc.

Matwiej Huc już był z siekierą na dziedzińcu i zalecał mu dobre starania około swej fornalki. Kalenik dopędził gumienego z synami na ścieżce dworskiej. Rzadko tam bywał. Hubenie uchodzili we wsi za bogatych i nie pracowali nigdy we dworze. Stary Sydor bywał u pana na wiosnę, gdy płacił za paszę bydła, bo Hrywda, uboga w siano i wypasy, dzierżawiła dworskie pastwiska, w dąbrowie za strugą.

Stary nie dowierzał synowcowi i sam się targował, podając zwykle mniejszą ilość bydła, niż posiadał w rzeczywistości. Stary też załatwiał drażliwe kwestie, gdy gęsi, wieprzak lub koń wpadły w szkodę i, zajęte przez polowego, pokutowały w areszcie.

Zresztą chiński mur zastarzałych niechęci, zazdrości, niewiary dzielił wieś od dworu. Służyli tam chłopci, ale ze złą wolą; pracowali, ale źle i leniwie.

Dla Kalenika dwór był czymś tajemniczym, strasznym i nieznanym. Piętrowe mury, olbrzymie chlewy, brogi słomy, setki bydła, to wszystko napełniało go uszanowaniem, grozą i trwogą.

Gdy dnia tego znalazł się nagle w sercu tej potęgi, gdy ujrzał gromadę fornalek, moc ludzi, gdy usłyszał łoskot młocarni i gwizd pary w gorzelni -- stracił zupełnie głowę.

Karpina Huc wskazał mu fornalkę Matwieja, tęgą parę ciemnych kasztanów, i skrzynię do kartofli, do której miał konie zakładać, i sam do swej roboty skoczył.

Wychodzili ze stajni wszyscy, gdy Kalenik pana zobaczył. Ten władca miał twarz spokojną i wesolą; to tego, to owego z parobków zagadnął; na Hubenię spojrział zdziwiony.

-- Co ty za jeden? -- zapytał.

-- To za naszego Matwieja -- podchwycił Karpina.

-- Cóż mu? Chory? -- z zajęciem pan spytał.

-- Nie, proszę pana, we wsi zajęty. Pan dalej nie pytał i odszedł.

Stary Sydor, który dowodził, że pan go bardzo szanuje, zdziwiłby się, gdyby postyszał, jak dziedzic zaraz potem do stodoły poszedł i starego gumienego zagadnął:

-- Wszak to parobek od Hubeni za Matwieja dzisiaj tu jest?

-- A tak, panie! -- odparł stary Huc.

-- Nie mogliście znaleźć kogo innego. Kornilo? Złodziejska chata! Młody najrzy, a stary w nocy ukradnie, jak owe koła na jesieni.

-- Nie! Ten żadnego „kierstwa” nie robi. Spokojny i uczciwy. Żeby innego stryja miał, toby na człowieka wyszedł. W sąsiedztwie -- to ja się mu dobrze przypatrzył.

Kalenik opinii swej nie wystawił na szwank.

Pracował pilnie przy dostawie kartofli, w południe dopatrzył starannie Matwieja pieszczochów.

Potem z innymi do czeladnej na obiad poszedł, ale nie jadł, bo mu nikt z domu dwojaczków

nie przyniósł. Patrzył tedy, jak Huce jedli, i trzymał się ich towarzystwa.

Olenia Prytulanka, czekając na opróżnienie garnuszków, opowiedziała mu, że Sydorowa źle się trzyma i że już do niej Czyruka sprowadzono.

-- Nic z niej nie będzie: umrze! -- filozoficznie zdecydował. -- Będzie znowu koszt, a i desek suchych nie ma.

Splunął, bo mu głód przejmował wnętrzości. Począł fajkę palić.

-- Ożenisz się prędej, jak baby w chacie nie stanie -- rzekł pocieszająco Karpina.

-- Chyba na jesieni.

Naprzeciw niego, wśród dziewczek od młócerni, dostrzegł teraz białą świteczkę i złotą „kosę” Łucysi Makuszanki. Śmiała się; błyskały zza świeżych warg zęby jak perły, a zarumienione od mrozu policzki kraśniały, jak jabłka dojrzałe.

Spod brwi parobek na nią długo patrzył i znowu splunął.

Przed tygodniem odwoził do Zamoroczenia Szczerbie owe dwa ruble i poznał jego jedynaczkę.

Tęga była, czerwona, silna a zdrowa. Kalenik poznał, że mu ją chętnie dadzą, a z nią dwie krowy, troje owiec i trzy „bodnie” (skrzynie) odzieży. Mówili już nawet o tym że stryjem i projekt był gotów. Czekał jesieni.

Teraz splunął ze złości, że Łucysia za cały dostatek miała swój złoty warkocz: ani krów, ani bodni. Dzwon oznajmił koniec obiadu: rzucili się wszyscy do drzwi. W tłoku Łucysia znalazła się tuż przed Kalenikiem. Porwał ją za te urokliwe włosy i mocno targnął: syknęła, obejrzała się.

-- Boh! -- szepnęła, a oczy jej stanęły we łzach. Przywykły na podobne zaczepki odbierać śmiech bezczelny lub grube przekleństwo, zawstydził się Kalenik okropnie łez cichych i tego jednego słowa. Prędko cofnął rękę. Ona wnet mu znikła z oczu.

Wieczorem wracał z Hucami i znowu ją ujrzał. Szła sama bardzo prędko, bojąc się zaczepki.

Stanowiła we wsi rzadki wyjątek uczciwości i dobrej sławy. To, w połączeniu z ubóstwem, było powodem, że jej nie lubiły rówieśnice i parobcy.

W chacie zastał Kalenik zupełne rozprzężenie.

Najęta baba warzyła posiłek. Sydor był w karczmie, Kiryk nie wiadomo gdzie. Dzieci, skulone na ławie, patrzyły jak wilczki młode, to na matkę, to na garnek. Chora była nieprzytomna, płachtą przykryta.

Na szarym płótnie pościeli czerniały jej ręce spracowane, do szponów raczej podobne, i czerniała twarz chuda, koścista, otoczona siwiejącymi kudłami.

-- Diedyno! (stryjno) -- zawołał na nią Kalenik, pochylając się nisko i świecąc sobie lampką.

Spojrzała przecie na niego.

-- Co wam? -- zagadnął.

-- Umieram, Kalenik, umieram! -- wyszemrała. -- Nie będę już jeść i pić! Nie zobaczę bożego słoneczka! Schowacie mnie do ziemi -- do siwej -- na Kniazie!

-- Chcecie może księdza?

-- Chciałabym, ale mu trzeba bochen chleba dać, za spowiedź i namitkę białą. A mój chleb w dzieży, a moje namitki niepoprane! Porzuciłam wszystko nieukończony. Kto wam len poprzędzie teraz? Tak ja jego cesała na grzebieniu! Taki urósł cienki i biały!

Zaczęła płakać żałośnie, a on ją uspokajał, jak umiał.

-- Cyt, cyt, diedyno! Już wam len niepotrzebny. Pora wam umierać. Schowamy. Co robić!

-- Moje sierotki! -- zawodziła. -- Kto wam wesele sprawi? Rodziła ja was i wodziła z płaczem! Myślała na weselu się radować. Doloż moja, dolo!

Ja już Wielkanocy nie zobaczę i Zacharka nie zobaczę. Wieprzaka tak karmiłam; ano, mnie w post schowają. Kalenik, sokołyku, a patrzaj, nie pożałujcie świty dobrej do trumny i świec! Toż ja z bractwa!

-- Chcecie? Dam wam mleka -- albo i słoniny! -- rzekł wzruszony, gotów do wielkich ofiar.

-- Nie chcę, Kalenik, nie chcę. Teraz post! -- zaprzeczyła. -- Czemu ciebie nie ożenili?

Pomarnują się bez baby gęsi i kury, zepsują dzieję najmitki. Pamiętaj, siemienia lnianego nie zmieniać, bo lepszego we wsi nie ma, a powiedz Sydorowi, żeby Mokreni i Saka nie bił! Moje sierotki, moje robaczki!

Zmęczyła ją rozmowa: więc umilkła i tylko po twarzy jej łzy ciągle biegły i biegły.

-- Pewnie tej nocy umrze! -- pomyślał Kalenik, siadając na ławie do wieczery.

Ale nie umarła. Żyła jeszcze rano, gdy na robotę odchodził, tylko już nic mówić nie chciała.

Sydor pojechał po duchownego. Kalenik cały dzień myślał o deskach i pogrzebie.

Wieczorem wyprzedził Huców i tuż za bramą dworską spotkał Łucysię. I ona wyprzedziła inne.

-- Podwiozę ciebie, żeby wilk nie zjadł! -- rzekł.

-- Po co ma mnie jeść? -- odparła, ramionami ruszając.

-- Boś bardzo ładna i „strojna” (zgrabna).

-- Albo to prawda? Dziewczyna przyspieszyła kroku.

-- Czego tak biegniesz?

-- Boję się ciebie.

-- Czego?

-- Żebyś za włosy nie targał.

-- Nie! Nie będę. Boh me. Nie będę. Nie biegnij! Ile tobie lat?

-- Nie wiem. Matka wie.

-- Chodziły do ciebie już swaty?

-- Nie.

-- Żeby u ciebie pole było, albo dobytek, tobym ja przyszedł i tę kosę obciął i namitką przykrył.

Dziewczyna spojrzała ukradkiem na niego.

-- Nie ty byś jeden wtedy był!

-- A może by ty mnie wybrała? Powiedz!

-- Co ja mam mówić? Ty bohater (bogacz), a ja sierota. Może mnie „spodoba” kto biedny, to i pójdę, taj kosę dam.

-- A żeby ja biedny był?

-- Toby ja ciebie polubiła może.

-- A jakżeby ty lubiła?

-- Oł, takim byś nie był, jak teraz. Miałbyś jak śnieg białą koszulę i odzienie całe i tak byś dwa dni bez obiadu nie przepadał.

-- Dobra by ty była! -- zamruczał i zamyślił się. A potem nagle objął ją w pól i do siebie przycisnął.

-- A ja by ciebie lubił mieć. I biłby, gdybyś na drugiego spojrzała! -- rzekł, dusząc ją w swym niedźwiedzim uścisku.

Nie biła go, ani klęła, tylko, wyrwawszy się z jego ramion, pobiegła pędem do wsi. Posłyszał, że łkała.

Chciał dopędzić, ale się powstrzymał i zawrócił do chaty. Po twarzy błąkał mu się uśmiech, gość rzadki, gość osobliwy.

Wszedł na podwórze i stanął, potem postąpił i machinalnie czapkę zdjął.

W izbie już trup królował -- na ławie, na honorowym miejscu.

Z domowych nie było nikogo, tylko pod piecem drzemały dwie stare baby, obce z bractwa, a blisko nich stała butelka z wódką, na pociechę.

Świeca wielka kościelna oświetlała Sydorową.

Ubrana była odświętnie i minę miała odświętną, uroczystą i poważną.

Czarne, do szponów czy grabi podobne ręce odcinały się teraz ostro, na białej świecy skrzyżowane, bezczynne już. Chyboczący płomień świecy mamił, jakby jej wciąż po twarzy drgania się snuły, jakby jeszcze płakała.

Kalenik długą chwilę tak stał i patrzył. Do izby za żadne skarby wejśćby się nie ośmielił, bo bał się trupa.

Potem obejrzał sień, która pod ręką Matwieja rosła, i wyszedł na ulicę.

Przed furtką spotkał Kiryka.

-- Gdzie diad'ko? -- spytał.

-- W karczmie.

-- A dzieci?

-- Ciotka zabrała.

-- Dopatrzyliście bydła?

-- Ale!

-- Napoili?

-- Ale!

Uspokojony Kalenik odszedł. Teraz Kiryk pod okienkiem się zatrzymał i do izby zaglądał.

Może mu żal po matce serce poruszył.

Nareszcie z wolna, nieśmiało do drzwi się zbliżył, żegnając się po sto razy. Może jej te czarne ręce chciał ucałować?

Bardzo ostrożnie drzwi uchylił, ale nie na matkę patrząc. Kocimi ruchami zbliżył się do bab, porwał butelkę z wódką, pił chciwie, prędko, oglądając się trwożnie. Potem pustą flaszkę na miejscu postawił i, jak przyszedł, tak cicho się wysunął.

Kalenik tymczasem odszukał stryja w karczmie. Pił i poił sąsiadów, rozpowiadając o cnotach nieboszczki.

-- Macie deski? -- spytał go synowiec.

-- Nie ma! Jutro deski! Teraz pij! Na kruczek! (miarka).

Parobek wypił i wyszedł. Noc była gwiazdzista i mroźna. Obejrzał się, namyślając, kogo by o to ostatnie drzewo prosić, gdy wtem Karpina Huc prawie się na niego natknął, prędko biegnąc.

-- A co? Umarła wasza baba! -- rzekł.

-- To nic, że umarła; pora jej przyszła. Ale to bieda, że stary pije za ostatni grosz, a o trumnie nie pomyśli. Desek nie ma!

-- Może by nasz bat'ko wam dał. Pan mu kopę tarcic darował jesienią. Leżą na strychu.

-- Już mnie i srom wam tyle dokuczać.

-- Co tam? Nasz bat'ko lichego wam słowa nie rzecze. Spytajcie! Nie ma czasu czekać.

Poszli razem. Huce wieczerali właśnie, gdy Karpina gościa przyprowadził i interes jego sam opowiedział.

-- Matwiej! -- rzekł stary. -- Cztery deski zrzuc ze strychu i domowinę zaraz zbijcie!

Potem spod siwych brwi na parobka spojrział i dodał:

-- Dwa dni ja nie widział, żeby ty obiad jadł. Olenia, daj jemu łyżkę! Skosztuj, Kalenik, jak pańskie sobaki jedzą!

Parobek zrozumiał wymówkę.

-- Ja tak na was nie mówił! -- zaprzeczył nieśmiało.

-- Nie mówił? No, to, pamiętaj i nie mów! Bo pies nie ten, kto uczciwie pracuje, ale ten, kto szczeka.

-- Nie mówił ja i nie powiem! -- powtórzył Hubenia.

-- Jedz teraz, a potem i zanocuj u nas! -- zakończył Huc. Długo w noc na podwórzu Huców stukwały siekiery. Kalenik na trumnie tej uczył się ciesielki.

Nazajutrz pochowano Sydorową; nie tak jednak, jak myślała.

Nie było świec i bractwa, ani chorągwi. Ksiądz na podwórzu ciało przeżegnał i przeprowadził je kroków kilkadziesiąt, do krzyża za wsią.

Tam raz jeszcze odkryto trumnę. Popatrzało raz jeszcze na babę niebo siwe i rzuciło na nią garść śniegu. Popatrzyli na nią po raz ostatni ludzie.

Potem ksiądz zawrócił na plebanię, a pochód ruszył na Kniазie, jak się to uroczyisko zwało, gdzie obok grzebano umarłych i przechowywano przez zimę kartofle.

Orszak coraz malał. Sydor wcale się nie zjawił, bo pijany był doszczętnie; Kiryk w szkole przesiadywał, dzieci zostały u ciotki.

Kalenik prowadził woły, do sań zaprzężone, na których trumna bieląa; za trumną szło kilka ciekawych bab, chłop z łopata i posługacz kościelny, niosąc trochę święconej wody i kropidło z żytnich kłosów.

Baby czasem zawodziły z obowiązku, a Kalenik wołom wymyślał, ilekroć skręciły z drogi.

Gdy stanęli między sosnami, spuszczo trumnę do płytkiego dołu i zarzucono ją bryłami zmarłej ziemi i śniegiem. W głowach Kalenik mały krzyżyk zatknął; mogiłę przyłożono laską brzoową i rzucono na nią owych żytnich kłosów wiązanekę.

Teraz było po wszystkim. Kalenik z grabarzem, plecami do mogiły zwróceni, patrzyli na kartofle i radzili, czy nie warto by było nawozem ich przykryć?

-- Broń Boże, pomarzną! -- troskał się parobek.

-- Pod nawozem zginą! -- twierdził chłop.

Baby już wracały do wsi, więc i mężczyźni na sanie wsiedli i za nimi ruszyli.

-- Najlepiej zostawić, jak są. Zima ostra, ale i śniegu niemało! -- zadecydowali, raz ostatni na kartofle patrząc.

W chacie Hubeni zastali wódkę, kaszę i Sydora.

Przy tym pogrzebowym traktamencie wspominali zmarłą.

-- Wiadomo, post! Taka pora do umierania! -- mówiły baby. -- Jak w Pietrówkę (post do św. Piotra) koszą a w Spasówkę jabłka dojrzewają, tak w post ludzie mrą. Wiadomo: takie ustanowienie!

Wieczorem dopiero Hubenie złożyli walną naradę. Chata wróciła do porządku, życie do zwykłej kolei. Sydor ze zbolałymi nogami stękał i kłał; Kiryk bił siostrę i brata; Kalenik, ponury, dumał.

-- Chyba Hannę trzeba odszukać, taj zabrać. Nie ma rady bez kobiety w chacie! -- rzekł.

-- Nie chcę twojej Hanny! Kaduk ją bierz! Najmitkę wezmę. Na Trójcę ożenisz się! -- krzyczał Sydor, a potem zajączał:

-- Przepadnijcie, nogi! Bodaj ten białego świtu nie zobaczył, co mi te rany „uczynił”!

-- Do dworu idźcie po radę! Pani różę goi.

-- Mohe! Kto tobie mówił?

-- Huce. Chcecie, to wam jutro maści przyniosę.

-- Ty prosić nie umiesz! Sam pójdę.

Parobek umilkł. Spoglądał po chacie brudnej, niezamiecionej, w której brak gospodyni widniał w każdym kącie; spoglądał na dziatwę, obdartą i chorą, na najmitkę, leniwą i niedbałą, i myślał, że jutro niedziela, a on nawet koszuli czystej nie ma, a do Trójcy tak daleko.

-- Kiryk, nie bij Mokreni! -- rzekł. -- Chcesz, żeby matka z mogiły wyszła i nas męczyła po nocach? Porzuć!

-- Niech baćka męczy, co ją zabił! -- zuchwale odparł chłopiec.

-- Milcz, szczenię, bo i tobie tak będzie! -- krzyknął Sydor.

-- Ino spróbuj! -- błyskając oczami, szkolnik warknął. Kalenik wstał z ławy, zapalił smolną drzazgę i wyszedł do komory. Tam swe szmaty pozbierał, uwinął w płachtę i wyniósł się cichaczem na ulicę.

Czaił się pod płotami, jak złodziej, nareszcie skręcił do chaty przy dworskim zawrocie i wszedł do środka. Dwie samotne kobiety przędły u komina i zdziwiły się, ujrzawszy go. Bogaty Hubenia co za interes mógł mieć do wyrobnic?

Makuszanka była to kobieta już stara o twarzy jak pieczone jabłko i wielkich, wypłakanych oczach. Mówiła z cicha i powoli. Dobra, spokojna staruszka, która za skarb i dostatek cały miała tę jedynaczkę. Łucysia siedziała naprzeciw ognia, rozebrana z niezgrabnej świty, z odkrytą

głową. Na białej koszuli miała paciorków sznurek, kilka mosiężnych medalików, a złoty warkocz widać było w całej okazałości. Śliczna była, smukła, dorodna, pełna uroku młodości.

Zapłonila się aż po szyję na widok parobka, a on pozdrowił ją Bożym imieniem.

-- Może byście mi bieliznę poprały! -- rzekł. -- Baba umarła i nawet czystej koszuli nie zostawiła.

Łucysia milczała, a matka jej odparła z cicha:

-- Zostawcie szmaty! Upierzemy. Ale to mi dziw, że z tym kłopot macie! To dziewcząt kopa gotowa wam usłużyć. Pewnie do Wielkanocy wesele u was będzie!

-- Będzie, ale nie tutaj -- w Zamoroczeniu. Póki co to u nas wszystko się pomarnuje bez gospodyni.

-- Szkoda nieboszczki! -- westchnęła Makuszanka. -- Dzieci małe. Mocno bił Sydor -- mocno! Byle mu biedy nie było!

-- Ii, nie! Żeby tak na skorym razie zastygła, toby może szukali -- ale to chorowała! Pochowali mocno, ale mi strach, żeby nie przyszła w nocy.

-- Boże mój! -- krzyknęła Łucysia.

-- Nie przyjdzie! -- potrząsnęła głową stara. -- Tacy przychodzą, po których bardzo płaczą, bo im te łzy dokuczają. Tak-ci mój Michałko do mnie przychodził, nieboraczek!

Na przedzie spadło łez kilka, zatrzęsły się jej wargi, zadrżały powieki. Westchnęła ciężko.

-- Synek wasz? -- spytał Kalenik.

-- Synek maleńki! Nie widział jego ojciec, bo go tejże jesieni wzięli do wojska. Hodowałam go jemu na pociechę -- jakby wrócił. A ot -- i nie dochowałam, a Todor nie wrócił nigdy!

Dziewięć latek było chłopczynie. Zdrow się chował.

Z roboty raz wracam -- od kartofli; Łucysia mnie spotyka i opowiada: -- Bawili się na ulicy, aż tu drogą „cudzy” człowiek jedzie. Ino stanął i popatrzył, a wnet chłopca coś rzuciło: to zimnem, to gorącem trzęsie. Dopadłam do chaty -- patrzę: dogasa dziecko jak świeczka, tylko oczkami sinymi łypie, rączkami za gardło się chwyta, jak stary, stęka. Nie gasili ognia tej nocy, a nad ranem -- jakim go w rękach trzymała, tak się wyprężył i, jak ta „ptaszka”, przepadł.

Mój ty, Boże! Mój ty, Boże! Tak moje hodowanie i życie się skończyło! Wzięli i schowali -- i jakby Michałka nigdy nie było...

-- Dzieci jak muchy zmierają! -- rzekł Kalenik.

-- Zmierają! To pewno! Ale u mnie nie powinny zmierać! U gospodarzy jak umrze drobina, to im zostaje pole i woły i chleb; zostaje mąż żonie. A mnie co? Te dwoje sierotek to moje pole było, i woły, i chleb, i mąż! Jakby wam, Kalenik, to gwałtem zabrali, co byście rzekli na krzywdę taką krwawą?

A jaż baba, wdowa, sierota. Ja nie kłęłam i nie gwałtowałam. Ot, tylko z tego żalu ni miejsca sobie znaleźć nie mogłam, ni żadnego pocieszenia.

„Ślozy” moje skargi były i prośby i podania; ślozy jadłam i piłam, ślozami drogę znaczyłam.

Mówili mi ludzie mądrzy: -- „Nie płacz! Dziecku spokój daj”! Ale ja głupia byłam, aż wreszcie on sam przyszedł. Przyszedł pewnego wieczora, kiedym sama po ciemku w chacie siedziała u komina -- ot, jak teraz.

Przyszła detyna moja biedna pod okienko i w szybę zastukał.

Na dworze miesiąc stał, a ja patrzę. Tę--ci świteczkę białą miał i czapeczkę rogatą i taki biały, przezroczysty zastukał w szybę, a ja zmartwiałam: ni głosu dobyć, ni ruchu uczynić!

-- Maty! -- woła cichutko. Słucham, słucham.

Znowu szybka dzwoni -- rączkę jego widzę.

-- Maty, otwórz! -- prosi.

Boże mój, Boże! Jakże ja mu chatę otworzę, kiedy on nie mój już -- nie mój?!

A tu szybka trzeci raz dzwoni i trzeci raz detyna szepce:

-- Maty, otwórz!

Nie otworzę, synku, nie otworzę! Z chatyś wyszedł, jak twój bał'ko do armii, żeby się nie

wrócić. Ubrałam ciebie jak na gody, usłałam ci miękko, dali ci chatę i ziemi dali. Chyba ja do ciebie pójde, a nie ty do mnie. Na wskroś ziemi posłyszałeś mnie i przybiegłeś! Łzami cię ruszyłam od twego terazniejszego dziedzictwa!

Ja wiem, że prosisz, bym ci niebo otwarła, bym cię zalem nie ściągała do siebie!

Słucham i patrzę i tak myślę, a ta detyna za oknem co zrazu smutny był, teraz się uśmiecha i główkę kłoni. Wiecem na ziemię runęła i przysięgłam go nie zatrzymywać.

A szybka milczy, a za szybką -- tylko miesiąc biały. Ni głosu nie słyszę, ni Michałka nie widać.

Już odszedł w swoją drogę -- na swoje Kniazie!...

Kalenik nieproszony na ławie usiadł i słuchał, na Łucysię spoglądając. Ona przestała prząść i jedną z jego koszul podartych latać poczęła, słowa nie mówiąc.

Spokój i czystość tej ubogiej chatyny odbijała jaskrawo od jego własnej izby: nie chciało mu się odchodzić.

-- Czemu to „Kniazie” nazywają! -- zagadnął, gdy stara umilkła.

-- A ot -- bo kto tam pójdzie, to już kniaź; leży i śpi, a każdy przed nim głowę odkrywa. Kniazie oni -- kniazie!

Otarła łzy fartuchem i gwałtem odpędzała smutne myśli.

-- A Sacharko wasz prędko wróci? -- spytała.

-- Przysłał pismo niedawno, że może na wiosnę dobry numer wyciągnie. Jak nie, to chyba na przyszlą jesień przyjdzie.

-- Pohodował ty ich wszstkich, Kalenik. Pamiętam jakieś taki niewielki już orał i kosił, a teraz takiś piękny i wielki wyrósł! Ile tobie lat?

-- Izmat (dużo). Wnuków już się nie doczekam -- odparł z lekkim uśmiechem.

-- Czemu? Sto lat żyć możesz.

-- Sto lat?! Żeby z torbą chodzić? Boże broń! Albo to mnie dzieci darmo karmić będą? Wygonią z chaty!

-- Różne bywają dzieci. Mnie Łucysia nie wygoni.

-- Żebym ja matkę miał, żebym miał! Siedziałyby do śmierci przy piecu i kaszą bym ją karmił. Porzuciła mnie maleńkim. Żeby jej to Bóg darował! Silna była, zdrowa, robocza. Na śmierć jednakże i Czyruk nie poradzi.

Kogut, zamknięty pod piecem, załopotał skrzydłami, zapał przeraźliwie. Parobek wstał opieszale.

-- Pierwsze kury! -- mruknął. -- Zasiałem się bez miary. Ostańcie zdrowe!

-- Szczęśliwie -- odparły obie.

Wyszedł. Noc była czarna jak smoła. Na progu swej chaty spotkał Żyda arendarza z workiem.

-- Co ty ukradł, nechryste? -- zawołał.

-- Ukradł? Oddaj, coś winien za wódkę na pogrzeb! Ja zastaw wziął od tego pijanicy.

Chłop w głowę się podrapał i, nic więcej nie mówiąc, wszedł do izby.

-- Co on wziął? -- spytał stryja.

-- Andaraki baby.

-- Nu, a dziewczynie co będzie? Toż matczyzna bodnia do niej należy! Któż jej naprzędzie i natcze?

-- Licho ją bierz! Albo to żyć będzie? Szuchta (febra) ją zje! Kalenik popatrzył na Mokrenię. Istotnie febra ją żarła. Wątła, żółta, obrzękła, siedziała na ławie.

Bose nogi robiły wrażenie patyków, głowa -- śmietniska; twarz miała wyraz idiotycznego obłąkania.

Za nią podobny, tylko mniejszy i bardziej brudny, siedział Sak siedmioletni. Włosy miał prawie białe, a rysy, jak u starca, ostre. I ten patrzył, jak siostra -- w próżnię, na nędzę swą i opuszczenie, nie podnosząc protestu.

Wyglądali oboje, jak piskląt bezradnych para, którym matkę zabito, a one, do brzegu gniazda uczepione, czekają, cichutkie i słabe -- końca!

Tak przed laty, w tejże chacie, na tymże miejscu. Kalenik z Hanną siedział -- także sierota.

Przypomniał to sobie, nic nie mówiąc, dwie kromki chleba ukroił i dał dzieciom.

Więcej nic im uczynić nie mógł, ale chleba, choć kupionego, choć pożyczonego, im nie pożałuje.

-- Pójdę jutro do dworu! -- rzekł Sydor. -- Zaniosę panu lnu kosę, poproszę maści. Dobrze ty radził.

-- To Żyd dobrze radził! -- z kąta swego Kiryk się ozwał.

-- Milcz! -- krzyknął ojciec groźnie. Szkolnik się roześmiał, ale ucichł.

Ale Kalenik ciekawy nie był. Rozebrał się i prędko zasnął.

Nikt Sydorowej nie wspominał. Ciężki żywot zbyła w tej chacie i bez śladu przeszła. Na ławie, gdzie umarła, teraz skuliły się sieroty. Została po niej przęsnica, łyżka drewniana i garść szmat w chacie -- trochę więcej miejsca, w garnku -- jej część jedzenia.

Nikt jej nie pożałował, nie opłakał. Umarła bo w porę, na przednówku. Nim roboczy czas nastanie, druga tu będzie u komina, przy dzieży, na zagonie -- druga, młodsza, którą bić można bezkarnie, póki jej skwary, mrozy, praca nie wycieńczą przed czasem. A po tej trzecia przyjdzie, czwarta, dziesiąta i każda tej chacie życie zostawi, temu zagonowi zaprzeda krasę, pot, łzy -- i każda tak spocznie -- cicha...

Nazajutrz Sydor wybrał się do dworu, z kijem ledwie wlokąc nogi. Zaglądał tu i tam, zanim trafił do pani. Kobieta to była młoda, poważna, nad wyraz łagodna. Wywiedziawszy się o chorobę starego, obejrzała te nogi poranione, sama je opatrzyła, dała mu szmat cienkich, maści, nauczyła, jak ma dalej postępować.

Sydor błogosławił ją, szczęścia i doli życzył, po rękach całował, zaprzysięgał odsłużyć.

Potem ową kosę lnu wydobyl, ale pani odsunęła ją, głową potrząsając.

-- Nie, Sydorze. Za lekarstwo zapłaty nie biorę. Schował na powrót! Jeśli wyzdrowiejesz, to będę miała dostateczną zapłatę. Idźcie z Bogiem!

Chłop powtórnie błogosławił i dziękował. Chciał nogi pani całować, obiecywał stokrotne usługi. Słuchając, pani uśmiechała się smutnie. Niestety! Doświadczona była i straciła dawno wiarę.

Sydor wyszedł i znowu po drodze tu i tam się rozglądał, zanim swe kroki ku wsi skierował. Przy bramie zobaczył zamek z kluczem, zapomniany zapewne.

Obejrzał się wokoło -- schował go w zanadrze. Potem o wiele prędszej, niż był przyszedł -- odszedł. Dzień ten cały spędził w karczmie i zaledwie nad ranem przywłókł się do chaty.

Następnego dnia wieść się rozeszła po wsi, że tejże nocy we dworze zginęło dziesięć indyków.

Wilk, lis, czy złodziej?

Rozmawiano o tym w karczmie, drwiąc z pańskich brytanów i nocnego stróża, rozmawiano po chatach i zazdroszczono sprawcy dobrej gratki. Nikt się nie zgorszył, ani nikt pana nie pożałował -- bo:

-- Czart pana nie weźmie! -- powtarzano ulubioną gadkę. U Huców na raucie była także o tym mowa.

Karpina opowiadał po raz setny rzecz całą, bo pierwszy dojrzał chlew otwarty i szukał śladu po drogach i w miasteczku; jakby woda zmyła!

-- Sprytny był majster! -- podziwiano unisono.

-- Nie bardzo! -- spokojnie odparł stary Huc. -- Bo i pan wie, kto -- i ja wiem.

-- Kto? Kto? Powiedźcie!

-- Nie moja sprawa, bym ją, jak bajkę opowiadał. Widziałem, więc doniosłem panu. Zechce on powiedzieć, to powie, a nie -- to i bez sądu złodziej przepadnie.

Kręceniem i kłamstwem świat przejdiesz, ale na powrót nie trafisz!

-- To może pan go do sądu podać?

-- Nie podać. Sąd jeszcze nikogo nie poprawił, a turma dobrego nie nauczy.

-- Pan się boi! -- ktoś rzekł.

-- Czego? -- ostro spytał stary.

-- Ano -- pożaru!

Huc z politowaniem głową pokiwał.

-- Durne wy, durne! Nie boi się pan was, bo ogniowe płaci. Nie znacie wy jego. Myślicie, że on głupi, gdy wam szkody wybacza i złodziejstwa nie szuka!

Oj, ma on rozum, ma -- i miał kiedyś dla was serce, ale teraz stracił. Żeby wy wstyd mieli i sumienie, toby was uczył i karał, ale wy tak stanęli, że on was za ludzi nie ma! To i nie karze i nie uczy! Wy myślicie, że to łaska -- to hańba!

Chłopaki pootwierają usta i oczy, nic nie rozumiejąc, a stary dalej mówił z dumą:

-- Onegdaj Matwiej mój i Syłycz Petruk wzięli bez pozwolenia plewy do domu. Zatrzymałem ich z workami i zaprowadziłem do pana. On Matwieja karał i wstydził, a do Petruka słowa nie rzekł.

Wszystkie oczy zwróciły się na Matwieja, a ten nisko spuścił głowę.

-- Na co opowiadacie, ba'ku! -- zamruczał.

-- Bo pan ciebie ma za człowieka, wie, że do ciebie przystanie wstyd i rozum. Ty drugi raz głupstwa nie zrobisz i dzieciom zakażesz; a tamten sromu nie ma i rozumu nie ma. Tamtego w chacie ojciec bił, że się dał złapać, i mnie kłął, żem złapał.

-- Do śmierci tego wstydu nie zapomnę! -- rzekł Matwiej.

-- Durny, kto kradnie! -- wtrącił Karpina -- strachu się naje, zmorduje się, cygańskie go poty obleją. Ja raz połakomił się na jabłka w sadzie. Upał był, a my pszenicę zwozili. Co jadę z furą, to patrzę na drzewo za płotem i aż mi ślinę pędzi.

Tak sobie dumam, aż tu zza płotu pani na mnie kiwa i śmieje się.

-- Karpina, mówi, ty coś się bardzo tym jabłkom przyglądasz! Żeby ty nie był swego ojca syn, tobym źle o tobie pomyślała. Masz tymczasem kilka; wieczorem dam ci więcej. Czemu nie poprosisz?

Smaczne były jabłka. Nie patrzcie, ba'ku, tak surowo! Boh me, nie pomyślałem kraść. Daj Boże wam i pani zdrowie! Nauczyła mnie prosić, a potem tom ogrodu po nocach pilnował z własnej ochoty.

-- Wy! Wiadomo, że wam wszystko można! -- ktoś burknął zawistnie. -- Wam i pasza wolna, wam i zagony dają, wam i len sięją za to, że szczekacie za panem.

-- A czegoż wy szczekacie przeciw panu? Macie swoje zagony i paszę, do roboty was nie zmusza, za pracę co chcecie, płaci!

-- Niech jego lichy znajdzie! -- nie mając innych argumentów, chłop zaklął.

-- Was już znalazło! -- ponuro zakończył Huc.

Kalenik, który do rozmowy się nie wtrącał, słuchał jednak bardzo uważnie.

Przez tydzień zastępstwa Matwieja poznał dwór i podobał mu się pan. Wywodów starego nie rozumiał, ale czuł, że on wsi nie chwali, że pan wsi nie lubi i że złodziej przeciw głupstwu uczynił.

-- Taki to dobrze, że ja truś -- pomyślał.

Wieczór się kończył, więc ludzie się zaczęli rozchodzić. Gdy Kalenik za drzwi się wysunął, dogonił go stary Huc i zatrzymał słowem.

Potem latarkę zapalił i z cicha do parobka szepnął:

-- Chodź, ja tobie coś pokażę.

Poszli na podwórze, za stodoły Hubeniów. Tam Huc latarkę na ziemi postawił i jął śnieg koło węgła rozrzucić. Pokazał się szary przedmiot -- worek, a w nim coś niewielkiego.

-- Wasz to worek? -- Huc spytał.

-- Nasz! -- po chwili oglądania odparł Kalenik. Wtedy stary rozgarnął worek i pokazał

zawartość.

-- A n d y k ! -- przerażony szepnął parobczak.

-- Zadusił się przypadkiem! No, teraz już i ty wiesz, kto złodziej. Baczże, byś takim się nie stał! Ojciec twój był rzetelny człowiek.

To mówiąc, stary zarzucił na ramię worek i odszedł. Kalenik, zmartwiały ze strachu, pozostał.

-- Moja dola! -- zamruczał. -- Wezmą starego do turmy, doigra się on biedy. Pewnie andraki nieboszczki wykupił tymi andykami. Daj-ta Boże, by go wzięli albo zaraz, albo na jesieni. Co ja zrobię sam jeden w chacie latem?!

Noc była jasna: widział, że stary Huc, worek na plecy założywszy, ku dworowi szedł, szedł dla nich po zgubę: więc wściekłość bezrozumna ogarnęła parobka i pięść ku tym murom podniósł.

-- Na co wy tam? -- zamruczał. -- Żeby was nie było, nie mieliby ludzie gdzie kraść, a mieliby więcej zagonów. Przepadnijcie!

Marzec

Ulitowała się ziemia karmicielka nad bydłem wychudłym, ulitował się Bóg nad dziećmi i starcami, których zima i post dziesiątkował. Przyszła wczesna wiosna.

Niósł ją na swych skrzydłach Anioł Zwiastowania, jako wieść błogą zza ciepłych mórz.

Równina szerniała; ukazały się długie, regularne linie zagonów, jedne nagie, inne spleśniałe, martwą jeszcze runią pokryte. Na łożach pozłociły się kity, na czeremchach strzeliły pąki, na skłonach rowów od południa już zieleniała młoda trawka.

Tylko wieś była czarną od błota i starości.

Ulica tworzyła otchłań cuchnącą, chaty wilgoć powlekła pleśnią burą, przerwały się wszelkie komunikacje, oprócz urzędowych do gminy.

Ulicą, oprócz dzieci, babrających się z lubością w błocie, i nierogaczyny wpółdzikiej, nikt nie chodził.

Była to coroczna pobudka do ciężkiej, krwią, łzami i potem wypisanej kampanii wojennej z ziemią, deszczem, skwarem, gradem, posuchą, burzami, o byt i chleb zimowy.

Potem nastąpiła pierwsza utarczka. Z obór, od pustego żłobu i drabiny, wypędzono bydłaki na rolę jeszcze prawie czarną, w wiosenną grzędawicę.

Niesiono do dworu ostatnie grosze za paszę w dąbrowie, za strugą i szły tam bydłatka, przeraźliwie rycząc.

Paszy i tam było niewiele: zeszłoroczne wrzosi i paprocie, ale resztę siana oszczędzano dla wołów roboczych. Cielaki, krowy, owce niech idą: głodne wrócą, ale „wytrą się i poweseleją!” -- mawiano filozoficznie.

Poszła wraz z innymi i krowina Makuszanki, karmicielka i pieszczocha wyrobnic.

Żywiły ją całą zimę kartoflami i kupną plewą, trzymały w sionkach. Poszła w dąbrowę i Łucysia z nią, kwit kupiony we dworze zawinąwszy w rożek chusteczki.

Wieczorem Hubenie wieczerali właśnie, gdy obie kobiety wpadły do izby z płaczem okrutnym.

Łucysia zsiniała, mokra od błota i wody, bosa i drżąca, nie mogła słowa wydobyć z gardła i tylko modre swe oczy łez pełne, wznosiła na Kalenika. Stara rzuciła się do Sydora:

-- Poratujcie, ulitujcie się! Cieluszka zagrzędła w strudze. Tylko głowę i grzbiet widać: zdechnie. Dajcie pomoc! Co chcecie, wam uczynimy!

Kalenik łyżkę położył i świtę naciągnął na grzbiet, ale stary powstrzymał go:

-- Co to? Będiesz darmo się mordował! Toć trzeba nam trzem iść z sznurami, z wozem, z kobyłą! Co ty, babo, dasz za fatygę?

-- Dam, co zechcecie! -- wołała desperacko baba.

-- Nu, dasz dziewczynę do grabania siana w Perechreściu?

-- Oj, dam! -- jęczała, odchodząc od przytomności.

-- Nu, to dobrze! Niechaj dziewczyna siermięgę zostawi w zastaw: jak skręcicie, to siermięga nasza.

-- O Jezu! -- szepnęła cichutko Łucysia, ale bez protestu zdjęła świteczkę z siebie i została w koszulinie przemokłej, wciąż na Kalenika spoglądając.

Stary zastaw wziął i do komory zaniósł, a tymczasem Kalenik chwycił sznury, siekiere, drag i przodem ruszył.

Kobiety szły za nim, zawodząc, jak na pogrzebie. Szczęściem noc była jasna: trafili bez błędzenia na miejsce wypadku.

Krowinę istotnie chwyciło trzęsawisko, zaląła woda wezbrana. Leżała skostniała, łeb nad wodą wznosząc i wzrokiem gasnącym wyglądając pomocy.

-- Krasia, Krasia! -- zaczęła ją z płaczem wołać Łucysia. Krowa poruszyła się rozpacznie i

wydała słabe mruczenie.

-- Nie płacz! Będzie żyć, kiedy dotąd nie utonęła -- rzekł do dziewczyny Kalenik.

Zrzucił świtę i wszedł do wody; za nim odważnie szła dziewczyna.

-- Zmarzniesz. Siedz na brzegu! -- burknął.

-- Nie, już ja trzy razy przy niej byłam, tylko nie dałam sama rady! -- odparła, szcękając zębami.

Weszli tak w wodę po pas, stanęli nad krową.

Jeszcze resztki lodu niosła struga, a zimno tamowało oddech. Na brzegu Makuszanka lamentowała.

Kalenik otoczył krowę sznurami, końce przez ramię sobie założył, skupił się i począł ciągnąć ku brzegowi. Łucysia łeb Krasi utrzymywała nad wodą.

Parobek sapał i stękał, w półzgięty, pracując jak dla siebie, zrobiło mu się ciepło nawet w tej wodzie lodowatej. Pewny był, że i Matwiej Huc siłacz wioskowy nie dokazałby tyle, i dumą go to nappełniło wobec dziewczyny.

Włókł krowinę, sam ledwie mogąc wydobyć nogi z mułu, pobudzał go do nadzwyczajnych wysiłków, cichy, dziękczynny szepł Łucysi.

-- Mój sokołyku, mój łabędziu! Daj tobie, Boże, wszystko dobre, że ty nas ratujesz!

Na brzegu stał już Sydor z wozem, ale nie kwapił się z pomocą; stał Kiryk i przyglądał się beczynnemu.

Wydobył Kalenik z kobietami krowinę na suche. Leżała jak martwa, sztywna.

Podniesiono ją za pomocą drągów na wóz i Sydor popędził klacz.

-- Padlinę przywieziemy do wsi -- rzekł. Wzmógł się płacz kobiet, który Kiryk przedrzeźniał. Kalenik, skostniały, pobiegł przodem. Od przymrozka nocnego sztywniała na nim zmoczona bielizna, dzwoniły zęby, pot zamarzał.

Dopał chaty i prędko na piec się wgramolił.

Miejsce to pożądane zajmował chyba w nadzwyczajnych wypadkach. Był to tron gospodarza.

Dym tam był gęstszy, ale ciepło rozkoszne. Skulony na glinie, parobczak tajał i sechł. O zmianie bielizny wcale nie pomyślał. To należało do niedzielnych przywilejów. Para, upał i spokój powoli usypiały go. Wyciągnął się na gorących ceglach i zdrzemnął.

Zbudziły go szturchańce.

-- No, czego ty tutaj? -- wołał Sydor. -- Taki byk będzie się na piecu wylęgał. Nu, pójdiesz stąd!

Parobczak zerwał się i oprzytomniał.

-- A cóż krowa? -- zagadnął.

-- Nic jej nie będzie. Nu, lamentował ty wczoraj, kogo wziąć do Perechreścia. Ot, Bóg da!...

Kalenik stanął już na ziemi, w środku izby, i milczał. Potem siermięgę narzucił i wyszedł.

Makuszanki krowinę wprowadziły do chaty, do ognia; okrywały ją własną, odświętną odzieżą, karmiły chlebem.

Krasia dawała się pieścić i jadła chciwie; spojrzała na Kalenika okrągłym swym okiem i wyciągnęła doń pysk.

-- Dywy! -- rzekł ze śmiechem -- A to mnie poznała! Łucysia przebierała się w ciemnym kącie, stara zaczęła go błogosławić i dziękować.

-- Pobawcie chwilę! Nie mam co dać, to choć wódki z karczmy przyniosę! -- zawołała wreszcie i poszła z flaszką.

Dziewczyna wyszła z kąta w śnieżnej koszuli, rumiana, uśmiechnięta.

-- A świtka w naszej komorze! -- zaśmiał się. Wesołość jej znikła. Popatrzyła na niego z przerażeniem.

-- Albo to prawda ma być! -- szepnęła.

-- A jakże! Pojedziesz ze mną na sianokos.

-- Z wami! O Jezu! -- szepnęła.
-- Tak jęczysz, jakby to niedola była.
-- Mnie was tak straszno!
-- Czego? Albo ja tobie liche słowo kiedy rzekł, albo uderzył? Durna ty!
-- Mój Boże! Mnie się zdaje, że wy źle myślicie. Ja by od was uciekła za lasy.
-- Nie uciekniesz. A nie bój się! Czego się trzęsiesz?
-- Dola moja! Jak do Perechreścia pójde, kto tutaj we dworze za len odrobi i za kartofle i za siedzibę!
-- Albo to tylko we dworze pole jest? Posiejesz u mnie, posadzisz kartofle. Odrobicie mnie!
-- O Jezu! Kiedy mnie was tak straszno!
-- Tfu! Narzucił tobie kto ten lęk? Chcesz, ot, patrz: palec na palec składam i poprzysięgnę, że tobie nijakiej krzywdy nie uczynię. Tak mnie, Boże, dopomóż!
Rzeczywiście palce na krzyż złożył i zaklął się uroczyście.
Dziewczyna przeżegnała się.
-- Taki mnie lżej teraz będzie! -- szeptała, patrząc na niego przez łyżę.
Zbliżył się do niej i, jedną ręką krowę gładząc, co ich rozdzielala, drugą po warkoczu jej przesunął.
-- Złoto moje! -- rzekł z cicha. -- Żebyś ty choć bydła kilkoro miała, tobym ciebie wziął; żebyś choć szmatek ziemi miała, tobym do ciebie w prystupy szedł. Tak ja ciebie w serce wziął, tak mnie zenić się nie chce, choć muszę! Boh me! Będę ciebie lubić, będę ciebie szkodować, a niech mnie Bóg ciężko skarże, żebyś cię, sierotę, miał ukrzywdzić.
-- Daj tobie Bóg zdrowie! -- wdzięcznie rzekła dziewczyna. Makuszanka skrzywnęła drzwiami, więc umilkli i pieścili Krasię faworytkę.
Kalenik poczuł w sobie wielką powagę i godność, jakby go starostą obrali. Łucysi biło mocno serce.
Stara przyniosła wódki i nalala parobkowi sporą miarkę. Wychylił -- po nim kobiety; zagryźli chlebem. Wypili po raz drugi i zaczęli żywiej gwarzyć i śmiać się. Wódka zabarwiała im szarą dolę, mamila ciepłem, swobodą, dostatkiem.
Kalenik rozparł się na stole i głośno swe marzenia rozpowiadał:
-- Żebym ja królem był, toby ja wszystką ziemię sobie wziął, pany by mnie robili, a ja by wódkę gancem pił, a tłustość łyżką jadł i w trzy kozuchy się ubierał.
Łucysia zaczęła śpiewać, zanosząc się od śmiechu:

Zaprowadźcie żywą wodę do sadu, do wiśniowego,
Przyprowadźcie, dobrzy ludzie, mego chłopca miłego.

Makuszanka rozsiała się na ławie jak królowa i postawiła przed sobą butelkę:
-- Teraz moja wola i dola! -- wołała, machając rękami. Nie wiadomo, co by się stało po trzecim kieliszku, bo przy tym machaniu stara strąciła flaszkę.
Czarodziejski płyn rozlał się szeroką strugą na stół i na ziemię i wszystkich to nieszczęście otrzeźwiło. Wlepili oczy w kałużę wódki. Łucysia zapłakała, Kalenik splunął -- i czar prysnął.
Znowu byli biedni, nędzni, poczuli dokuczliwiej swe mozoły i ciężar żywota i umilkli przygnębieni, oszołomieni.
Parobek wyszedł zgarbiony, leniwie wlokąc nogi ociężałe. Nie zapłacone podatki, brak paszy, przednówek długi, koszt wesela, brak rąk w chacie -- wszystko stanęło mu na myśli.
Szedł poza stodołami, wicher marcowy szumiał i siekł mu twarz, niebo, od chmur zbałwanionych czarne, wisiało mu nad głową; w ciemności tej, gdzieś górą, niewidzialne ciągnęły gęsi dzikie. Krzyk ich, zmieszany z żalonym poświstem wiatru, słyszał chłop. Leciały na Perechreście zapewne.
Tak idąc zamyślony, potracił kogoś.

-- Pochwalony Jezus! -- pozdrowił go poważny głos starego Huca.
-- Na wieki! -- odparł półgębkiem, spuszczać głowę.
-- Jak wilk chodzisz nocą. Dawnom ciebie u siebie nie widział.
-- Żebym żyto miał do zwrócenia, albo deski, tobym wstąpił, a tak -- boję się. Pomyślicie, że znowu o co prosić będę -- rzekł Kalenik.
-- Głupia dumka! Choćbyś i o co poprosił, to nie wstyd i nie grzech, byleś sam nie wziął.
-- Nie, Boh me, nie! Ja tr u s powtórzył swoje Kalenik.
-- To dobrze. Dostyc w chacie dwóch złodziei.
-- Bodaj ich palarusz! -- zamruczał parobczak.
-- Prosić -- nie grzech! -- mówił dalej stary. -- Każdy prosi, najbogatszy i najszcześliwszy, bo nie ma takiego na świecie, co by do Boga i dobrych ludzi interesu nie miał.
-- Alboż Bóg jest? Starzy jego wspominają, może widzieli. Ja nie słyszał jego i nie widział.
-- Durny ty całkiem! -- rzekł lakonicznie Kornilo, a parobek ani się obraził, ani zaprzeczył. Stanęli na podwórzu Huców. Gospodarz się odezwał:
-- Wejdz, powiem tobie słowo!
W chacie wszyscy spali. Czekala na powrót starego lampka i Olenia Prytulanki, pilnując, aby wieczera nie wystygła; podała mu ją i usiadła w kąciku, zaspanymi oczami przyglądając się Hubeni.
-- Zapóźniłem się u pana! -- mówił Huc, jedząc powoli. -- Co dzień więcej roboty! Co wasz chłopiec będzie robił latem?
-- Bydło będzie pasał, jak e g z a m e n t złoży.
-- Taki wielki! Mogłaby dziewczyna bydło pędzić. Chłopiec ze starym daliby rady gospodarce, a ty byś mógł co zarobić. Zgódź się do dworu za rataja!
-- Ja? Co wam się widzi? Miałbym swoje rzucić, a cudzego pilnować? Tfu! Z gospodarza na batraka iść!
-- Albo to twoje? Stryjowskie. Batrakiem ty daremny u niego służysz, a dosłużysz się nędzy. Zobaczysz!
-- Jakże? Moje to! Statok (bydło) ja pohodował, choromy (budynek) postawił, pole robię. Na swoim ja pan.
-- Chorowanie -- twoje panowanie. Patrzył ja na twoją pracę i dlatego, żeś c z e s t n y i cichy, żał mi ciebie. Ty myślisz, że ja ciebie obrażam? Nie, ja tobie łaskę chcę zrobić. Miałbyś pieniądze i chleb.
-- I niewolę! -- przerwał parobek.
-- Ino umarły -- wolny! -- poważnie rzekł Huc. -- Ino rozumny -- bogaty. A my wszyscy raby (niewolniki). Ja tobie dobre słowo mówię. Ty o sobie pomyśl sam, bo ty ni bafka, ni maty, ni żonki nie masz, co by za ciebie pomyśleli, a ty cichy i spokojny jak owca. Z ciebie runo kto chce zdejmie i gołego wyrzuci. Tak ja tobie mówię. Oddziel się od stryjów, póki czas, póki to szczenię w wilka nie wyrośnie, a Zacharko nie wróci. Oddziel się i na rataja idź! Parę lat przesłużysz, zarobisz pieniądze, ożenisz się i obudujesz. Wtedy ciebie nikt nie wypędzi.
-- Niech oni precz idą! Mój ba'ko starszy był, nasza to chata. Tyle ja lat pracował! Zostanę! My, Hubenie, z rodu nie służyli panom, gospodarzami umierali. Żeby wy mnie setkę rublów dawali, nie pójdę z cudzymi wołami na cudze pole.
Huc łyżkę odłożył i usta rękami otarł.
-- Nie, to nie. Twoja wola. Batraków dużo na świecie. Z dobrego zyczenia ja tobie słowo rzekł. Pokaże czas, kto durny był. Idźcie i pilnuj, niebożę!
Kalenik wyszedł wzburzony. Nie sypiał w chacie teraz, gdy było ciepło, ale przy wołach w oborze.
Otworzył skrzypiące wrota i omackiem trafił do siana, do złobu.
-- Moje wy rodzone, moje wy dzieci! -- szeptał, podręcznego gładząc w przechodzić -- Potruję ja was prędzej, niżby kto drugi na was jarzmo kładł. Macie, jedzcie siano, jedzcie, wy

moje!

Potem się w to siano zagrzebał i zasnął, ale budził się często i ręką niespokojnie szukał wołów.

Roilo mu się, że mu je Huc zamienił.

Nazajutrz było święto.

Niebo na tę uroczystość wymiotło chmury, aż hen, na skraj, nad bory; ubrało się w odświętny błękit, wiatr nie smagał, ale gładził, słońce odwiedziło mroczne głębie podwórza chat, zajrzało do izb czarnych i, jakby przerażone tym, co tam ujrzało, umykało coraz dalej i wyżej.

W chatach od wczesnego rana panował ruch uroczysty. Uroczystość-bo to była rzadka, tygodniowego ochędóstwa. Myli się starzy i młodzi, dziewczęta i kobiety zaplatały warkocz, dzieci przemocą zanurzano w wodzie, wszyscy oblekali czystą bieliznę.

Chlebowym kwasem z dzieży pomyte włosy straciły wszelki pozór włosów, wyglądały jak peruki, ściśle głowę otaczające; szare płótno koszul zachowywało odświętną sztywność; kto posiadał buty, czernił je smarowidłem od wozu.

Inny, niż zwykle, gwar odejmował zagrody.

Były tam swawolne śmiechy dziewcząt, dowcipy parobków, krzyk dzieci, gospodyń, drugie rozmowy. Powszedni ranek tłumiał te wybuchy koniecznością pracy; dziś rozwiązywały się usta -- i namiętności.

Aż wreszcie w ten gwar wpadł pierwszy odgłos dzwonu, potem drugi, dziesiąty, setny.

To kościół wołał i przypominał, że nie trzodą są, że do ich dusz mówić będzie Bóg.

Na wołanie to przodem ruszyli starzy. Widać ich było zgarbionych, zapatrzonych w ziemię, jak szli powoli pojedynczo, w wielkich baranich czapkach i długich świtach, kijem się wspierając.

Z nimi ruszył Kornio Huc i, odchodząc, synów napędzał do pośpiechu.

Ale ci jeszcze gotowi nie byli. Matwieja ubierała żona, kobieta ładna i kochana, jak matka w chacie; średni Wasyl na żonę czekał, paromiesięczną swą córeczkę na rękę trzymając; Karpina elegantował się jako kawaler, któremu gody chodziły po głowie.

Prytulanka czesała Ołeni ciemne włosy, zaplatając w nie pęk czerwonych tasiemek.

Stary sam ruszył, bo i do spowiedzi się wybierał. Przechodząc, zajrzał do Hubeniów. Dzieci wypędzaly bydło na paszę.

Bose i obdarte, z torebeczkami przez plecy, w których chleb na dzień cały niosły, szły za bydlęm ciche i zadumane. Przodowała Mokrenia, krocząc z powagą dorosłej osoby, włókl się za nią Sak nieodstępny, w koszulinie tylko, krajeczką podpasany, ciągnąc" za sobą długi bat, którego jeszcze użyć nie miał siły.

Gdy dochodził wrót, zza węgła zaczajony Kiryk cisnął za nim ułamkiem kołka. Pocisk trafił chłopczynę w nogi, obalił. Upadł twarzą w błoto, tak wystraszony i znękany, że nawet głosu nie wydał z siebie. Zerwał się, obejrzał i uciekł na oślep, głucho tylko chlipiąc i utykając na skaleczoną nogę.

Bydło weszło w grzędawicę bezdenną ulicy wioskowej, a pastuszki za nim, tonąc po kolana.

Stary Huc stęknął, jakby go ból porwał, i poszedł, pod stopy patrząc, bardzo chmurny.

Teraz za starymi ruszyły kobiety, gromadkami się kupiąc, jak gęsi białych stadka. Białe ich zawoje wiatr rozwiewał; gadały dużo, głośno, gestykulując.

Opowiadały sobie wśród śmiechów kłótnie małżeńskie, bijatyki, skandale wioskowe. Przechwalały się z razów, które otrzymały, jako z rzeczy do życia niezbędnej. Prawiły o gospodarstwie, o lnie.

Przez długi tydzień uwięzione pracą przy kominie i warsztacie tkackim, teraz językiem swoim, złośliwym i brutalnym, popuszczały cugli.

Jeśli chwaliły cokolwiek, to tylko dzieci swoje.

I tak partiami cała Hrywda ciągnęła do Boga.

Ostatnia ruszyła młodzież. Ciągnęły tabuny dziewcząt postrojonych w chustkach białych i krasnych, w świtkach czystych. Gromadki parobczaków łączyły się z nimi, wpadały na nie z boków, zaczepiając, zagradzały drogę niekiedy.

Tłok się czynił i szamotanie, wrzaski nieludzkie. Rozlatywali się jak wróble stadło, rozbijali na drobniejsze cząstki, ociągali się, kryjąc za węgły i płoty.

Nie kwapili się do Boga. Wiosna była dla nich, jak dla ptaków, okresem swawoli i miłości.

Kalenik szedł z Karpiną. Obydwaj mieli żenić się po Wielkiej--nocy, więc dziewczęta przepadały za nimi.

Szli też dumni, z czapkami na bakier, pozwalając się kochać.

Karpina za każdym węglem ścisnął coraz to inną, zaczepił każdą, droczył się, dowcipkował.

Hubenia roślejszy, bogatszy, znany ze statku i pracy, imponował bardziej.

Patrzyły na niego dziewczęta, szturchając się i szepecząc:

-- Dywy, jaki on strojny! Choć gospodyni nie ma, koszula jak śnieg, a jaka długa! Ktoś mu i ręk i płótna nie żałuje.

Rzeczywiście bielizna parobczaka na schwał była uprana. Spod rozpiętej niedbale świty koszula świeciła białością nieskalaną, ściągnięta u szyi czerwoną tasiemką.

On się nią chlubił, ręce za krasny pas zakładając. Onegdaj Łucysia mu ją tak ubieliła, w rzece lodowatej po kolana stojąc i swymi rękami grube szmaty trąc, aż jej palce krwią spłynęły, aż ją w tym chłodzie pot oblał.

Zagadnęła go jedna z dziewcząt o to pranie. Ramionami ruszył tylko, ale się nie pochwalił.

-- Jest taka, co pierze! -- lakonicznie odparł.

Obejrzał się raz i drugi i nagle przystanął. Na ostatku, za całą wsią, szło troje ludzi.

Kalenik ich poznał i zdumiał.

Szli, kwapiąc się. Przodem stara Makuszanka, za nią Łucysia i chłop młody, śniady na licach, mizernie i ponuro wyglądający.

-- Czyruków Tychon chodzi za Łucysią -- zaśmiały się dziewczęta. -- Chytra ona, na bohatera patrzy!

Kalenik raz drugi się obejrzał. Tak, znachora jednak to był: bohater. Mógł sierotę brać. Albo mu pola, bydła, czy pieniędzy brakło?!

Nie spostrzegł się, że go wyprzedzili rówieśnicy i dziewczęta, szedł coraz wolniej -- samotny. Ci ostatni dogonili go i minęli.

-- Pochwalony! -- rzekła Makuszanka życzliwie.

-- Dzień dobry! -- mruknął młody Czyruk.

On coś niewyraźnie odpowiedział i patrzył na Łucysię.

Milczała, nie podnosząc od ziemi modrych oczu; żary rumieńca miała na twarzy i zakłopotanie okropne.

Przeszli. Parobek patrzył za nimi.

Złoty warkocz pieściło słońce. Był, jak dojrzałej pszenicy wiązanka, taki bujny i ciężki.

-- Czyruków Tychon chodzi za Łucysią! -- brzmiało uparcie w głowie parobka. Opanowała go nuda nieznośna, potem cichy, głęboki gniew i mściwość.

Teraz by z rozkoszą ten warkocz targał, garściami to złoto żywe wrywał!

Ciężyło mu coś. Myślał, że to buty nowe, świta, czapka odświętna; włókł się jak stary.

Ostatni przyszedł do Bożego domu.

Kościół był drewniany, zewnątrz jaskrawo pomalowany, wewnątrz nagi. Lud go nappełnił po brzegi. Głowa przy głowie, pierś przy piersi -- stali wszyscy.

Gwar panował jak w ulu, popychanie, szamotanie.

I słychać było urywki rozmów, prowadzonych między sąsiadami:

-- Ta woły, bo woły, byle pasza.

-- Za dwadzieścia rubli siana zjadły.

-- Zasiałem wczoraj owsa króbkę. Nie wiem, czy urodzi, bo niż tam pod Osową, a co dzień

moczy.

-- Wczoraj kobyła się wyźrebiła. Żrebica łysa, jak to malowanie.

Tu ktoś się wtlaczał pomiędzy nich, więc rozmowa się zmieniła.

-- A cóż jarmark? Widzieliście byka?

-- Widziałem i sprzedałem.

-- Dali sorok?

-- Dali i baryszu pół garnca.

-- Słyszeliście? Czechów Maksym onegdaj u Chryna dwa sery ukradł.

-- Mohe! Złowili? To durny! Śmiech się rozlegał.

-- Moja kumo! -- mówiła baba jakaś, głową trzęsąc. -- Hultaj-bo hultaj, ta Motruna Syluków. Podumaj-no: toć bezdzietna, zdrowa, a przez zimę trzy tylko hyby (miara płótna utkała. A grubeż to, a węzłowate!

-- Ja wczoraj ostatnią sztukę odcięłam. Piętnaście hyb, jak to złoto gotowych, a już i andaraki posnute.

-- Dobry len się udał. Jak się susza wzięła, to we mnie serce zamarło, ano deszczyk odratował.

Dwóch wyrostków tłoczyło się naprzód, bez ceremonii na prawo i lewo rozdając szturchańce.

Baby zaczęły im wymyślać, oni odpowiadali podobnie; tłum ich rychło rozdzielił.

Stanęli obok siebie i starszy szeptał:

-- Tak ty uważaj! Jak się zmierzchnie, to ja wejdę do chaty i będę ich zabawiał, a ty przez chlew do komory się wśliźnij. Już ja tam kamień spod ściany wysunął. Prawej strony się pilnuj, tam na drążku wiszą.

-- Wiszą? Widział ty dobrze?

-- Widział. Kielbas par z pięć i kumpiak (szynka).

-- Jak złapiesz, to na wygon leć, do koni.

Tu podnieśli głowy, bo śpiewacy chórem zaintonowali:

-- Zmiłuj się Boże! Zmiłuj! -- I tłum zakołysał się w pokłonie. Ale za ludem, ani śpiewaków, ani księdza widać nie było; więc po chwili znowu szmer rozmów zagłuszył modlitwę.

Kalenik wparł się z trudem do środka i docisnął do bocznego ołtarza. Kilkanaście świeczek malutkich płonęło przed nim. Były to ofiary.

Przed świętym złocistym klęczała kobieta.

Trzy świeczki dobyła z zanadru, kilkakrotnie dotknęła czołem podłogi błotnistej i owe świeczki skrzyła na opak „przeciw słońcu”.

Ruch ten zastanowił parobka, wtajemniczonego w zabobony.

Tak się czyni, gdy się przeklina kogo uroczyście.

Poznał kobietę. Nie opodał jego chaty mieszkała.

Skręciwszy świece, wstała, zapaliła wszystkie trzy knoty i przed obrazem zatknęła tę ofiarę.

Potem upadła na ziemię i, rozkrzyżowawszy się, jęła mówić, tak głośno, że słyszeli wyraźnie otaczający:

-- Weźmij ty, Boże, onego, co mi płótno ukradł, i tak mu kości pokręć, jak te świeczki ja pokręciłam!

Niech mu to moje płótno na śmierć służy, niech go w nim robaki toczą, niech mu z każdej nitki rana stanie na ciele, niech mu oczy wyjdą, niechaj go wilkiem wodzi po błotach!

Jako te świeczki płoną, tak niechaj go gorączka pali, niechaj mu węgły ogień weźmie, niech mu dobytek poniszczy. Tak ja go przeklinam i przeklinać będę co dnia -- co nocy, co ranka, co wieczora, jedząc i pijąc, śpiąc i pracując, żeby on zmarniał, żeby on przepadł, żeby go na rozstajach diabeł zadusił. Amen.

Ludzie słuchali, rozstępowali się, zegnając przerażeni, uszanowaniem zdjęci. Po ciele Kalenika dreszcz przeszedł. Usunął się i on; baba została u obrazu na ziemi i mówiła dalej,

ciągle, a świece paliły się, skwiercząc, a z lnianych knotów długie pasemka dymu wstępowały do góry.

-- Boże, zmiłuj się! Zmiłuj! -- raz drugi chór szkolników zaintonował. Ostre wonie kadzideł rozeszły się po tłumie, który się znowu zakolysał, do ziemi po kilkakroć czoła chyląc.

Teraz w głębi głos księdza się rozległ, czytającego ewangelię. Pojedyncze słowa i dźwięki dobiegały tylko uszu.

-- Cytze! Cyt! -- wołali starsi.

Ale już młodzież rzuciła się do odwrotu z hałasem okropnym i tratowała, kogo nie pociągnęła za sobą. Słysząc było:

-- Puść! Zadusisz! Bodaj ciebie lichy zjadło!

-- A dasz porcję? Zadatek na flis wzięłeś.

-- Boh me! Nie udawaj! Albow nie widział jak cię Kiprjan ścisnął!

-- To święto. Niech Żyd garniec postawi, a nie, to go ze wsi wyrzucić.

-- Ty złodzieju! Szelmo! Wyjadaczu!

Wysypali się przed kościół. Twarze były czerwone i spocone od zaduchu i ścisnu. Na cmentarzu tu i ówdzie zaczynały się bijatyki. Blisko drzwi Kalenik spotkał stryja.

-- A co? Byliście u spowiedzi! -- spytał.

-- A jakże! -- Sydor się zaśmiał triumfująco.

-- Chytry ksiądz, ale ja jeszcze chytrzejszy. Zachodził on mnie z tej strony, zachodził z tamtej. Pytał prosto i krzywo, godzinę męczył, a taki ja jemu nic nie powiedział.

-- Aaa! -- zdumiony zawołał Kalenik, przejęty dla stryja rzetelnym uszanowaniem. -- Oni mnie męczyli tamtej niedzieli, ano ja durny mówił tak na wszystko!

-- Wiadomo, że ty durny! -- pobłażliwie rzekł Sydor. Hrywda, oddawszy co boskiego Bogu, szumną, huczącą falą wylała się na gościniec. Tu chwilę skupił się tłum, ale wnet rozbiegł się w stron kilka, rozbity na drobniejsze potoki.

Starzy pociągnęli w pola jeszcze puste, aby runie obejrzyć i o dawnych czasach pogwarzyć; odpowiedzialni chatni gospodarze zwrócili się do zarządu gminy, gdzie, jak w każdą niedzielę, sądy się odbywały i narady; parobcy zdąжали do karczmy: tylko kobiety wracały do chat, do ognisk, kwapiąc się, by parogodzinną zwłokę odpracować.

Po chwili kościół, pusty, duszny od kadzideł, zamknął sługa, aż do następnej niedzieli.

Kalenik doczekał się Łucysi i Tychona. Wracali jak przyszli, razem: pod eskortą matki. Przyłączył się do nich i rozmawiali o potocznych sprawach.

Dochodząc karczmy, Hubenia zaproponował „porcję”.

Weszli, bo żadne chłopskie serce tej się pokusie nie oprze.

Parobek kazał dać kwartę wódki i śledzia dla każdego.

Usiedli za stołem, wypili po kieliszku, zagryźli śledziem. Nie wydał się dość słonym: więc kazali Żydówce podać soli, maczali go i jedli.

Potem wypili po drugim kieliszku. Kalenik rękami usta otarł, zaczął przekomarzać się z Tychonem. Kobiety się śmiały, śmieli się wszyscy obecni.

Czuruk oddawał żart za żart. Chuderławą jego postać wziął za cel dowcipów Kalenik -- najdrażliwszą kwestię wioskowego „mołodca”.

On sam, rosły, silny, cwanił się swą mocą i wzrostem.

Na ciemną twarz Tychona występowała krew. Ludzie się śmiali pogardliwie, śmiały się kobiety.

-- Żeby ty żonkę wziął, toby ciebie biła co dzień. Żeby ciebie bocian na łące spotkał, toby wziął jak żabę. Chcesz? Najmę cię, jak proso dojrzeje, co byś w nim stał od świtu do nocy. Nocą to cię zwolnię, boby cię sowa zjadła. Jak ty kosisz, to pewnie ciebie kosa wodzi, a nie ty ją. A wołyż u ciebie, woły! Zaglądają na rataja, a baczą, holopa (kość) je zagania. Był ja kiedyś na wieczornicy, a tu psy wyją, dziewczęta się postrachały. My patrzymy, aż to Tychon, rad by wejść, a nie może, bo psy jak tę kostomachę (szkielet) zobaczyły, łaja jak wściekle.

Ogromny, chimeryczny śmiech ogarnął karczmę, ludźmi natłoczoną.

Czyruk poskoczył z miejsca.

-- A nu, pomocujęm się! -- krzyknął, zwijając pięści. Rzucili się na siebie. Rozległy się głuche razy.

Kobiety zbiły się w kąt, krzycząc; mężczyźni po każdym mocniejszym ciosie śmieli się z rozkoszą.

Tak na tokach wiosennych w głuchej puszczy biją się dwa głuszce współzawodniki, a reszta, obstąpiwszy plan walki z daleka, oczekuje rezultatu, nie pomagając, ani broniąc.

Pomimo wątlej postawy, Tychon, złością podniecony, bronił się dzielnie w niedźwiedzim uścisku Kalenika.

Leciały garściami to płowe, to czarne włosy, to jeden, to drugi przypadali do ziemi i porywali się znowu, u jednego i u drugiego krew była na twarzy i odzież potargana.

Nareszcie Hubenia za piersi porwał Czyruka, podniósł w górę i cisnął z impetem o ziemię.

Straciwszy grunt pod nogami, Tychon runął, krew mu się rzuciła nosem i ustami, pozostał nieruchomy.

Wtedy dopiero ludzie uznali za stosowne Wmieszać się pomiędzy walczących.

Ktoś począł reflektować Kalenika, inny oblał wodą leżącego, kobiety zbliżyły się, ciekawe, czy nie zabity.

-- Duży, duży! Jak gruszkę rzucił! -- powtarzano z zapalem dla zwycięzcy.

Hubenia otarł krew z twarzy, ręce za pas założył i popatrzył na Łucysię.

Teraz był pewnym, że go kocha.

Ale dziewczyna, blada, spoglądała ku niemu ponuro, więc go znowu złość opadła. Nie wierzyła w jego pięści siłę.

-- Nu, może drugi mnie poduża? (pokona) -- zawołał.

-- Nu, ja! -- wyrwał się Maksym Syluk ze śmiechem.

-- To chodź po śmierć!

Wysunięto Tychona, który już przyszedł do siebie.

Parobcy splunęli w garście, jakby do cepów się brali, i skoczyli sobie do piersi.

Ale wtem drzwi karczmy rozwarły się szeroko i wszedł Kornilo Huc.

Spojrzał na zapaśników i surowo rzekł:

-- Wy tu jak zwierzęta się zajadacie, a dwór pełen waszych koni, owiec i świń. Cały ranek polowy spędza, to z koniczyny, to z rzepaku. Zobaczcie, ile szkody!

Pięści zapaśników opadły, ludzie rzucili się do drzwi. Huc jeszcze raz na Kalenika spojrzał.

-- Dzieci wasze po łąkach czajczych gniazd szukają, a bydło w dworskim chlewie zamknięte.

-- Moja dola! -- burknął desperacko parobek, wychodząc. Zabiegł do chaty, gdzie już Mokrenia i Sak przynieśli wieść straszną.

Sydor za kij od żaren chwycił, klnąc okropnie.

Dzieci schowały się pod piec, bardzo głęboko, gdzie kury mieszkały, i ryczały ze strachu i bólu, bo ojciec, nie mogąc ich „mlonem” dosięgnąć, szturgał na chybił trafił kociubą żelazną, wyrażając zabicie.

Ujrzawszy synowca, stary kociubę i złość na niego skierował.

-- Ty, wilcze mięso, po karczmach się tłuczysz! Za dziewczętami latasz! Ja tobie pokażę! Ja ciebie nauczę!

Parę razy dostał parobek kociubą przez plecy, zanim ją z rąk stryja odebrał. Nie bronił się, ani tłumaczył, zbyt był przerażony zajęciem bydła w szkodzie.

-- Teraz idź i wykupuj, idź proś! -- sapał Sydor. -- Ja nie pójde oczami świecić. Bogdaj ten dwór zgorzał, bogdaj ich lichy pobrało! Nu, idź, idź!

-- Nie wylezicie, szczenięta! Zobaczym. Wpadnicie w moje ręce! Żywcem was ze skóry obedrę!

Żaloszny jęk dowiódł, że trafił w któreś. Kalenik znowu mu kociubę z rąk wyrwał.

-- Nie ruszcie dzieci! Winien ja, to winien! Zakolecie które, będzie sąd. Toż małe, ledwie zipie! Dajcie pokój -- przekładał.

Piec deską zasunął, starego odprowadził na stronę.

-- Pójdę, wyproszę ten raz jeden. Jutro sam paść będę. Nie złościście się tyle!

Trochę się ogarnął i pobiegł do dworu.

Podniecony rozlicznymi wrażeniami był śmielszy niż zwykle.

Trafił do ekonomy.

Ten go wyfukał, wykrzyczał, ocenił szkodę na pięć rubli, groził sądem, nareszcie wypchnął za drzwi.

Chłop stanął na ganku z bierną, apatyczną cierpliwością i czekał, sam nie wiedział, czego.

Chodziło mu po głowie, żeby bydło wykraść nocą, ale się bał -- żeby iść do pana, ale nie śmiał.

Więc stał o słup oparty, spoglądając na podwórze.

Parobcy właśnie poili konie i widział Huców postrojonych, uwijających się żywo i wesoło około stajen.

Wśród nich stary Kornięto przesuwał się poważnie, to napominając, to ucząc, to chwając.

Godzinę, dwie stał Kalenik. Zdawało mu się, że z chlewa, gdzie spędzono chłopskie bydło, jego woły porykują, skarżąc się i prosząc ratunku.

Zebrało się więcej gospodarzy. Stali razem i z cicha gwarzyli, rozdrażnieni. Kalenik słuchał tylko.

-- Na co ten dwór? Żeby pana nie było, nie byłoby szkody.

-- Na złość nam zasiali koniczynę pod wsią!

-- Gwałtem grabią. Bydle przednimi nogami stanęło na granicy, zabierają.

-- Choroba na polowego!

-- Bo trza się zebrać nocą i dać mu pamiętne.

-- Dopóki my tu będziemy stali?

-- Do pana idźmy!

-- Boh me! Nie chcę! Niechaj zdycha „statok!”

Stali jednak pomimo pogrózki. Kalenikowi na płacz się zbierało.

Aż oto sam pan się pokazał. Zbliżył się do stajen i Karpiny Huca zawołał:

-- Skocz--no, chłopcze, na poddasze spichlerza! -- rzekł. -- Zdaje mi się, że tam sowa ma gniazdo. Zrzuc je! Coraz mniej gołębi widzę.

Karpina pobiegł na spichlerz, a pan chłopów ujrzał i zagadnął:

-- Czego wy, ludzie?

Zaczęli tedy wszyscy do nóg panu padać, po rękach całować i lament podnieśli pokorny.

-- Miłościwy panie, my wedle szkody. Ino się bydłę przez wał przebrało, zabrali. Nijakiej szkody nie ma. My pańskiego bardziej niż swego szkodujęm, pastuchów wysiekli. Ulitujcie się! Ten pierwszy raz darujcie!

-- Niech tam! -- machnął ręką pan. -- Dajcie po pięć kopiejek polowemu i zabierajcie bydło!

-- Miłościwy panie, to krzywda! Nijakiej szkody nie ma. Darujcie ten raz! -- jęczeli dalej.

Pan się roześmiał smutno i pogardliwie zarazem.

-- Przecie ja darowuję! Te pięć kopiejek należy się stróżowi! -- rzekł. -- Cóż więcej mogę wam zrobić?

Spojrzał po nich i do kieszeni sięgnął.

-- Cóż, chyba dam wam te pięć kopiejek gościńca za stratowany rzepak i koniczynę? Niech i tak będzie!

Śmiał się.

W drzwiach stajennych stał Kornięto Huc i patrzył ponuro na chłopów.

-- No -- dodał pan -- ty Czech, masz dziesiątkę!

Czech rękę wyciągnął i wziął.

-- Ty Syluk! Masz! Wziął i Syluk.

Huc splunął raz i drugi. Pan się wciąż śmiał i dawał. Nareszcie na Kalenika przyszła kolej.

-- A i ty tutaj, Hubenia? Czemuż to nie twój stryj przyszedł? Jest jeszcze kilka indyków. No, masz i ty dziesiątkę!

Kalenik podniósł oczy i ujrzał Kornię i Matwieja przyglądających mu się dziwnie.

Wtedy mu się coś stało, jakby srom, którego sobie nie potrafił wytłumaczyć, i o krok odstąpił.

-- Ja nie chcę! -- rzekł, głową trzęsąc.

-- Dlaczego? Bierz, kiedy tamci wzięli!

-- Ni, nie wezmę! -- powtórzył, jeszcze dalej się usuwając. -- Dam swoją dziesiątkę!

Dobyl z zanadru chustkę, w której rogu zawiniętych miał parę miedziaków, i poszedł za innymi.

Pan zbliżył się do Huców i rozmawiali z sobą przyjaźnie.

-- Ten coś wart, choć głupio wygląda.

-- Wart. Ino się popsuje. Dobry kiedy między złych wpadnie, albo zmarnieje, albo gorszym od nich się stanie. Ten dobry!

-- W służbę nie chce iść do nas?

-- Nie. Za rok przyjdzie!

-- Skąd wiecie, bafku? -- wmieszał się Matwiej.

-- Zobaczysz.

Uwolniono było. Za tabunem szli chłopci, ostatni Kalenik. Mijając spichlerz, zobaczył Karpinę, niosącego troje sowiąt z gniazda wydartych, śmiesznych, do kotów podobnych.

-- Daj mnie! -- rzekł.

-- Na co? Zjesz? -- zaśmiał się Huc.

-- Nie. Dzieciom zaniosę, niech męczą!

-- Weź!

Rozeszli się i Kalenik z bydłem ku wsi pociągnął. Wieczór się słał, nabrzmiały parami wiosennymi, pełen tajemniczego ruchu i drżenia.

Zdawało się, że ziemia tętni i dyszy, że niebo nad nią wzlatuje wysoko, że ją wiatr całuje.

Po dołach, gdzie zieleniała trawa, ociągały się bydłeta i Kalenik przystawał, ciesząc się, że jadły.

Łąka była wprawdzie pańska, ale dziesiątka była jego. A zresztą łąki nikt nie zasiewa.

Tak powoli zbliżał się do domu.

Na niebo czyste wpłynął nów i ciepły oddech miało powietrze od zachodu. Kilka pastuszych ligawek grało we wsi i słychać było nawoływanie parobków, zbierających się na nocleg z końmi.

Kalenik przyspieszył kroku.

Nikogo w chacie nie było. Sydor miał zwyczaj nocami się włóczyć, nie wiadomo, gdzie. Kiryk klacz na wygon poprowadził.

Dzieci tylko siedziały na przyzbie, zbite, od płaczu ogłupiałe.

Rzucił im sowięta na zabawę, a sam dobytku dopatrzył.

Gdy ukończywszy tę ostatnią robotę, wracał do chaty, ujrzał dzieci zajęte i już rozbawione; Mokrenia powiązała ptaszki na długim sznurku i włóczyła je po ziemi, a Sak szedł za nią z kijem i bił je i wołał:

-- To Kiryk, a to bat'ko. Masz tobie, bat'ku, masz tobie, Kiryk! A nu, a nu!

Wreszcie Mokrenię zazdrość zdjęła, więc zmienili role.

-- Ty ciągnij, Sak, a ja będę bić!

Sowięta już nie żyły. Bezkształtną masę puchu i krwi suwali dalej po błocie i wśród śmiechu wołali na wyścigi bijąc i depcząc.

-- To bafko, a to Kiryk! Bij bafka, bij! Kalenik minął je obojętnie, rad, że jeść nie wołają.

Z nieba nów srebrny tej zabawie się przyglądał, a gwiazdy mrugały -- jak oczy -- łez pełne!

Kwiecień

Na „Bocianie łapy” powrócił.

Kalenik zapamiętał ten dzień. Było to przecie święto, nie kościelne i nie dworskie, ale święto.

W przeddzień gospodynie napiekły „Bocianich łap”. Były to placki dziwacznej formy, które o świcie gospodarze rzucali ku niebu, odmawiając przyjętą od wieków formułę:

-- Bocian, bocian, naści holopę, daj żyta kopę!

-- Bocian, bocian, naści bronę, daj żyta „stronę”!

Bociany, zadumane na gniazdach, kiwały długimi szyjami; zawracały dzioby na grzbiet i klekotały rozgłośnie. Może obiecywały kopy i „strony”.

Potem odwiedziono karcznię, a wreszcie rozpełzli się ludzie po polach i drogach, lub spali po ciemnych komorach.

Roboty było mnóstwo przy siewach wiosennych, ale „Bocianie łapy” -- wielkie święto i wielki grzech cokolwiek w ten dzień robić, szczególnie kręcić. Toteż baby ani przędły, ani mełły, nawet łapci pleść nie wolno, nawet włosów zapleść.

Baby tedy gromadami obsiadły ulicę.

Zbierały się po kilkanaście i sejmikowały. Dziewczęta opodał zasiadały na ziemi przy rowach pełnych cuchnącej wody, w pyle drożnym, i sejmikowały także.

Minęła Wielkanoc, chodziły swaty. Dziewczęta to czuły, zhardziały.

Parobcy trzymali się także gromadkami.

Postrojeni, kopząc papierosy, stali gdzieś pod płotem, na kobiety wcale nie patrząc.

Czasem tylko te dwa grona młode łączył kurz, wznoszący się tumanami z ulicy, jakiś żart głośniejszy, lub kamień, ciśnięty przez konkurenta w plecy wybranej.

Tak się zabawiał, kto nie spał na „Bocianie łapy”.

Kalenik spał w zakątku chlewa pod zbożem. Siernięgę na głowę nasunął, chroniąc się od komarów, i chrapał na wyścigi z cielakiem, który odłączony od matki, ryczał w niebogłosy.

Parobek był szczęśliwy, że mógł spać. Marzenia jego nie sięgały dalej, tylko do spoczynku, chęci też nadzwyczajnie ograniczały się na tym, żeby choć raz co tygodnia były „Bocianie łapy” oprócz nie-- I dzieli. Śniło mu się zaś, że ożenił się i spał na żoninej pierzynie, na piecu.

Mógł spokojnie śnić i chrapać. W chacie ustalili się już letni porządek. Kiryk zdał świetnie „egzament” i zgodził się do wioskowych koni za pastucha, były więc pieniądze, a karmił się po kolei we wsi, jak umowa była. Dzieci nawykły do dworskiej dąbrowy za strugą, wypędzały bydło o świcie, wracały nocą, tak nasycone jajkami i pisklętami wydartymi z gniazd, że nie dopominały się wcale jadła.

Zbył więc Kalenik trzech gąb z domowego budżetu; opłacono podatki, sprzedawszy dwuletnią cielicę, ano i lato szło, kiedy ze zmęczenia i gorąca mało się je, kiedy zbytecznymi się stają buty, kozuch, czapka!

Szczęśliwy był Kalenik; żeby jaka-taka baba w chacie, nawet by się nie żenił, żalując kilkudziesięciu rubli, które zdałyby się na coś innego.

Ale baby nie było i Sydor groził, że sam się ożeni, jak się chłopiec będzie ociągał.

Na Zielone Święta obmyślono gody. Z kim, o tym mowy nie było. Kalenikowi było to zupełnie obojętne. Swachy zaglądały często, rając to jedną, to drugą; Sydor decydował się, albo na Szczerbiankę z Zamoroczenia, albo na Syluków jedynaczkę.

Parobek swatom tym, naradom, namowom przysłuchiwał się w milczeniu, nie wtrącając słowa.

Z lulką w zębach, zmęczone dźwiganiem sochy ramiona złożonywszy bezwładnie, siedział na ławie, spluwając tylko od czasu do czasu.

Apatyczna jego twarz nie ożywiała się na chwilę, senne oczy patrzyły w próżnię, lub w ogień

komina, myśli były na zagonie, który dziś orał, lub w chlewie, gdzie woły spoczywały.

Tylko co soboty nie było go w chacie wieczorem. Wracał późno, czystą bielizną cisnąc w zanadru, i wtedy czasem gwizdał nutę weselnej pieśni.

Noce stawały się coraz krótsze. Po wieczery ledwie parę godzin trwał spoczynek; potem w noc srebrzystą, na białą rosę, wypędzał woły i pasł je po rowach, po skrajach dróg, po miedzach.

Teraz więc spał z rozkoszą. Przez szczeliny ścian starych słońce do niego zaglądało coraz z innej strony. Mijały godziny.

W chlewie robiło się szarawo, po belkach siadały do snu wróble, świergocąc na dobranoc, pod dachem drzemiąca sowa wyciągała skrzydła do lotu: dzień dobiegał kresu.

Kalenik się przecknął i wstał opieszale.

Poczuł głód i nudę wielką, ziewnął raz i drugi, siermięgę włożył i wyszedł na podwórze.

Zmrok już był tak przejrzysty i cichy, że nawet chłop to zauważył i uczył nieokreśloną błogość.

Chwilę stał, wahając się. Za chatką Łucysi była gąszcz czeremchy w kwiecie, kędy chadzał co sobota; w chacie był garnek z zacierką...

Tam iść, czy tu?

Poskrobał się w głowę, pełną słomy i pyłu i zawrócił do chaty. Zacierka przemogła rywalkę o złotym warkoczu.

Siadł ze stryjem nad misą. Do chaty na noc schodziły się kury, gęsi i prosięta, wnosząc gwar ogłuszający; karmiono je, nie troszcząc się o czystość i porządek; dym zasłaniał, jak zwykle, pułap i ściany -- słał się aż w sieni, skąd go przeciąg wypychał na powrót do izby.

Wtem Łyska na podwórze wypadł i ujadać począł zawzięcie, jak na wilka, czy Żyda.

Obcy głos odpędzał go, ale pies nie ustawał.

-- Co za czart łązi! -- burknął Kalenik, wstając.

Aż we drzwiach stanął ów czart. Drab w żołnierskim odzieniu, z węzełkiem na plecach, ogolony, ostrzyżony.

-- Zdrowie, bratcy! -- rzekł głosem ochryłym, akcentem nie miejscowym, rzucając węzełek z pleców i salutując po wojskowemu.

-- I Boh me! Zacharko! -- krzyknął Sydor.

-- Tak, toczno! -- odparł żołnierz ze śmiechem.

-- Puścili cię! -- radośnie rzekł Kalenik.

-- A jakże! Ciągnęli losy, ja dobry dostał, taj, wolnym. Uf! Dajcie jeść i pić!

Rozpiął mundur. Koszulę miał perkalową, czerwono naszytą, na ramieniu spiętą, niby jaki pan, czy ekonom.

-- Tak, całkiem puścili? -- niespokojnie badał ojciec, dobrze jego mowy nie rozumiejąc.

-- A jakże! Bilet dali. Czysto trzy lata przesłużył, ni razu na karze nie stał.

-- I piechotę szedłeś?

-- Po żelaznej drodze jechał tyle świata! Myślicie, że to ja w powiecie był? Stali w grodzie wielkim Nowozybkow. Wiecie? Tej zimy u rotnego ja służył. Dobrze było. Piechotą z powiatu idę. Zmordował się!

-- Kalenik, skocz--no po wódkę i śledzia i bułki! -- zakomenderował Sydor.

-- Dajcie lepiej swego chleba! -- rzekł Zacharko.

Widział ja wiele rzeczy, co wam się nie śniły, ale co chleba swego, to nie widział trzy lata.

Kalenik pobiegł do karczmy, po drodze sąsiadom opowiadając wieść radosną.

-- Przechimowali, a wiosną puścili! -- powtarzał. -- Taki gładki (tłusty), jak harbuz powrócił. Do kosy, do sochy.

Sąsiedzi zeszli się do Hubeniów. Byli tacy, którzy synów mieli w tym pułku, inni przyszli przez prostą ciekawość i w nadziei kieliszka wódki.

Sydor szczodry był. Pili wszyscy.

Zacharko opowiadał dziwa łamaną mową, dziwa, których może sam dobrze nie pojmował.

Kalenik myślał wciąż o tej parze zdrowych, młodych rąk, które jak skarb przybywają do chaty. Teraz oni we dwóch cudów dokażą.

Zjadł tedy żołnierz swego chleba i zmorzony zasnął pod swym dachem.

Szeroki, wielki świat coraz dalej odeń odbiegał.

Chata, co go zrodziła, zabierała go znowu jako własność, zaciskały się ramy. Już drugi raz nie pójdzie Zacharko za te bory, otaczające Hrywde, i prędko zapomni, że był daleko, że widział różne dziwa.

Nazajutrz odpoczywał, odwiedzał znajomych, wstąpił do karczmy, oznajmił swój powrót w gminie. Z jednej armii przechodził do drugiej. Z tej drugiej dopiero go śmierć zwolni, kiedy los jej na niego padnie i bilet na Kniazie wydadzą.

Tymczasem był jeszcze jak gość, jak osobliwość. Świecił mundurem wśród świt, na krasny brzeg jego czapki oglądały się dziewczęta, pozdrawiali go wesoło rówieśnicy, starając się mówić, jak on, stylem wielkiego świata.

Chodził dumny jak paw, ręce trzymając w kieszeniach i paląc papierosy gotowe.

Kalenik wyrażał się o nim z szacunkiem, Sydor spoglądał na niego z dumą, ludzie zachwycali się, że taki tłusty i zdrów.

Tak odpoczywał dzień i dwa, wreszcie tydzień.

Nikt go do pracy nie napędzał. Kalenik co ranka wychodził z sochą lub broną, ino przypominał najmitce, żeby okrasy i mleka Zacharkowi nie brakło. Tak go pieścili!

Na polu roboty było dla trzech, ale parobek nie sarkał.

Księżyc mu przyświecał, gdy wychodził na zagon. Sochę zakładał na jarzmo i woły ją dźwigały, krocząc majestatycznie. On siedł za nimi w kozuchu, ale bosy, zaczerwienionymi od bezsenności oczami wodząc po niebie.

Miewało ono już na wschodzie perłowo-różowe tony, a miesiąc tę szatę srebrem przetykał.

Zroszona i cicha ziemia jeszcze spała i chłód rannego wiatru po niej się słał.

Za wsią Kalenik skręcał w prawo.

Tam, granicząc z dworskim łanem, cztery jego zagony wyciągały się aż het, pod las.

U kopca granicznego krzyż stał dwuramienny, pochylony nad chłopską rolę. U stóp jego głaz leżał i gąszcz chmielów szerniałe drzewo co roku mał. Wegetowała też u tej Męki gruszka dzika, rękami pastuszymi co rok łamana. Krzakiem się wreszcie rozpostarła, ni kwitnąć, ni owocować nie chciała i tak trwała od czasu, jak Kalenik zapamiętał.

U kopca zrzucał on sochę i jarzmo, na głazie kładł swą torbę z jedzeniem i woły pasł na miedzy.

Chłodna, biała rosa kasała jego bosc stopy; oparty na ośnie (kij do popędzania wołów) drzemał, bezwiednie posuwając się za wołami.

Na niebie coraz więcej było złota, coraz niżej spadał księżyc i gwiazdy gasły, jak wypalone strażnicze kaganki.

Wtedy Kalenik zaprzęgał woły i poczynał orać. Rataj był z niego wyśmienity. Bruzdy składał drobne, równe, rąk ni potu nie żałował.

Z ziemią tą pieścił się -- kochał ją i, idąc za sochą, przypominał sobie, ile mu ona w roku rodziła. Pamiętał snop każdy, czas każdego zbioru, słoty, które mu przeszkadzały, susze, które mu żdziblały.

Długie były te zagony i mieściły jasnych zbóż wszystkie gatunki. Uprawiał też je po kolei, pilnując się dni feralnych i pogody.

Daleko pod borem żyto jare srebrne już falowało, gdy on orał pod jęczmień. Za jarką owies ogniem złotej świerzepy się palił, czarno-zielono wschodziły kartofle.

Patrząc na nadzieje te chłop się nie cieszył. Zaledwie zasnawszy, myślał: na ile miesięcy plonu mu tego starczy, a ile dokupi na przednówku?

Kochanie to jego -- ta ziemia -- niewdzięczne było, zawodne; pot jego brało, jak mierzwę

sobie należną, płaciło zdradą i szyderstwem.

A przecie za kochanie to chłop dałby chętnie krew wszystką.

Wschodziło słońce -- zaludniał się dworski łąn. Kartofle tam były tego roku, więc ruch panował wielki.

Obszary te, mnogość koni i wołów budziły w Kaleniku ponurość. Opryskliwiej odzywał się do wołów, a wolniej się włókł i garbił nad zagonem.

Było tam fornalek dziesięć, ratajów dwudziestu, on sam był jak mucha marna.

Coraz wyżej wstępowało słońce. Zrzucał kozuch, płótno koszuli na zgarbionych jego plecach czerniało od potu, twarz, kark, ręce wiatr i skwar jak ogniem smażył i powlekał skorupą brązowo-czerwoną.

Głos był ochrypliwy i ginął przy szmerze ludzkim na dworskim łąnie.

Poznawał Huców i poznawał wśród najemnie Łucysię po najbielszej odzieży i warkoczu tym, którym go zauroczyła.

Czasem ledwie ją widział z daleka, czasem o krok byli od siebie, ale on jej nie zaczepiał, a ona udawała, że go nie widzi.

O południu odpoczywał pod krzyżem, odpoczywała i ona opodal wraz z innymi, na ziemi obiad spożywając.

Mógł do chaty na obiad pójść, ale pozostawał, suchy chleb gryząc i wodą znowu popijając.

Tak go te „uroki” ciągnęły do niej i tak go coś w czci trzymało, że się z tym kochaniem krył i cierpiał, byle jej na obmowę nie narazić.

Ciągnęły złote włosy i krasa i czystość, a trzymały w czci łzy i łagodność, i bieda.

I tak po całych dniach nie odzywali się do siebie w znoju bliscy i w sercu, a w życiu dalecy -- dalecy.

Raz tylko na tym zagonie się zeszli, na którym ona nigdy gospodynią być nie miała.

Przyniosła lnu trochę, za który odrobić mu miała we żniwa.

Raniutko przed wszystkimi przysła i skarb ten swój mu oddała, by zasiał.

-- A może nie chcesz? -- pytała. -- Będą na ciebie swarzyć się za to pole!

-- Kto? -- spytał, ramionami ruszając.

-- Oł, żonka twoja młoda! -- szepnęła.

-- Mohe, a mlonu na żonkę nie ma w chacie?! -- burknął ponuro, rzucając pierwszą garść siemienia.

-- O Jezuu! Bić ją będziesz?

-- Albo ja ją na lubienie wezmę? Do roboty! A do pola jej wara!

Szedł brudną i lśniącą ziarnką wielkim rzutem ręki na zagon ciskał. Patrzała za nim.

-- To dobrze, że u mnie pola, ni statku (bydła) nie ma -- rzekła.

-- Czemu? -- zdziwił się, stając.

-- Bo ty by mnie wziął i bił! -- uśmiechnęła się.

-- Ciebie? -- twarz jego pojaśniała nieco. -- Tobie by ja trzewiczki do pościeli zdejmował.

Choćby się upił, toby ciebie nie tknął! Boh me!

Dziewczyna podniosła fartuch do oczu i odwróciła się, nic nie odpowiadając.

On dalej szedł, jakby zawstydzony.

Skończył wreszcie i ostatnią garść w krzyż na wiatry rzucił.

-- Rodź, Boże! -- rzekł, uchylając kapelusza. Łucysia przeżegnała się nabożnie.

-- Rodź, Boże, i tobie stokrotnie! -- szepnęła, odchodząc na dworskie pole.

Parobek począł nasienie bronować i, zębata broną trzęsąc, z cicha zaśpiewał:

Oj czas, pora, matko,
Druzbów sobie szukać,
Nasiałem ja żyta:
Nie ma komu pożyć.

Nasiałem ja żyta:
Nie ma komu pożać,
Przyjdzie nocka ciemna:
Ani z kim pogadać!

Wakacje Zacharka trwałyby dłużej jeszcze, ale pewnego wieczora Kalenik się okaleczył nie ciężko, bo tylko jeden palec sobie odrąbał, drwa na podwórzu szczapiąc.

Tamci wieczerali właśnie. Machnął nieostroźnie siekierą i syknął z cicha. Ostrze rozplatało rękę lewą, krew bluznęła obficie.

Więc parobek siekierę rzucił, wszedł do izby i, nic nie mówiąc, w popiół gorący rękę zanurzył.

Gdy długo bawił u komina, Sydor to zauważył.

-- Co ty tam robisz?

-- Puczkę (wielki palec) rozciąłem! -- obojętnie -- odparł.

-- Mocno? Pokaż!

Pokazał: palec wisiał bezwładny, kość była zgruchotana.

-- Nic z niego nie będzie. Trzeba całkiem odciąć! -- zdecydowali.

Kalenik popatrział. Ból mu ubielił usta, nie skarżył się jednak. Zawrócił na podwórze, podniósł siekierę i, jak mu radzono, tym samym ostrzem dokonał operacji.

Ranę zalano naftą, skręcono szmatami i nikt się więcej o to nie troszczył.

W nocy czuł Kalenik w ręku ogień i targanie, wstawał parę razy, pił wodę i zmieniał szmaty; nad ranem poszedł do Żurawlichy, co zamieniała krew. Ręka spuchła, spalona naftą rana już czerniała.

Był niezdolny do żadnej roboty.

Wziął tedy Zacharko jego woły i poszedł w pole.

Kaleka uczył go, jak dziecko, przeprowadził za wrota, polecał swe faworyty, a sam przesiedział dzień cały na przyzbie, jakby ogłuszony beczynnością -- osłupiał.

Na zagonach Hubeniów nowy rataj objął komendę. Gorzej orał i z natury popędliwy bił i narowił woły, ale za to chwilami aż hen, na dworski łąn zalatywały jego śpiewy, nabytek dalekiej wędrowni.

Ech u cioci, u Urszuli,
My świsnęli dwie koszule!
Ech u dziada, u Piotra,
My świsnęli jesiotra!
Ech ha -- ech ha!...

Dziewczęta pokładały się od śmiechu, a parobcy uczyli się na wyścigi.

Żle się goiła rana Kalenika, pomimo, że przykładano do niej jęczmienną kaszę, stare sadło, nawóz i gniecione stonogi -- najradykałniejsze środki.

Nareszcie zdecydowały baby, że to była „uczyna”.

Zaczęły go tedy kadzić i poddawać różnym czarodziejskim praktykom; chodził od znachora do znachora, pojono go obrzydliwymi odwarami.

Po paru tygodniach starań, widząc, że się choroba przedłuża, zostawił Kiryka w chacie, a sam do koni gromadzkich stanął.

Nie praca to była i nawet wstyd dla dorosłego, ale wytrzymać nie mógł w izbie.

Koni w Hrywdzie było paręset sztuk.

Pały się na wygonie grząskim, stratowanym, pokrytym niskimi krzakami łozy i szuwarów.

Na słońcu dzień cały, pieszo, lub na oklep Kalenik je zaganiał, żywego ducha nie widząc.

W skwar południowy, gdy stadnina skupiała się zmęczona, trochę odpoczywał, o zmierzchu wracał do wsi wśród rozhukanego tabunu. Dni te w pustce nie zdawały mu się długie i nudne. Obowiązek spełniał automatycznie, jak automat przepędzał czasem godziny nieruchomy, zapatrzony w próżnię przed siebie, jakby wrosły w ziemię.

Czarne torfowisko wciągało jego stopy, wiatr poruszał płótnianką; nie bały się go ptaki i zagadywały czasem, zuchwale zagładając w oczy.

Łozy o zmroku przybierały fantastyczne kształty, chodziły po wygonie jakies cienie, jakies tumany” jęczało po szuwarach.

Po wieczery, gdy wracał ze stadniną na nocleg, ożywiała się pustka, ale nieżywe to były istoty, nie swoi, nie znani.

Konie nawet były pokorniejsze w tę godzinę. Nie rozbiegały się daleko od ogniska, które on sobie rozkładał i podsyczał noc całą.

Parobek nie spał, rozbudzony strachem i ciekawością.

Wśród mokradeł „tamci” zapalili także ogniska, suszyli pieniądze zapewne; bywało światła wiele, białawych, to tu, to tam drgających, dużo, pieniędzy leżało pod topielą.

Po łozach wstawali także „oni”. Odzywali się jak koty, jak sowy, przemykali od krzaka do krzaka, a wtedy konie tuliły uszy, a kłaczki zakrywały źrebięta, dziko chrapiąc.

A także onej pory i „ta” wychodziła.

Dopatrzył parobek jej gniazdo w wierzbie starej nad bezdennym, czarnym oknem topieli. Z dziupli wychodziła, a on trwogą zdjęty ruchów jej pilnował.

Wiedział, że z ludźmi spać lubi, że ino się czai, byle przy ciepłej piersi jedną noc się ogrzać, że przerzuca się w dziewczynę piękną, że wabi, że „dur” narzuca.

Tak i do niego podchodziła aż pod ogień; to do Hanny siostry podobna, to do Łucysi, to do bogaczki Szczerbianki.

A on na nią żagwią ciskał, zakłęcia szepcząc, i znikła.

Bywało, na noc trzy razy podejdzie, bywało -- cztery, a on się pilnował, by go śpiącego nie zastała.

Pilnował on jej, a ona jego.

Aż jednej nocy wygon mleczną mgłą się pokrył i chłód się posłał z góry.

Ni wierzby, ni łóz nie widać, ogień źle się palił, na piersi duszno było.

Kalenik zasnął z rękami odrzuconymi, z piersią odsłoniętą, ową mgłą przykryty.

A wtedy „ona” przysła do jego ciepłej piersi, wtedy ona jego usta młode całowała i młodą krwią się ogrzała.

We śnie ich te mgły spoiły, a on się nie bronił, gdy go rosa szronem osypała jak potem śmiertelnym.

Zbudził się dreszczami wstrząsany, z gardłem zaschłym, głową gorejącą i ciężką, i zrozumiał, że go ta licha, ta jędza -- febra -- pojęła.

I od tej nocy chwyciła go, od tej nocy męczyła go co dzień, ciskając bezsilnego na wilgotną murawę, po której się wił, wstrząsany dreszczami i kurczem.

Zęby mu szczękały, piersi rozrywała czkawka i wrzenie nerwowe.

Potem nagle żary go opadły. Czerniał od gorączki, spalone wargi odświeżając wodą z rowu.

Nad ranem odstępowala go wiedźma, oderwawszy szmat siły, napiwszy się krwi ciepłej.

Odstępowala, a on, jak martwy, leżał na wygonie, nim rosę z niego i pot choroby zdjęło słońce łaskawe. Nic jeść nie chciał i moc tracił.

Tydzień jeszcze się włóczył za końmi, borykając się z chorobą. Wychudł, twarz mu żółkła i szcerniała, oczy wpadły i zasnęły się mgławą pleśnią, nogi nie słuchały woli.

Pewnego dnia na pastwisku padł i nie wstał. Wilk wysunął się z łóz i spłoszył konie. Parobek widział go, ale nie krzyknął nawet, widział popłoch stadniny, ale się nie poruszył. Wszystko było mu obojętne. Na pół omdlałego zastał Sydor.

Konie wpadły w zboża gromadzkie, ludzie wpadli z wymysłami do Hubeni, a ten za kij

porwał i popędził na wygon. Zaczął tedy synowca pałką okładać, klnąc strasznie. Kalenik tylko się wił po ziemi i głucho stękał. I tak go stary zostawił, wyczerpawszy przekleństwa i siłę.

Wieczorem zabrano na wóz Kalenika i przywieziono do chaty; zeszyły baby „szeptuchy” i rozpoczęły kurację. „Uczyna” to była straszna.

Na ławie, gdzie skołała Sydorowa, zajął miejsce Kalenik. Rano okrywano go kożuchem w gorączce, przykładano do piersi mokrą glinę, zamawiano chorobę przed i po słońcu, opisywano na chlebie, tłuczono nad chorym garnki, smalono mu włosy. Pomimo to wszystko zaczął puchnąć. Twarz powlokła się szklistą nabrzmiałością, złotawe włosy poczynaly się plątać w kołtun.

Po całych dniach był samotny. Odwiedzał go Łyska, kot i kury; ludzie nie mieli czasu dla chorego.

Wieczorem wyrzekano strasznie, że choruje w roboczy czas, że się wylęga niby jaki pan.

Gryzło go to i próbował robić cośkolwiek: ale ledwie o kiju zasunął się za próg i na przyzbie usiadł.

Dusiły go czasem łzy z rozpaczyny nad niemocą, z żalu, że woły zmizerniały, a klacz próżnowała, bo Sydor pił i nie dbał o zarobek.

Pewnego wieczora w chacie nastąpiła walna narada. Swacha od Rychora Szczerby przyszła. Nie chciano czekać. O bogatą jedynaczkę dobijali się inni. Wesela nie można już było odkładać. Sydor począł kłąć.

-- Ten zdycha. Na Kniазie się rozchorował. *Pohana jego mać!* Znachory z chaty nie wylężą, pieniądze idą, a on mi jeszcze w kosowicę zdechnie.

Kalenik słuchał i milczał na swej ławie.

-- To ja się ożenię! -- rzekł Zacharko.

-- Czemu nie! Rychor tak mówił! -- potwierdziła swacha. -- Opuszczać nie warto. Daje krowę, byczka, trzy owce, cztery „bodnie” odzieży. Dziewka, jak ją wiecie, gładka, czerwona, zdrowa, a pracowita okrutnie. Szczęście wam w ręce lezie!

Chłopom oczy zabłyśły.

Spojrzeli po sobie ojciec z synem i zrozumieli się.

-- Tak i będzie! -- zdecydował Sydor. -- Niech ją Zacharko bierze! Lata bez baby nie przeżyjem.

Kalenik słuchał i milczał. Bratanek do niego się zwrócił.

-- Czuj, Kalenia! -- zawołał. -- Tobie wszystko jedno. Popierze moja żona tobie bieliznę, jeśli nie umrzesz. Na jesieni znajdziesz sobie drugą.

-- Bierz! Ja tobie jej nie szkoduję! -- odparł.

-- To, nie czekając, jutro „zapoiny” zrobimy! -- zawołał Sydor.

Tak się to zdecydowało.

Nazajutrz, gdy Kalenik jak zwykle sam w chacie pozostał, skrzypnęły drzwi nieśmiało.

W progu stanęła Łucysia, tak zawstydzona, że ino jej oczy widać było zza rumieńca.

-- Dzień dobry! -- cichutko szepnęła.

Parobek mozolnie się dźwignął i siadł na pościeli. Popatrzyła na niego i łzy jej się rzuciły do oczu i ręce załamała.

-- O Jezu! Co z ciebie się zrobiło! -- szepnęła.

-- Umierać trzeba! -- odparł obojętnie.

-- Bożeż mój, Boże! Koszula na tobie jak ziemia, czarna!

-- Bo do ziemi pójdę. Nijakiej rady nie ma.

-- Radził się ty u Kirylichy?

-- Radził u wszystkich i we wsi i na okolicę. Nawet do Kończyć wozili mnie, kiedy już noga nogi nie zechciała mijać. Jedno powiadają: „uczyna”. Ale taka mocna, że ratunku dać nie mogą. Co robić! Raz sądzono rodzić się, raz umierać!

-- A u kabalarki ty był? Na straży?

-- Nie. Nie zdążył!
-- Ja była -- nieśmiało przyznała się.
-- O mnie?
-- O ciebie. Piwnia (koguta) zaniósła, taj całą sprawę wiem.
-- Nu? -- zaciekawiony spytał.
-- Kiedy boję się tutaj stać. Kto wejdzie i źle pomyśli. Ja do waszej najmitki przyszła berda pożyczyć.

Kalenik z mozołem stanął na nogi i, czepiając się sprzętów, wpół zgięty, wyszedł przed chatę. Tam na przyzbie siadł, przygasłymi oczyma na dziewczynę patrząc.

Ona opodał stanęła i tak ich każdy mógł zobaczyć.

-- Nu. Teraz mów!

-- Kabalarka poznała, że to „uczyna”. Tak rozpowiadała gładko: Czarny człowiek zrobił, mówi, za to, że jego pobili. Czujesz? To Tychon, a nie on, ale bałko jego za tę bitwę w karczmie. Pamiętasz? Na co ty jego zagabał? Bożeż mój, Boże! -- zaczęła znowu płakać.

-- Zagabał? -- powtórzył Kalenik. -- Nu, prawda. Niech za tobą nie chodzi, póki mnie na Kniazie nie wywiozą. Boh me, niech nie chodzi!

Dziewczyna postąpiła krok naprzód.

-- To ty dumny! Wczoraj u mnie Tychona swaty były.

Parobek głowę podniósł.

Twarz jego obrzmiała, żółta, przybrała wyraz osłupienia i goryczy.

-- To ty taka? Na, niech on ciebie weźmie, niech jego bałko mnie zamęczy! Popamiętacie! Niech minie ta noc, żeby ja do was z Kniazów nie przyszedł. Mało mnie życia, ale wam jeszcze mniej wesela!

-- Kalenik! Skręcił się ty? Duru się najadł? Jak pies, co na sianie leży, i sam nie zje i koniowi nie da.

-- Niechaj i tak! -- mruknął i po chwili spytał. -- To już zapoiny były twoje?

-- Nie! -- odparła.

-- Czemu?

-- Bo nie chcę. Maty wybiła nawet. Boję się do nich iść, między znachory! A ty bierzesz Szczerbiankę?

-- Nie. Zacharko bierze.

-- A ty?

-- Co ja? „Merec”! (trup). I taki nie chcę! -- ciszej zakończył.

-- Nie umrzesz, nie! -- mówiła kabalarka. Ratunek jest, tylko już nie od znachorów; Czyruk nad wszystkich mocniejszy. Tobie pomoże taki, co *lacki* krzyżyk nosi.

-- Krzyżyk? Toć i ja noszę!

-- Nie taki. Znachory nad Lachami mocy nie mają przez te krzyżyki. Oni ich nie kupują u gałganiarza, jak chłopci, tylko skądś wożą. Tak mówiła kabalarka. Tobie chyba pani ratunku da.

-- Mohe! -- zaciekawiony słuchał parobek. -- Bo to ona zechce! Diad'ko indyki ukradł. Ona mnie jeszcze do reszty otruje.

-- To ja dla ciebie poproszę. Rozpowiem tak i tak. Lik (lek) dostanę, taj tobie dam.

-- Dobra ty! -- szepnął.

-- Nie umieraj ino! -- rzekła, żałośnie nań spoglądając. -- Nie na śmierć ja tobie koszulę uprała.

Skryła się ze łzami w cień drzewi.

Południe było i bardzo ciepło, woń obornika i świeżej ziemi mieszała się z czeremchowym kwieciem.

Słońce uderzało w obnażoną pierś chłopca, obejmowało jego zboląłą głowę.

Wieś w polu była i cichość panowała po zagrodach, bocian klekotał na stodole Hubeniów,

pszczoły obierały pyły z kwiatów gruszy przed chatą.

-- Łucysiu! -- zawołał parobek.

-- Czego?

-- Jak nie umrę, to ja ciebie wezmę na jesieni.

-- Ty? Mutysz (kłamiesz).

-- I Boh me!

Zamilkli, nie patrzyli na siebie.

-- Żeby do sianokosu pozdrowieć! -- szepnął parobek.

-- Pozdrowiejesz. Bóg bat'ko. Zaraz ja do pani pójde. Może tobie coś smacznego jeść się chce? Na, masz!

Nieśmiało dobyła z fartucha garść zielonej cebuli i obwarzanek, rzuciła mu w ręce i uciekła, ubóstwem swego daru zawstydzona.

-- Łucysiu, zazulo! -- zawołał. -- Poczekasz?

-- Poczekam -- odszepnęła, zakrywając oczy.

Na przyzbie w słońcu sam pozostał, pozerając chciwie gorzkie łodygi cebuli i twarde obwarzanek. Otucha wstąpiła mu w duszę. Bóg da, pozdrowieje do sianokosu.

Maj

Wziął pewnego wieczora Sydor flaszkę wódki i bochenek chleba w zanadrze i, odziany odświętnie, ruszył do Zamoroczenia. U Szczerbów przyjęto go uprzejmie.

Dziewka Tatjana, widząc, na co się zanoszą, uciekła z chaty i pomimo nawoływania nie dała się na powrót namówić. Należało to do ceremoniału.

Sydor wyłuszczył rzecz całą wedle tradycyjnej formuły. Oświadczyły zdstały przyjęte; wypito wódkę i rozochocono się na dobre. Pod koniec sprowadził brat Tatjanę za włosy, wypila miarkę wódki i wykrztusiła z siebie:

-- Jak ba'ko, jak maty, tak i ja!

Sydor opowiadał cuda o swych dostatkach i o przymiotach syna. Szczerba spytał o Kalenika, a na zmianę kawalerów chętnie przystał.

Odjechał tedy Hubenia pijany i szczęśliwy.

W chacie czekano go do późnej nocy.

Potem złożono długą naradę.

Zacharko urósł znowu na wielkiego człowieka.

Wesele to nie lada rzecz: to dziesięć wiader wódki co najmniej; to pierogi, kielbasa; dwa tygodnie hulanki i beczynności, zapomoga rodziny, cześć od całej wsi, sława i odznaczenie.

Dzień po dniu lat kilkadziesiąt jest monotonią szarą, brudną i nędzną; te dwa tygodnie powinny starczyć za rozkosz i szczęście na całe życie. Takie jest postanowienie od wieków.

Zeszli się kumy, krewni, przyjaciele Czechów. Klim został wybrany drużbą, bo o Kaleniku i mowy nie było: z posłania swego nawet oczu nie rozwierał i głosu nie podnosił.

Sydora siostry mąż, Dudar, został wybrany marszałkiem weselnym; swojak, Kalistrat Suprunik, starostą; Kiryk miał także swą wielką rolę: brata pana młodego.

Swacha najdumniejszą była i gadała za trzech.

Wtedy Zacharko raz pierwszy matkę wspomniął.

-- Ciotka za matkę będzie! -- zdecydował Sydor. Nakładało to na Dudarychę dużo pracy: ale i honor był nie lada, więc przystała z radością.

Po naradzie rozeszli się wszyscy. Chatni położyli się spać.

Okolo północy drzwi skrzypnęły. Nikt tego nie słyszał, tylko Kalenik bezsenny. Ciche, bosc kroki zbliżyły się ku niemu.

-- Kto tam? -- spytał.

Myślał, że to Łucysia z lekarstwem. Dawno jej nie widział.

-- To ja! -- odparł cichy głos.

-- Kto ja?

-- Hanna.

-- Czego ty? -- zdziwiony zagadnął.

-- Gadali ludzie, że wesele będziesz odprawiał! No, to i przyszłam pohulać!

-- Poszła won! Ze śmiercią ja wesele będę odprawiał. Zacharko się żeni! Ty idź, bo jeszcze od starego kijem oberwiesz. Hulania tobie mało po miasteczku?!

-- Mój sokołyku! Jakżeby ja w chacie na weselu nie była!

-- Odczep się ode mnie, ta idź, bo rano źle będzie z twoją skórą.

-- A gdzie Zacharko nocuje?

-- W „puklicie!” (alkierzyk).

Ciche, bosc kroki oddaliły się, znowu skrzypnęły drzwi i wszystko ucichło.

Ale Hanna nie odeszła daleko.

Rankiem ujrzał ją Sydor z synem na podwórzu.

-- Przyszła ty, hultajko! -- wrzasnął, za swe berło -- mlon -- porywając.

Ale syn wmieszał się do tej sprawy.

-- Tyle roboty, niech zostanie! Koszule popierze, chatę obieli. Lato idzie, zda się.

Została tedy Hanna, śpiewająca, gadatliwa, i przez parę dni sprawiała się wcale nieźle; potem zajęcia inne odwróciły od niej ogólną uwagę, a ona nie narzucała się na oczy i dniami całymi swawoliła po wsi.

Ale wesele jej nie uszło przecie.

Zacharko tedy zrzucił swe zagraniczne szaty. Dano mu nową koszulę, odświętną Kalenika siermięgę, i poszedł do dziewczki.

Przyjęto go wódką i kielbasą. Tatjana nie dała się spod pieca wyciągnąć. Narzeczony przepił do niej. Odwracając się i krzywiąc, wypila kieliszek, dał drugi, odmówiła.

-- Pijże, durna! -- zachęcał.

-- Upiję się, nie chcę!

-- Nie kłam! Takaś mocna i czerwona! Wiadro by tobie dać wódki. Na, pij!

Wypila nareszcie. On tam przy niej u pieca pozostał i zabawiali się, popiołem siebie obsypując z swawoli i szamocąc się.

Zabawił długo w noc i pijany wrócił. Od tego dnia żadnej roboty nie tknął, chyba przez zabawę.

Na zapowiedzi dwa złote dał, a ona z swej strony białą namitkę księdzu zaniosiła.

Potem poszli we dwoje na pacierze i wracali społem przez zboża w kłosie, czasem zupełnie żdźbłami zakryci.

W chatach tymczasem roboty było huk.

U Hubeniów wypędzono Kalenika do odryny, by nie zawadzał w ciasnej izbie, którą bielono i myto i doprowadzono, ile się dało, do zupełnego porządku.

W odrynie stęchłych plew było trochę i na tych się chory umieścił, a dziurawą siermięgą nakrył. Zapomniano o nim, jakby już nie istniał, i zmarniałby zupełnie bez Łucysi.

Szarym zmrokiem wpadała czasem do niego, przynosiła to bułkę, to brzoźowego kwasu, to garstkę cebuli.

Lekarstwa pani nie dała, ale sama obiecała do chorego przyjść.

Dziewczyna drżała ze strachu, by jej kto tutaj nie spotkał, umykała jak kuna za lada szelestem, ale przychodziła przecie i przyniosła mu raz krzyżyk, który we dworze u garderobianej wyprosiła.

Wierzyli oboje w moc tego znaku, boć przecie kabalarka ze straży wszystko wiedziała.

Pewnego dnia, gdy Kalenik się tego najmniej spodziewał, o południu, wierzeje chaty skrzypnęły żałośnie.

Słońce weszło i weszła pani z Kornią Hucem. Ledwie go dostrzegli, taki szary był na szarej plewie w kącie.

Pani uklękła nad nim, białymi rękami dotknęła głowy, rąk, piersi. W poważną, trochę smutną twarz jej on oczy wlepił i milczał, wielką trwogą i czcią zdjęty.

-- Cóż cię boli? -- pytała.

-- Wszystko: i kości i głowa i piersi.

-- A dawno tak?

-- Pięć niedziel.

-- Czemu ty zaraz do dworu nie przyszedłeś?

-- Sromał się!

-- Wstydz się tak mówić! -- upominała łagodnie.

-- On taki głupi i trus! -- rzekł Huc. Pani rozłożyła przyniesioną torbeczkę.

-- Oto masz trzy proszki! Weźmiesz je dziś wieczorem, jutro rano i o południu. A pamiętaj: kwasów nie jedz i boso nie chodź! Jutro już cię febra opuści, ale na siódmym dniu pamiętaj przyjść do dworu, bo może wrócić. Masz tutaj jeszcze ziółka, te pij ciągle, rano i wieczór; a wy, Kornio, wstąpcie do niego co dzień i dajcie mi wiedzieć, jak się ma. No, zdrów będziesz,

Kalenik, i ożenisz się z Łucysią.

Parobek zawstydzony oczy odwrócił.

Pani wstała, a on się dźwignął i rękę tę białą, co go głaskała, do ust podniósł.

-- Może masz gust do czegoś, czego nie ma w chacie? -- spytała.

-- Czego kwaśnego się chce!

-- Tego nie wolno ci jeść teraz. Przyślę ci herbaty i wina przez Matwieja wieczorem.

Jeszcze raz jej rękę ucałował i przez dzień cały ino o tym rozmyślał, jak te leki ma zażyć, bo z wstydu i pomieszania zapomniał.

Nareszcie wziął wszystkie trzy proszki i wraz z papierem połknął.

Chatni zaglądali tego dnia do niego, wzruszeni odwiedzinami pani. Hanna naparzyła mu ziółek w garnuszku tłustym od strawy i zaprawiła miodem. Smaczne to było i pił chciwie.

Wracając z roboty, Matwiej Huc przyniósł mu herbaty z winem w butelce. Na ten specjał nawet się Sydor zjawił i wypił większą część. Resztę Kiryk porwał, a o pustą butelkę do krwi pobiły się dzieci.

Sprawdziły się słowa pani. Nazajutrz Kalenik nie miał paroksyzmu i spał dzień cały.

O zmierzchu Łucysia doń przybiegła.

Przyniosła mu mleka garnczek od tej Krasi, którą na wiosnę od śmierci uratował.

-- Lepiej mi, lepiej! -- chwalił się. -- Ot, jak bym się na świat drugi raz narodził. Ino słabo, słabo, jak łożę mnie pogiąć można!

Uratowany był tedy do sianokosu!

A tymczasem weselne przygotowania pokończono.

Beczka z wódką stała w komorze, wisiały pęki kielbas, leżały stosy mięsiwa, sery i mąka na korowaj.

Zapowiedzi wyszły, przystąpiono do uroczystości.

W niedzielę Zacharko i Tatjana poszli do spowiedzi. Ślub był naznaczony na wieczór.

Po południu już chata Hubeni pełna była rodziny i krewnych.

Na podwórzu zaprzęgano konie. Pan młody się stroił.

Włożono mu świeżo uszytą bieliznę, świeżo uszytą siermięgę, do czapki przypięto mu pęk złotego szychu, opasano go jak krew czerwonym pasem.

I tak stanął wraz z drużbą przed starszyzną w izbie i Klim Czech, drużba, rozpoczął swoje obowiązki.

Ani pan młody, ani panna młoda nie odzywają się przez ciąg wesela, ani śpiewają.

Za niego czyni to drużba, brat i swacha, za nią drużka.

Pokłonił się tedy Klim nisko przed starszymi raz, drugi i trzeci; za nim, jak automat, pokłonił się Zacharko i drużba wygłosił uroczyste:

Za pierwszym razem,
Za Bożym rozkazem,
Gdzieś tu jest ojciec i matka,
Cała rodzina, daleka i bliska,
I sąsiedzi i drużyna miła.
Pobłogosławcie tym dzieciom
Do ślubu pojechać!

-- Niech Bóg błogosławi! -- odpowiedział Sydor.

Po trzykroć kłaniał się Klim i toż samo mówił, a za trzecim razem na wóz siedli obaj z Zacharkiem, a Kiryk konie popędził, i pojechali.

Zresztą nikt się nie ruszył. Ślub to dopiero początek i wcale nie kapitalny szczegół godów chłopskich.

Pod kościołem zjechali się państwo młodzi.

I na niej była bielizna i odzież świeżo poszyte, koszula ściągnięta nie wstążką, ale lnu białego pasmem, włosy rozpuszczone, na głowie wielki wieniec z barwinku. Pęki wstążek pokrywały plecy, w rękę miała białą chusteczkę.

Podobnie wystrojona družka rozesłała w kościele pod stopy państwa młodych dwa ręczniki -- i tak stali czas jakiś, sztywni w swych odświętnych szatach, spotali i milczący. Wcałe nawet nie spojrzeli na siebie.

Ceremonia odbyła się prędko. Żadne z nich nie brało do serca słów przysięgi, ani nauk.

Młoda nie płakała; młody, olśniony światłem, patrzył bezmyślnie na księgę ewangelii.

Nareszcie wyszli z kościoła.

Teraz siedli już oboje na wóz Zacharka, družka przed nimi, Klim konie popędzał.

Wóz ten, pełen postrojonych godowników, ruszył do Zamoroczenia. Oglądali się za nimi ludzie, konie rwały z kopyta.

Teraz dopiero zaczynało się prawdziwe wesele. Na progu Szczerbów przyjęto ich okrzykiem, weszli do izby, gdzie na stole czekała ich wieczerza.

Swacha zaintonowała pierwszą pieśń w imieniu pana młodego:

Teraz, teściu, sława wasza,
Teraz, teściu, dziewczka nasza.
Sadzaj zięcia za stołem,
Nazywaj go sokołem,
Nalewaj wódki z pełna,
Przepijaj-że do dna!

Melodia wesoła była i skoczna, ale gdy siedli do wieczerzy, druga pieśń się rozległa, już powolna, przeciągła, złowróźbna.

Pożywaj, Tatjano, pożywaj
Ojcowską wieczerzę:
Świekra ci nie da wieczerzać.
Za stołem siądą do stawy,
Ciebie po wodę wyprawia,
A wiadro ciężkie, a studnia głęboka,
A nocka czarna, oj czarna!

Tatjana zapłakała, więc, na pociechę jej może, družka dodała:

Młody Zacharko ciebie pożałuje,
Ty jedno wiadro, a on za drugie,
Razem wróćcie od strugi!

Młodzi jedli w milczeniu. Wódka szła do głowy i wszyscy już śpiewali i krzyczeli.

Oni mało pili i, obok siebie siedząc, wyglądali jak dwa bałwany nieruchome.

Po wieczerzy Tatjana ręczniki białe, długie przewiesiła na krzyż przez ramię Klimowi i Kirykowi. Śpiew wyległ na ulicę:

Białaś, brzozo, biała,
Całyś las usłała.
Na brzozę kartkami,
W družbę ręcznikami.

Znowu wszyscy na wóz siedli i ruszyli, ale tuż za wsią wóz stanął.
Tatjana z drużką zsiadły, a Zacharko żonie srebrną, błyszczącą złotówkę rzucił na ręce.
Teraz wszyscy zaśpiewali:

Oj, świt wstępuje,
Gwiazdy zajmuje,
Młody Zacharko na wóz swój siada,
Swojej Tatjanie dobranoc gada.
Oj, na dobranoc, moja zoreńko,
Oj, na dobranoc, moje serdeńko,
Już mi do ciebie tęskno, duszeńko!

Powoli pieśń się rozbiegała. Wóz potoczył się ku Hrywdzie, panna młoda z drużką zawróciły ku Zamoroczeniu.

Daleko na całą Hrywdę rozlegała się muzyka u Hubeniów. Grał Karpina Huc na skrzypkach, drugi wtórował na bębenku, sień i chata pełne były pijanej gawiedzi.

Przez ciżbę tę ledwie się pan młody przecisnął. Nie tańczono jeszcze.

Gdy Zacharko się zjawił, z kąta wystąpił Sydor i Dudarychy zawołał.

Wzięli oboje bułeczkę w zanadrze, objęli się za ramiona; uczyniono im miejsce do tańca, poczęli się kręcić to w jedną, to w drugą stronę przy wtórze pieśni:

Zlejcie wodę na chmielec,
Poczynajcie, ojczy, nam taniec,
Poczynajcie dookoła,
Żeby noc była wesoła!

Teraz rzucili się wszyscy do tańca. Młodzi różne sztuki dokazywali w kozaku, dziewczęta zbierały się po trzy i kręciły „metelyce”, Hanna z urlopnikami udawała polkę i walca.

-- Uha, uha! uha! -- pokrzykiwała pijana swacha, ustrojona dziwacznie: w czapce męskiej na wierzchu namitki.

Dreptała sama, popychana, i śpiewała na głos cały:

A trzewiczki tup, tup, tup!
Bał'ku, bał'ku nowe kup!
Ojciec mówi: „diabła zjedz!”
„Bo nie umiesz prosa pleć!”

Zacharko nie brał udziału w tańcach i zaledwie parę chwil spędził w chacie.

Zawsze z nieodłącznym Klimem i zawsze niemy, poszedł po sąsiadach zbierać „korowajnice”. Do ogólnego zamieszania i ciżby przyłączyło się zatem jeszcze dziewięć kobiet postrojonych i żądných przede wszystkim i nade wszystko wódki.

Już podchmielone wzięły się do dzieła.

Przyniesiono mąkę pszenną, dzieżę wytoczono na środek izby; twarze wyrażały skupienie, każdy ruch, każda czynność odbywała się wedle tradycji.

Z grona tego wybrana starsza rozpoczęła.

Wyprostowana, zwrócona ku ojcom, podawała mąkę trzykrotnie mówiąc:

Za pierwszym razem,
Za Bożym rozkazem,

Gdzieś tu jest ojciec i matka:
Pobłogosławcie tym dzieciom
Korowaj spożyć!

I było to ciasto czymś symbolicznym, bo z powagą i uroczystością Sydor odpowiadał:
-- Niech Bóg błogosławi! A korowajnice zaśpiewały:

Młode mołodyce,
Idźcie do krynice!
Oj, wody dajcie, wody,
Korowajowi urody!

W sieni przy mdłym oświetleniu jednej świeczki zabawa szła szalenie, podwórze było ludem natłoczone, wrzask głużył muzykę, w chacie śpiewano obrzędowe pieśni.

Ciemno i tam było i zaduch okropny.

Lampka, a raczej butelka od atramentu z zatkniętym kawałkiem sznurka w nafcie, stała na rogu komina.

Po kątach żarzyły się lulki biesiadników, przez okienko wpadało trochę blasku letniej nocy.

Wokoło lampki skupiły się korowajnice, jak grono wiedźm odbywających sabat, i wrzeszczały nieludzkim głosem:

Oj, daj, Boże, w dobry czas,
Jak u ludzi tak u nas!
Oj, daj, Boże, godzinę,
By zebrali rodzinę!

Czasami starsza korowajnica, zupełnie pijana, odbywała taniec z łopatą, roztrącając ludzi i sprzęty, czasem z sieni wpadła swacha, jak smoła przyczepiona do Sydora.

Oj, z dobrego ja rodu,
Piję wódkę jak wodę.

Wkoło ścian siedząca starszyzna rozprawiała hałaśliwie.

Obejmowali się i całowali, to znowu lżyli i bili po twarzach. Jeden rozповідаł o swych złodziejskich sprawkach, inny o procesie; jakiś starzec, zupełnie nieprzytomny, pod stołem odmawiał pacierze przy wtórze czkawki i kaszlu.

„Perechreście” było najczęściej na ustach.

Za parę tygodni wszyscy tam ruszą.

Zresztą gospodarze nie bawili gości. Kto wszedł, dostawał kieliszek wódki na życzenie i dalej się o niego nie troszczono.

Najnieszczęśliwsze były dzieci. Popychano je i bito, niekiedy dostawały się pod nogi tańczących i kopano je bez miłosierdzia; wpadały pod buty jakiego pijaka: ten padał, na wilgotnym toku rozpoczynało się szamotanie i lament i kłątwy.

Kiryk zajęty był bardzo. Pijanym wyciągał z kieszeni tytoń, ciotce spod rąk kradł wódkę, przedrzeźniał ojca i starych.

Zacharko siedział między starszyzną, osowiały. Palił i pluł na przemian. Druzba hulał w sieni, gdzie najczęściej słychać było swawolny śmiech Hanny i gdzie jaśniała jak żar jej miejska spódnica i chustka.

Nareszcie zatłono pęk słomy dla podpalenia w piecu.

Płomień buchnął na chwilę i wtedy dopiero ukazała się na szczycie pieca twarz blada,

wyszła, złotawym włosom i zarostem otoczona.

Był to Kalenik. Leżał tam, przez godowników zapomniany i niewidziany, i patrzył na zabawę.

Niedawno myślał, że tak jego wesele będzie się odbywało; teraz taka go apatia opadła, że nawet wódki nie pił.

Dobrze mu było, tylko słabo. Od kieliszka by pamięć stracił.

Z pieca, gdy się trochę wychylił, widział się i hałasujących rówieśników i dziewczęta coraz to nowe, tylko wśród nich nie było złotego warkocza Łucysi.

Śmiech Hanny go gniewał. Żeby trochę mocy, toby ją zbił na kwaśne jabłko, i dzieci płacz brał go za serce, a najsrożej dręczyła go myśl, że nikt o „noclegu” kłaczy, ani o „świcie” wołów nie pomyśli.

Głodne będą bydlaki!

Myślał też, że lada chwila Czyruk przyjdzie, i okazja jakaś się trafi.

Na weselach, wiadomo, najgorzej czarują znachory, bo człek pijany, co dadzą wypije.

Z pieca buchnął dym szaro siny, tak gryzący, że łyzy wyciskał, ale to nie psuło zabawy.

Tańczono i rozprawiano dalej.

Kalenika dym objął. Tedy powoli zszedł z pieca na ławę, stamtąd na ziemię.

Zaczął się z niego naśmiewać.

W dziurawej świcie, bosi, rozczochrany, wyglądał jak widmo.

Wstyd go ogarnął okropny, przebrałby się, ale odzież jego święteczną Zacharko nosił, więc się chłopak na podwórzu wyszliźnął.

Gorzko mu było i żałośnie. Sam nie wiedział, gdzie się podziać. Chata Huców najbliższej była: poszedł tam i na przyzbie przykucnął.

Gospodarze już spali. Na progu Olenia Prytulanki stała, płacząc.

-- Co tobie? -- spytał.

-- Matka wybiła.

-- Za co?

-- Żeby na wesele do was nie szła.

-- Sroga twoja matka.

-- Sroga! A to Karpina ją podmówił. Żeby jego lichy zjadło. On mnie szpieguje i wszystko matce donosi. Ni na muzykę nie puszcza, ni na wieczornice. Moja dola nieszczęśliwa! Pójdę i utopię się im na złość.

-- Ot, pleciesz!

-- Oni mnie i za mąż nie puszcza.

-- Ot, jak kto wziąć zechce, to oddadzą.

-- A nieprawda! Wczoraj zagabiał mnie na robocie we dworze Petruk Kut. Licho wie, gdzie to Karpina dopatrywał, bo na drugim polu koniczynę ciął. Toż, wracając, oczy mnie wypiekl, a potem matce poskarżył, a matka od razu fartuch z siebie i wysiekła „kiczkami” (sznurkami).

-- To on widno (zapewne) o ciebie zazdrosny?

-- Czego? Nieprawda! Taki dokuczliwy szelma! Jemu to wolno za wszystkimi dziewczętami latać. Ja wiem, co on dokazuje. Żeby gospodarzowi pisnęła słowo, toby mu dopiero skórę sprął.

-- Nu, to powiedz!

-- To on mnie za to ubije.

W tej chwili ktoś płotek, dzielący zagrody, przesadził i wpadł na Olenię.

Krzyknęła okropnie i odskoczyła, a Karpina spocony, podchmielony, przed Kalenikiem stanął.

-- Nu, jej szczęście, że to ty, cherlak. Żeby tak drugi, tobym bił.

-- Co tobie? Niech idzie i pohula!

-- Pewnie! I niech będzie jak te wszystkie latawice!

-- Jak zechce, to nie dopilnuje nikt.

-- I, Boh me, ja dopilnuję!

-- Na co?

Wesoły chłopak zaśmiał się zuchowato i pod boki się wziął.

-- A ot! Bo ja ją dla kogo hodowa! A niedoczekanie! Dureń ten, co swego nie dopilnuje!

-- Mohe! Brać ją będziesz?

-- Nu, albo co?

-- Duru się objadłeś.

-- Moja doleńka! -- cicho w sieniach szepnęła podsluchująca Ołenia.

-- I nie duru, ale rozumu. Tyle lat chlebem karmili, a jak wyrosła, taką robotnicę z chaty tracić, a obcą brać, żeby się z brato--wymi biła co dzień, to o łyżkę, to o miskę.

-- W przystupy na dobre pole niejeden by ciebie wziął do jedynaczki.

-- Durne to wasze pole i gospodarskie harowanie. Ja ta nie przywykłam podatków płacić i głodem mrzeć na przednówku. Pracuję, to wiem, za co; od dziecka syt był i odziany i kurnej chaty nie wahałam.

Kiedy mnie pankiem drażnią, to i pankiem ostanę! Ołenia, idź spać, bo jutro spać będziesz przy robocie!

Zawinął się, płot na powrót przeskoczył i znowu do swych skrzypiec się wziął.

Płacz Ołeni ucichł jak pod czarem, ale się więcej nie pokazała.

Kalenik na przyzbie tej pozostał i tak mu ta noc weselna zeszła na trzeźwo i gorzko i markotnie.

Czasem zapominał, że grają i tańczą i piją u niego w chacie.

Był już dzień, gdy zabawa się skończyła.

Ucichła muzyka, rozpierzchli się biesiadnicy.

Gdy Kalenik wrócił do chaty, spali wszyscy, gdzie kto padł -- pijany lub trzeźwy.

Śmiecie, błoto i swąd napelniały izbę.

Dudarycha dobywała z pieca korowaj.

Olbrzymi był, wysoki, na środku i po bokach oblepiony szyszkami z ciasta.

Dudarycha położyła go na wieku od dzieży, na sianie i na obrusie i postawiła na stole. Poczęła potem wołać Hannę ale tej nigdzie nie było.

Wezwała więc Kalenika do pomocy i sprzątnęli komorę, gdzie walały się resztki jadła. Odpoczynek trwał krótko, bo już około południa przyszły korowajnice ze śpiewem, rutą, czerwonymi tasiemkami i barwinkiem, i okryły korowaj, że wyglądał ja gaik.

Zbudził się Sydor, Zacharko, odnalazła się Hanna, zaczęto gotować obiad, krzątać się, nawoływać.

Z procesją wyniesiono korowaj do komory. Znowu lała się wódka w wiecznie spragnione gardła, znowu sień i podwórze były pełne, znowu rzępoliły skrzypce.

Kalenika wyprawiono, by wozy i konie narządził, a tymczasem obiad jedli, obiad pyszny, bo z mięsem, z kluskami, z kaszą.

Pod wieczór się miało, gdy wybrano się jechać. Trzy wozy zaprzężone stały pod chatą. Do pierwszego, parokonnego, włożono korowaj, siadł pan młody ze swachą, z drużbą i bratem. Na dwa inne zabrała się reszta weselników i ruszyli.

Na odjezdnym swachy głos opanował muzykę i wrzawę:

Jedzie Zacharko do dziewczki,
Jak jasny miesiąc do gwiazdki.
I pyta ojca przez drogę:
Czym witać ma swą niebogę?
Nie mów, synku, niczego:
Poślę drużbę dlatego,

Co będzie umiał, co będzie mówił,
Za ciebie młodego!

Na spotkanie ich u Szcherbów nikt nie wyszedł. Tańce szły w sieni i co chwila migał wieniec panny młodej; przez okna wyzierały głowy starszyczny.

Stały wozy, ale nikt nie zsiadł, tylko Klim družba i wpadł do chaty.

Przepili do niego Szcherbowie i znowu na podwórze wrócił, wiodąc za sobą korowajnice panny młodej. Swacha podała im wódkę.

Skąd swacha? Z Orychowa?
Czego do nas przyjechała:
Czy kalinę rwać, czy kapustę rąbać?

Śpiewano ciągle, długo, aż wreszcie Szcherba z żoną wyszli. Z rąk teścia, przez chustkę, wziął Zacharko wódki kieliszek, ale nie pił, bo swacha śpiewała:

Nie pij, Zacharku, pierwszego witania,
Ale zlej na grzywę konia.
Wyrośnie grzywa słuszna,
Będzie twoja Tatjana posłuszna.

Więc Zacharko wódkę za siebie wylał i wypił drugi dopiero kieliszek; wódka poszła z rąk do rąk.

Teraz droga do chaty była wolna.

Wniesiono przodem korowaj, za nim przez ciżbę tańczących precisnęła się drużyna i pan młody.

Nie usiedli, stali rzędem pod piecem.

Na ławie położono dla Szcherby poduszkę i wprowadzono Tatjanę.

Poczęła tedy padać do nóg wszystkim, od ojca począwszy.

Całowała nogi rodzicom i krewnym i obcym i sąsiadom, nawet dzieciom małym. Przypadała do ziemi, żegnając ich wszystkich, a nad nią drużka śpiewała pieśni tak smętne, jak pogrzebowe.

Wreszcie posadzono ją za stołem i Zacharko począł do nóg padać, a nikogo nie opuścił. Stał, skończywszy, obok żony i družba się odezwał:

Za pierwszym razem,
Za Bożym rozkazem,
Gdzieś tu jest ojciec i matka:
Pobłogosławcie tym dzieciom
Na posag usiąść!

Trzykroć ich popchnął, a potem posadził na poczesnym miejscu pod ścianą.

Swacha podała mu świec dwie skręconych razem, zatłonych z obu końców: przysmalił nimi włosy Zacharka i Tatjany i zatknął je pomiędzy nimi na ścianie wysoko.

Płonęły, skwiercząc, wróżyły o długim pożyciu.

A będzie to pożycie ciemne i dymne, a będzie to szczęście znikome i marne, a tym gorzej, że długie.

Teraz Szcherbowa podała družbie czepiec i namitkę. Z rąk jego przyjęła to swacha, zgarnęła włosy Tatjany, ukryła je pod zwój płócienny. Jeszcze wianek zostawiono jej, ale warkoczy już nigdy wstążkami nie zaplecie. Śpiewano przeciągle:

Kto u nas w końcu stoła stoi,
Sto łokci płótna kroi?
Mateńka to stoi,
Sto łokci płótna kroi.
Mało, mateńko, mało!
Na zawój nie stało!

Swacha wskoczyła na ławkę, czerwona, pijana.

Teraz ja królewica,
Zrobiła dziewczkę mołodycą!

Tańczyła, dziko wykrzykując.

A wtem się opamiętała. Marszałek weselny laską, owiniętą barwinkiem, uderzył o uszak i donośnie zawołał:

Gdzieś tu jest młodej ojciec,
Prosi młody i młoda o zapomogę.

Ruszyli się Szczerbo wie i każde srebrnego rubla rzuciło na korowaj.
Państwo młodzi, zawsze niemi, pokłonili się nisko, a swacha się odezwała:

Prosi Tatjana swego ojca,
Swego rodzica, o wspomóżenie,
O wspomóżenie -- o darowanie:
Wspomóż mnie, ojczu!
U Boga, doniu, u Boga
Twoje dary -- wspomogą.
Wspomóżę cię szczęściem i zdrowiem,
I bytem dobrym -- i wiekiem długim.

Ze wszech stron, wywoływani przez marszałka, podchodzili z darami krewni i znajomi.
Kobiety dawały namitki, a mężczyźni pieniądze lub stare blaszane guziki.

Ojciec chrzestny ofiarował owcę, bogata ciotka gęś. Państwo młodzi wciąż się kłaniali, aż dopóki marszałek ostatniego gościa nie wywołał.

Swacha wyprowadziła ich wreszcie do komory. Wtedy odetchnęli nieco po nużących ceremoniach. Wrzawa i tańce nie ustawały, ale im obyczaj nie pozwalał tańczyć.

Przypatrywali się tylko z daleka uciesze. Zacharko trochę sobie podpił, Tatjana zbierała swe pierzyny i skrzynie z odzieżą.

Szczerbowa pomagała jej i łaskę i dostatki przypominała zięciowi.

-- Dajemy ci dziewczkę jak łanię, nie żałujemy pościeli i odzieży. Tylko patrz, co tu wszelakiego dobra! Robotnicę też sławną dostajesz na lato! Dobra twoja!

Ale Zacharko, cięty, poczuł w sobie męską dumę i lekceważenie.

Ręce za pas zatknął i zaśmiał się zuchwale.

-- A diabeł by brał waszą dziewczkę, żeby nie te dostatki i że wobec lata stoimy. Okrasić ją trzeba, bo raba od ospy, jak kasza hreczana.

-- Ach, ty, łajdaku! -- zaczęła Szczerbowa.

-- Doloż moja ciemna! -- zajęczała Tatjana. Matka, wzięła ją energicznie w obronę.

-- Nie tacy jak ty chodzili ze swatami. Starszyzna z Kończyć konia zajeździł, tu jeżdżąc, taj

prosząc.

-- A mnie co starszyzna? Taki on dureń, jak i wszyscy! Ja na służbie nie z takimi urzędnikami gadał, a w Nowozybkowie nie takie widział dziewczęta. Chciała mnie jedna kupcowa za zięcia, co kamienny dom miała!

Szczerbowa umilkła wobec tego, a Tatjana podeszła do męża i urosła z dumy.

Podsuywała mu kielbasę i sery i pierogi, a on opowiadał dalej wspomnienia swe żołnierskie.

Goście się coraz zmieniali, płynąc nieprzebraną falą na poczęstunek. Minęła noc, dzień, a oni pili, śpiewali, jedli.

Nareszcie pod wieczór zaczęto się do odwrotu przybierać. Zaprzężono konie, zładowano na wóz wyprawę. Nadchodziła chwila ostatecznego dla Tatjany rozstania się z chatą, z krewnymi, z wsią, z swobodą młodości.

Konie i swaty męzowskie ubrała w ręcniki, a potem stanęła między družbami Zacharka, pod piecem, opodał od swej rodziny -- coraz dalsza od swoich.

Szczerbowie usiedli na poduszce za stołem. Klim, družba, nisko im się pokłonił i o prawo wyjazdu poprosił:

Za pierwszym razem,
Za Bożym rozkazem,
Gdzieś tu jest ojciec i matka:
Pobłogosławcie tym dzieciom
Na własny byt jechać!

Na stole leżał bochen chleba, ostatni, jaki Tatjana w chacie tej piekła i spożywała. Położyli rodzice na tym chlebie ręce, co ją hodowały i karmiły, a ona je ucałowała i ten chleb także.

Zanosila się od płaczu i łkania.

Już družba korowaj zabrał i przodem na wóz go niósł. Na uszaku sieni rodzice znowu położyli ręce i ona je znowu ucałowała i to drzewo także.

Družba po trzykroć z wiadrem wody wóz obszedł i koniom pod nogi wylał.

Siadali wreszcie, a dziewczęta, jej rówieśnice, ostatnią pieśnią ją żegnały:

Oj, świt wstępuje
Gwiazdy zajmuje.
Młoda Tatjana na wóz już siada,
A ojciec do niej w te słowa gada:
Gdzieś ty, doniu, klucze podziała?
Możesz ty klucze chatnie zabrała?
Rzuciłam je wysoko, pojedę daleko.
Rzuciłam od siebie, pojedę od ciebie.
Rzuciłam na strzechę -- jadę na uciechę.

Wóz ruszył, a za nim całe wesele z krzykiem, wrzaskiem, muzyką, tak, że nikt łkania i płaczu Tatjany nie słyszał. I tak odjechała „na własny byt”.

Nie widziała nigdy chaty Zacharka, więc z daleka jej szukała i wydała jej się bardzo marną i czarną po ojcowskiej.

Wśród ciżby, zalegającej podwórze, ujrzała też błądy cień człowieka, którego żoną zrazu być miała, i popatrzyli na siebie.

Kalenik, o płot wsparty, słaby, wnet oczy z niej na konie przeniósł, które pianą były okryte.

Splunął, zaklął i odszedł zgryziony. A wnet pieśń się podniosła:

Wiozę, ci, ojczy, synową do domu twego!

Czyś rad, czy szczęśliwy z nabytku mego?
Rad byłem, synku, z urodzeń twoich;
Jeszczem szczęśliwszy z wesela twego.

Podano Tatjanie pierwszy chleb męzowski i weszła za korowajem do chaty.
Tedy sięgnęła do fartucha i po kątach sypnęła zboża garście.
Sypała żyto, z którego co tydzień chleb będzie wypiekała, pszenicę, której raz na rok w pierogu skosztuje; sypała owies, z którego kwaśny żur jeść będzie przez długie zimowe posty.
Mijając piec, przy którym życie spędzić miała, rzuciła w czarną tę czeluść monetę drobną i oto już stała w izbie.

Przestępuj Tatjano, twe nowe progi,
Upadnij teściom na obie nogi.
Teściowie, ojcowie, nie krzywdźcie mnie!

Łkała pieśń żałośnie i łkała Tatjana, do stóp padając tym obcym i kolana im obejmując.
Chyliła się do ziemi przed każdym, młodym i starym, jakby Hrywdę całą prosiła o łaskawe, dobre przyjęcie.
Na dworze tymczasem noc się posłała. Weselnicy wysypali się z chaty, zaczęły się śmiechy i dzikie skoki.

Korowodem poprowadzono państwa młodych do stodoły i zamknęły się za nimi skrzypiące, spaczone wierzeje.
Zresztą nikt o śnie nie pomyślał. Pito i tańczono i wielkie wrażenie sprawiło ukazanie się Oksentego Czyruka.

Przed nim rozstąpili się wszyscy. Sydor do komory go poprosił, częstował, karmił, poił.
Chuda ta, czarna postać miała w sobie coś rzeczywiście przygnębiającego.
Spod brwi ogromnych kolący wzrok szedł aż w duszę tego, na kim spoczął.
Poczęstunek przyjął, wypił i obejrzał się wokoło, do kogo by przepić.
Ten i ów bliższy cofał się i za plecy sąsiada się krył, a i Czyruk snadź nikogo godnego nie dojrzał, bo kieliszek odstawił i, na ławie usiadłszy, zabawom się przyglądał.

-- Kalenika waszego nie widać -- rzekł do Sydora.
-- Chory szelma leży.
-- Czemuż do mnie nie przyszedł po radę?
-- Pani jego w kurację wzięła.
-- Pani! -- spluwając, znachor mruknął. -- Są mocniejsi od pani.
Karpina Huc nieopodal stał, wódką i zabawą rozochocony. Dosłyszał i wnet za dwór kochany się ujął.

-- Wiadomo! -- rzekł, śmiało na Czyruka spoglądając. -- Jest czart mocniejszy! Ino że jego nikt się nie boi, co rozum ma, taj z Bogiem trzyma.

-- Mądry ty, młody Łaszek! -- burknął Czyruk. -- Bacz, byś prędko nie zgłupiał!
-- Chyba mi wy *duru* dacie! -- zuchwale parobek się odciął.
-- Et, u bogatego jest i *dur* w zapasie.
-- Kiedy to smaczne, a w komorze trzymacie, to obejrzyjcie, czy go wam wasz Tychon nie wyjadł do dna.

-- Cyt--że, cyt! -- zaczęto uspokajać chłopaka.
-- Niech mi dworu nie zaczepia! Odciągnięto go na stronę.
-- Na, weź skrzypce i graj!
-- Graj, graj! -- zaśmiał się wzgardliwie Czyruk. -- Niedługo będziesz grał.
Karpina smyczkiem parę razy pociągnął, wtem pękła struna.
Naciągnął drugą -- pękła druga.

Zaklął, znowu narządził, znowu się porwał.

Tedy popatrzył na Czyruka, a za nim popatrzyli wszyscy i nastąpiła chwilowa cisza.

Znachor, w boki rozparty, zabobonny ten podziw przyjął jako cześć sobie należną. Przypadek usłużył mu wyśmienicie. Karpina zląkł się i stracił rezon. Skrzypce odłożył i zamyślony pozostał.

Po chwili jednak wrodzona swawola wzięła górę i roześmiał się, zeskakując ze stołu.

-- Niechaj i tak! -- zawołał. -- Mnie i owszem. Będę się weselił!

Hannę wpół porwał i puścił się w tan, różne figle dokazując. Przez drzwi i okna poczęła ranna jasność zaglądać i nagle rzeszy rozbawionej drużba przypomniał pieśnią nowożeńców.

Wziął Klim wody wiadro. Kiryk misę jajeczniczy. Dudarycha pieróg i ruszyli do stodoły. Rzucili się za nimi wszyscy śpiewając:

Kukułka kukała na stodole,
Budziła Tatjanę w stodole:
Wstawaj, Tatjano, długo śpisz!
Czym teścia swego podarzysz?
Co tobie, kukułko, do tego?
Jest u mnie ojciec dlatego:
Czego nie będzie -- dobędzie,
Czego nie stanie -- dostanie.

Zrzuciła tedy Tatjana swe szatki weselne i wianek. Włożyła „andarak” krasny i śnieżną namitkę.

Spożywano jajecznicę, ale młodzi swej części nie tknęli: oddali wedle obyczaju dzieciom; więc Sak i Mokrenia dostąpili także współudziału w uroczystości.

Gdy korowód ruszył do chaty, dziatwy zebrało się dużo i cisnął się ten drobiazg do Tatjany, do rąk jej zacierając i kułakując się, ile sił.

Już jako gospodyni weszła młodyca do chaty, zasłała obrusami stoły, ustawiła na nich sery i pierogi, a potem, wśród dziatwy stojąc, rozdała im swoje stroje dziewczęce: paciorki różnobarwne, wstążki, jaskrawe paski, medaliki mosiężne, pierścionki. Na piersi jej została tylko odrobina czerwonej „zaścieżki”, na ręce świeża, bielona obrączka.

Dziobata jej brzydka twarz promieniała jednak szczęściem, bo i pieśń jej śpiewano otuchy pełną:

Nie bój się, Tatjano, nie bój. W żółte trzewiczki się obuj, I depcz wrogi -- pod nogi!

I rodzina jej przyjechała z darami, ze śpiewem, z powitaniem.

Znowu posadzono ich za stołem i darzono dobytkiem i pieniędzmi.

Teraz Hrywda rzucała nowożeńcowi na korowaj zapomogę groszową, za całe morze wódki wypitej -- i za uciechę.

Potem młodzież dokazywać zaczęła. Drużba oprowadził pannę młodą wokoło zasłanego stołu po trzykroć, oprowadził ją Kiryk, za ręcznik wiodąc, aż mu się wyrwała i uciekła.

Tedy wniesiono bronę, rozciągnięto na niej Kiryka i bito powrósłami ze słomy, karząc za niedopilnowanie młodycy.

Zabawa to niby była, ale chłopiec nogami kopał i kłał, a sędziowie często zamiast słomy używali pięści.

Z śmiechów i grubych żartów przechodzono do wrzasków i połajanek, aż póki się Kiryk nie wyrwał, spocony, czerwony, w roztarganej odzieży.

Skoczył do chaty i wnet wyprowadził do Zacharka straszdyło w namitce i spódnicy, ale brodate i brudne, dziada pijanego.

-- Na tobie twoją żonkę! -- wołał.

Pan młody odskoczył wśród huraganu śmiechu, a mniemaną babę bić poczęto i targano na

wsze strony.

Wreszcie odnaleziono Tatjanę i w triumfie odprowadzono Za--charkowi.

Z rąk Dudarychy wzięła wiadro, zakasała rękawy: zabierała się do pierwszej w nowym domu roboty.

Jeszcze jej zaśpiewano do tej pracy:

We wtorek rano
Pięknie morze grało,
Tatjana wodę brała,
Na kraj swój spoglądała,
Zobaczyła gąsek rząd,
Lecących na tamten ład.
Gąski moje, łabędzice,
Witajcie moje rodzice.
Powiedzcie, niech zbędą tęsknoty,
Bo ja tu z miłej ochoty.
Jak pszczole miód pić,
Mnie tutaj miło żyć.

Doszła Tatjana do studni, rzuciła w nią pieniądz i chleba kawałek, przeżegnała się i wyciągnęła wiadro wody.

Za nią Zacharko stał, nie pomagał, ino bicz długi trzymał.

-- Mój sokoliku -- zaczęła prosić -- nie krzywdź--że mnie!

-- No, to uciekaj! -- zaśmiał się grubiańsko. Porwała za wiadro i umykała wedle obyczaju, a on ją niby gonił biczem wymachując. Już dobiegała do progu, gdy mu dzika swawola przyszła do głowy i bicz z gwizdem opuścił na plecy, koszulą tylko zakryte. Krzyknęła, potknęła się na progu i woda się przelała, a wszyscy wybuchnęli wielkim śmiechem z konceptu tego.

Jak pszczole miód pić,
Mnie tutaj miło żyć.

Zawodziły podpite kumoszki.

Tatjana postawiła wodę na zwykłym miejscu, otarła fartuchem twarz z potu, a może i łez.

Wesele dobiegało kresu, rodzina jej już odjeżdżała: wśród obcych ludzi zostawiono ją samą.

Pod wieczór przystąpiono do ostatniej ceremonii, dzielenia korowaja.

Dzielił marszałek weselny i rozdawał po cząstce rodzinie.

Opadły z tego symbolicznego ciasta wieńce z barwinku i ruty, krasne nici, umajone patyki, jako padły liście z Tatjany ślubnego wieńca, jak zginęły jej warkocze. Rodzina brała ciasto do chustek i niosła do domu, błogosławiąc i na stół kładąc namitki i miedziaki, aż wreszcie z korowaja nic nie zostało, jak nie zostało nic z jadła w komorze, wódki w beczce, muzyki, swawoli, śmiechów -- i całego dwutygodniowego wesela.

Noc była i ucichło wszystko w chacie Hubeniów.

Sydor pijany do bezprzytomności, tarzał się po piecu, stękając, Zacharko zmordowany legł na pierzynach żony w komorze. Hanna znikła wraz z muzyką, dzieci zbierały pod ławkami resztki z korowaja, Kiryk na nocleg klacz wyprowadził. Tatjana wyszła na podwórze, srebrne od księżycy, i zapłakała nareszcie w spokoju.

Bieląta na czarnym tle sieni, a naprzeciw niej zabielał po chwili wysoki cień człowieka.

Szedł ku niej, więc się przelękła i krzyknęła, ale wnet ją spokojny, powolny głos uspokoił:

-- To ja, Kalenik. Ty czemu nie śpisz?

-- Nie chce się. Tak by do Zamoroczenia chętnie pobiegła.

-- Ot, głupia dumka! To tak, żeś się rozhultała przez dwa tygodnie. Staniesz do roboty, to zbędzisz nudy!

Mówił spokojnie pobłaźliwie. Przypatrzyła mu się z uwagą.

-- Ty dobry i cichy musisz być!

-- Swarzyć się nie lubię.

-- Z tobą mnie dobrze będzie.

-- Czemu nie! Byłeś jeść na porę dała, to i pomogę, kiedy będzie trzeba. Bez baby źle było w chałupie.

-- A ty czemu mnie nie wziął?

-- Szuchta (febra) mnie zjadła. Na jesień odłożyli moje wesele.

-- Szkoda! -- szepnęła, spoglądając po nim. Trzymał w ręku powróż i bicz, ale zdawało się jej, że nie biłby dla swawoli.

-- To ty i nie weselił się?

-- A nie. Ledwie mnie pani odratowała.

-- Spać idziesz?

-- A cóż? Woły napasłem, to się przyłożę do świtu. Weszli do chaty.

Parobek lulkę zatlił i, ścieląc sobie siermięgę na ławie, pacierze wpółsenne mrucał. Kobieta ociągała się z odejściem.

-- Szmata u was lnu nasiali? -- spytała.

-- Dziesięć garncy.

-- Moja dola, tak mało! A czymże ja was, tyle dusz obszyję?

-- Ta myśl pierwszej, jak go dopatrzysz.

-- A owiec dużo macie?

-- Siedmioro.

-- Mało! To i na pasy wełny nie wystarczy, a tu wam sześć siermięg trzeba na zimę.

Zadumała się przy piecu. On legł, ale nim zasnął, jeszcze odpowiedział:

-- Jutro tobie kartofle obsypywać trzeba, bo już zbują, a i chleba sporo napiecz, bo z niedzieli na siano pojedziemy!

-- Moja dola, moja dola! -- zastękała młoda kobieta. Daleko, aż het do śmierci leżała przed nią czarna, niewdzięczna -- ta dola.

Czerwiec

Z Hrywdy co dzień ubywało ludzi. Młodych parobków wcale już widać nie było, niknęły kobiety zdrowe, dziewczęta; nawet psów słyszać nie było.

Na ulicy tylko baby stare zostały, na polach dziady niedołęzne, w karczmie wieczorem tylko pijaki z profesji, a nocą z pastwisk ściągały się dzieci małe.

Na próżno do chat co dzień kołatał Kornilo Huc, na robotę do dworu wołając.

Pozostali przyjmowali go drwinami.

-- Możemy i ciebie i twego pana do siebie nająć, bo i nam nie grosza, ale rąk braknie.

Tak mu odpowiedział Zacharko Hubenia pewnego ranka.

-- Pojechali już twoi?

-- Dzisiaj w nocy.

-- To i babę twoją zabrali?

-- Nie. Łucysię Makuszanki zgodzili. Byliby Hannę przyhołu--bili, ale szelma uciekła. Niech no się na jesieni pokaże!

Odszedł, klnąc, a Kornilo swą ścieżką do dworu poszedł, a za nim ruszyli jego wszyscy z chaty.

Tak i Hubeniów chata opustoszała.

Wybierali się teje nocy i rwetes panował okropny.

Na wóz zładował Kalenik chleb i kosy, woreczek z jadem, garnek i dzbanek na wodę, zatknął w półkoszek siekierę, grabie, widły i wór sierzki dla klaczy.

Na sieczce tej położył się Sydor i Kiryk, a parobek uczepił się drabiny i, pół siedząc, pół stojąc, wyjechał na ulicę.

Nawoływali czas jakiś do Zacharka, różne mu polecenia dając; on do nich krzyczał, przypominając, by tyk na postoi nadarli; Tatjana zalecała, by garnka nie stracili; Kiryk jej piskliwy głos przedrzeźniał, a wreszcie oddalenie przerwało rozmowę.

Zatrzymali się przy chacie Makuszanki i Kalenik po Łucysię wstąpił.

Gotowa już była do drogi. Matka ją odprowadziła do wozu, dała węzełek szmat i strawy, poleciła Sydorowi.

-- Kumie, sokole! Nie ciągnijcie z niej pracy nad siły, bo zapamiętała bez miary. A jakby febry dostała, to jej tam na mękę nie trzymajcie. Ostatnie to moje i jedyne. Tak wam oddaję, jak oko z głowy.

-- Dostyc gadać! Nic się nie stanie! -- burknął zaspany Sydor.

-- I chłopcom nie dajcie jej skrzywdzić, nie dajcie przekpiwać!

-- Ty głupia, albo to mnie ojciec dopilnuje? -- zaśmiał się Kiryk. -- Tak jej wezmę i kosą nogi podetnę.

Łucysia cichutko ulokowała się na przodzie wozu, u kolan Kalenika, a on jej nieznacznie kozuch swój podesłał. Ona się niczego i nikogo przy nim nie bała.

-- Ostańcie zdrowi, matko! -- rzekła.

-- Szczęśliwie, doniu, szczęśliwie! -- płacząc zawołała stara i do Kalenika się zwróciła:

-- Sokoliku, nie hańbujcie nią!

-- Bądźcie spokojni! Nijaka się jej krzywda nie stanie. Zdrową odwiozę! Na dobranoc wam!

Wóz ruszył. Kiryk wnet zaczął dziewczynę nogami kopać, ale Kalenik się nasrozył.

-- Porzuć! -- groźnie i lakonicznie krzyknął. Sydor już spał, szkolnik uczynił toż samo. Jechali nocą cichą i jasną i nie gadali do siebie. Parobek niedbale trzymał lejce i machinalnie biczem krzaki przydrożne smagał, zapatrzony przed siebie; dziewczyna, oparta o jego kolana, zasypiała pomimo trzęsienia wozu.

Coraz ciężiej wspierała się na nim, coraz śmielej, aż nareszcie głowę odrzuciła bezwładnie i

oddychała równo i cicho, w śnie bezpieczna.

Parę razy spojrzął na nią. Opadła jej chustka z głowy i złote włosy odsłonięte muskał i gładził wiatr.

Jemu jakoś tak dobrze było, jakby trzy doby próżnował, spał i słodką wódkę pił i słoninę łyżką jadł.

Zapalił fajkę i z cicha podśpiewywał.

Droga umykała spod nich, a on w ciężkiej swej głowie rachował czas, co go dzielił od jesieni.

Rachował i rachował, ale do ładu dojść nie mógł, więc dziewczynę trącił.

-- Czuj, Łucysia! Wiesz ty, ile mamy do Piotra niedziel? -- spytał.

-- Będzie cztery -- odparła, oprzytomniawszy.

-- A od Piotra do Spasa?

-- Oj, pewnie ze sześć!

-- A potem do Spienia tydzień.

-- Co ty rachujesz? -- zagadnęła zdziwiona.

-- Ile niedziel do Bogosława!

Zarumieniła się radośnie, a on, nie patrząc na nią, odpowiedział półgłosem:

-- Bogosław swaty rozesał.

-- Jeszcze szmat czasu, szmat! -- szepnęła.

-- I szmat roboty.

I znowu umilkli. Ona poczęła myśleć, że bodnie jej jeszcze niepełne i że wstyd mieć będzie ze swą mizerną chudobą przy dostatkach Tatjana; on się zmarkocił myślą, że wesele Zacharka opróżniło zapasy i grosze, że dużo, dużo potu trzeba i mozołów, zanim zbierze kilkadziesiąt rubli na swoje gody.

Tak sobie plan snuł: Zacharka zostawi przy domu, a sam na zarobki się rzuci. Do dworu z kosą, do lasu z siekierą.

Teraz żałował, że się wiosną na „flis” nie zgodził, ale się lękał daleko odchodzić.

Truś był zawsze.

Łucysię nowe skrupuły opadły:

-- Swarliwa, powiadają, wasza Tatjana -- rzekła.

-- At, jak wszelka baba! Nie dośpi, nie doje przy robocie, to i krzyczy! Jak Zacharko raz, drugi obije, to tę rezykę straci.

-- Nie bił jeszcze? -- zdziwiła się.

-- Nie. Z początku łaską i dobrocią! Wczoraj nawet, jak Mokrenię opatrzyła, a ojciec począł łajać, to na ojca się wyzwierzył. Tymczasem spokojnie.

-- Ona będzie mocniejsza ode mnie!

-- To co? Ciebie nie zagabnie, bo jej nadto samej ciężko! Będzie ciebie szanowała!

-- Taki mi strach!

-- Czego? Plecy moje szerokie. Zakryję ciebie i takiego, Boh me, ubiję, kto by cię zagabnął!

Przez księżyc przemykały chmurki małe jak białe gołębie; wjechali na most wysoki nad rzeką, ujętą z obu stron groblami. Kalenik biczyskiem na prawo wskazał.

-- Ot i Perechreście! -- rzekł.

-- Wielkie ono.

-- Cały świat. Końca ja nigdy nie widział.

Niewyraźnie czerniały obszary traw, gwarne od mnóstwa błotnych śpiewaków; biła od tych łąk świeżość i surowa woń wilgoci, opary się nad nimi nisko słały.

-- Ty tutaj nigdy nie była; ja już jedenasty rok koszę i wszystkie wychody znam i wszystkie „zajmiska” na pamięć.

-- To zawsze w jednym miejscu kosisz?

-- Każdy, jak dobrze trafił, z roku na rok wraca. Nam dobrze się udało!

-- To na połowę kosisz?

-- Nie, na trzeciak. Dwa stogi Żydowi, jeden za robotę. Trzy ruble gotówką płacą, a potem jego część zimą do dworu odwieźć trzeba, zanim moją zabrać pozwolą. A ja nigdy nie odwożę, bo wszystko kupuję, com zrobił. Towaru szmat!

-- Ciężko! -- szepnęła z ubolewaniem.

-- Nie poradzisz, kiedy mus -- odparł ze spokojną rezygnacją.

Żywot go nauczył ciężary dźwigać: nie buntował się, ani narzekał. Uchodzony był i wciągnięty do bezustannego trudu, jak ta jego klacz gniada do chomąta i hołobli.

Łucysia go pierwsza pożałowała może w życiu, bo aż się zdziwił na jej ton żaloszny.

-- Za twoje staranie i cichość panowanie tobie należy, taj odpoczynek!

Ruszył obojętnie ramionami.

-- Ja nie pan, żeby panował, ani Żyd, żeby odpoczywał -- mruknął, raczej dotknięty jej dobrą intencją, niż wdzięczny.

I począł biczyskiem mijane łąki wskazywać.

-- To Syluków zajmisko już skoszone. Siemienista (liczna) chata! A ot Chrynów zalała woda i do Spasa nie skończą.

-- A koło nas swoich nie będzie?

-- Czyruków Tychon co roku kosi. Łucysia umilkła, rozejrzała się po niebie.

-- Ot i dzień! -- zauważyła.

-- A cóż! W Pietrówkę noc, a w Filipówkę dzień jednaki. Senność ją znowu zmorzyła. Usunął się trochę.

-- Przyłóż się i zaśnij! Jeszcze daleko. Namordujesz się do syta! Nie trzeba mi kozucha. Umyślnie go zabrałem dla ciebie.

Zwinęła się w kłębek u jego nóg i zasnęła.

On na drogę teraz musiał uważać, bo zjechali z grobli między łąki i krążyli wśród trzęsawisk, zygzakami, po mostach z faszyny, niczym nieprzysłanej, po mostach z nieobrobionych kłód, po torfach, powleczonych skorupą darniny, po krzakach, wśród łoż wysokich.

Rozbudził się Sydor i Kiryk, a i ludzi spotykali coraz więcej. Robota szła w całej pełni, roily się łąki od pracowników. Tam kosili, tam wywlekali siano na wyższe miejsce, tu i tam z szłasów ognisko dymiło, uwijały się kobiety; to znowu ściągano wołami kopice na stogi i ludzie się tam krzątali gorączkowo. Gdzie byli Hrywdańcy, tam wóz stawał i rozmawiano, nie przerywając roboty.

-- Jak tam w domu? Zdrowi? A dzieci całe? Co słyhać? A Hubenie, zaspokoiwszy ich ciekawość, rozpytywali:

-- A jak siano pokazuje? Dużo wody? Czy prędko skończą? Wóz ruszał, za nim rzucano dobre życzenie i znowu dzwoniły kosy w ciszy.

Zajeżdżali w coraz większą głuszę.

Nareszcie koło południa zatrzymali się przy dębim koślawym, do którego przyklepiony tkwił szłas z łozy i kołków.

Kalenik zaraz klacz odprzągnął, spętał i w trawie zostawił, a tymczasem Łucysia tobołki z jedzeniem z wozu dożyła, a Sydor z Kirykiem szłas obejrżeli.

Pokazał Kalenik dziewczynie opodał rów, pełen rdzawej wody, skąd czerpać miała do garnka, urąbał łozy na paliwo, wziął zaraz kosę i oczyścił z chwastów i szuwarów plac wokoło.

-- A pilnuj się gadziny! -- ostrzegł ją.

Potem oczyścili wnętrze szłasasu, na dach narzucali gałęzi i trawy, wnieśli do środka swe zapasy, odzież i narzędzia i było po całym porządku.

Poszli zaraz z kosami do roboty, a dziewczyna warzyła postny barszcz z kaszą i cicho było znowu.

Z traw wznosiły się roje komarów. Były duże i rude, małe i czarne, były tak drobne jak łebek szpilki, a każdy zgłodniały rzucał się na pastwę, na krew świeżą. Okrywały twarz i ręce,

cięły przez j bieliznę, zasypywały oczy.

Sydor i Kiryk klęli, Kalenik w milczeniu rzadko się nawet opędział; wody mieli po kolana, ilekroć się ześliznęli z kępy.

Po godzinie zatrzymali się i wrócili do szałas na obiad.

Upał był wielki, więc koszule ich mokre były od potu, a twarze obrzękłe od jadu owadów i okrwawione.

Zjedli szybko strawę bez omasty, którą woda z rowu zaprawiała smakiem i wonią rdzawą i stęchłą, zagryźli chlebem, zakurzyli starsi fajki, Kiryk papierosa i, chwilę spoczawszy, wrócili do pracy.

Kosili jeden za drugim i Kalenik przodował, szerokim rzutem potężnych ramion zrzucając trawę w wał.

Posuwali się powoli i stopy ich zostawiały na łące jakby dwie ścieżyny równoległe.

Spod szerokich kresów kapelusza pot się toczył, na ręce, na kosę, na ziemię, muskuły się prężyły jak postronki, a ilekroć który wydostał nogi z wody, widać było uczone do łydek czarne, chciwe pijawki i pasemka krwi zmieszanej z zielonawym szlamem.

Do komarów przyłączyła się mikroskopijna „meszka” i nalatywała do nozdrzy i ust, upał zapiekał gardła, a oni szli ławą, w ścieżynę po sobie rzucając obojętnie i krew i pot i wszystkie siły.

Kosili tak aż do zmierzchu, wcale się nie odzywając i przystając tylko dla wyostrzenia kosy; aż gdy im słońce uciekło, odprostowali się z głuchym stęknięciem.

Od szałas ogień ku nim zalatywał i dym; ale oni się nie kwapili, i, idąc powoli, rozmawiali apatycznie.

-- Za dwa tygodnie nie skończymy! Ja już całkiem ustałem! -- skarżył się Kiryk nowicjusz.

-- Poczekaj, jutro ci mocy przybędzie! -- pocieszał go filozoficznie ojciec.

A Kalenik kosie swej się przyglądał i niechętnie mrucał:

-- Szelma Żyd oszukał na żelazie! Trzeba klepać, bo krzywe.

-- Wiadomo, głupiemu tak zawsze! Niechby mnie spróbował oszukać! Ja zeszłego roku godzinę przy kowalskim wozie stał, targował, nic nie kupił, a trzy najlepsze do domu przyniosł. Ot jak! -- zaśmiał się Sydor.

-- Udało się! -- mruknął Kalenik.

Łucysia już miała wieczerzę gotową, ale oni ledwie jej tknęli, pokładli się w szałasie, nakryli siermięgami i posnęli jak drewna, na Kalenika resztę zdając.

On klaczy dopatrzył i na noc do dębu uwiązał, on drew urąbał, a potem przy ogniu począł kosę klepać, rozmawiając z Łucysią.

-- Postoły masz?

-- Nie.

-- To ci splotę, bo pojutrze z grabiami pójdziesz. Czemu się spać nie kładziesz?

-- Boję się gadziny.

-- Ot, durna! Gad do ognia nie przyjdzie.

-- Straszno czegoś.

-- Czego? Byle ogień. Wszelkie złe dymu się boi: i wilk i wiedźma i „ci”. Śpij!

-- A ty?

-- Ja jeszcze kosę naklepię, taj legnę!

Ułożyła się niedaleko niego i nim zasnęła, widziała jego pochyloną twarz i jasne kudły, i ręce pracowite, wystukujące młotkiem w ostrze, i okaleczale bosc nogi -- i tak ją sen wziął.

Gdy on wreszcie o spoczynku pomyślał, ujrzał, że jej twarz odsłoniętą cięły komary. Więc go żal ogarnął i okrył ją połą swej siermięgi, a sam obok legł. I tak jedną świtą przykryci, zasnęli bez złej myśli, bez żadnych pragnień, oprócz spoczynku.

Na trzeci dzień i ona z nimi poszła. Wywlekali z Kirykiem pokosy na suchsze miejsca, suszyli, składali w kopice. Z pośpiechu nie warzyli nawet strawy, posilali się chlebem i cebulą,

odpoczywali w południe, pracowali w nocy, by skwaru uniknąć.

Szczernieli i skóra im pękała na karku, a nogi od wilgoci się raniły; ale ich tępej energii nic nie mogło zwojować.

Coraz dalej byli od szalasu i coraz gorączkowiej pracowali.

Zdarzyły się też nieszczęścia. Raz klacz zginęła i ledwie o milę ją odnaleziono po całodziejnej trwodze i przeszukiwaniu wertepów łoży. Drugi raz gadzina ugryzła Kiryka i, żeby nie sąsiedztwo Czyruka, przypadłby chłopiec.

Ale czarodziej kosił opodal i po użyciu ziół, przezeń danych, opuchlina zeszła i gorączka opadła. Był jednak tak słaby i przelękły, że odtąd ani grabić, ani kosić nie chciał.

Aż wreszcie pewnego dnia zginął Kalenik. Sydor z Łucysią rozpoczęli pierwszy stóg składać, a parobek sam kosił owego dnia, o południu zaczęło go wołać bezskutecznie.

-- Zasnął! -- zdecydował stary.

Ale dziewczynę nieokreślony niepokój trapił. Jedząc, wyglądała i nasłuchiwała.

-- Didu! -- ozwała się. -- Nie może to być, żeby on przy robocie zasnął. Uchowaj Boże, nieszczęścia!

-- Jakiego! Detyna on, czy baba pijaczka! Żeby i wilki opadły, toby się nie dał. Szelma zhultał i basta!

Dziewczyna umilkła, ale po chwili wróciła uparcie do swego przypuszczenia.

-- Boh me, jemu coś złego się stało! Pójdźcie, didu, zobaczcie!

-- A gdzież on został?

-- Ot, tam za łożą słyszałam niedawno, jak kosę ostrzył.

-- To i ja tam nie pójdę, bo za grząsko na moje stare nogi.

-- To ja pójdę!

-- Idź, kiedy ci życie niemiłe! Łucysia zakasała spódnicę i pobiegła.

O wiorstę to było. Skakała z kępy na kępę, kalecząc nogi na ostrych szuwarach. A niepokój aż jej piersi rozpierał.

-- Kalenik, ho, Kalenik! -- krzyczała, ile sił.

-- Ale jej nikt nie odpowiadał.

Zaczęła wreszcie płakać z bólu, zmęczenia i desperacji, ale rwała się naprzód nieustraszona.

Odkryły jej wreszcie łoży widok na płaskie, bawelnianką pokryte błoto. Parę pokosów leżało świeżych, dalej -- nic.

-- Kalenik, ho, Kalenik! -- łkając, wołała.

Słońce jej biło w oczy, a pot i łzy mąciły źrenice, więc przesłoniła czoło dłońmi i spojrzała ze zgrozą przed siebie. A wtem między trawą coś się zaruszało, coś plusnęło.

Poskoczyła tam i wrzasnęła okropnie.

Spod ziemi, z wody i błota, wyzierała mułem oblepiona twarz Kalenika.

Po szyję tkwił i tylko dwie jego ręce konwulsyjnie trzymały się kępiny, w której palce grzęzły i która lada chwila się oderwie.

Wokoło niego była jakby studnia rozgrzęzłego mułu, jakaś głąb bezdenna, śliska -- przepaść torfowa.

Bywają na błotach takie okna, piekielne pułapki, zdradliwie trawą pokryte. Parobek tej nie zapamiętał, nie spodziewał się i wpadł nagle, zapewne głową na dół, straciwszy równowagę i przytomność.

Muł go oślepił, nappełnił mu usta i uszy. Nie widział nic, ani wołać mógł; instynktownie na wierzch głowę wy dostał, uczepił się kępiny, próbował się wy dźwignąć, oderwał ją swym ciężarem; znowu dał nurka, znowu za drugą się chwycił, i tak zawieszony w gęstej cieczy, uczepiony żdźbła marnego, Bóg wie, ile się czasu męczył. Widać było po jego strasznej twarzy, po siności rąk, po grozie oczu, że ani samowiedzy, ani sił już nie miał.

Na widok Łucysi począł połykać muł, krztusić się, coś bełkotać.

Ona, zmartwiała i niezaradna, łamała dłonie, krzycząc w niebogłosy ratunku.

Aż wreszcie z gardła Kalenika wydarł się jeden wyraz zrozumiały:

-- Pas, pas!

Rzuciła się tu i tam, czegoś bezprzymtomnie szukając, wreszcie spostrzegła na pokosie pas jego krasny, który zapewne zdjął k'woli swobody ruchów.

Porwała go i rzuciła mu, a on ostatnim wysiłkiem chwycił go zębami.

A wtem mu ręce się rozprzęgły i znowu by dał nurka, gdyby nie ten pas.

Łucysia jedną ręką trzymała go, drugą uchwyciła się łozy, i tak całą mocą ciągnęła do siebie topielca -- za szczęki. Mocowała się z topielcą sama, bo on mało co pomagał, zupełnie osłabły.

I tak go wywlokła na „grad” i sama padła, wyczerpana.

Kalenik leżał z odrzuconymi ramionami i pas wciąż w zębach trzymał, aż go porwała czkawka i wymioty mułu, który połknął.

Wody nigdzie nie było blisko, więc mu Łucysia nawet pomóc nie mogła i tylko, usiadłszy nad nim, zanosila się od płaczu.

Wreszcie trochę przyszedł do siebie, rozejrział się i spytał:

-- A gdzie kosa?

Kosy nie było. Pożarła ją ta głąb torfu i szczęściem, że nóg i rąk o nią nie pokaleczył; ale tej pociechy on nie czuł. Dźwignął się i począł biadać.

-- Moja dola! Przepadła kosa! Co ja nieszczęsny pocznę teraz? Całkiem zgine.

I szukał jej, ryzykując raz drugi wpaść w to okno piekieł.

O podziękowaniu Łucysi wcale nie pomyślał. Ona też zaczęła lamentować.

-- Do czego twoja koszula podobna! I ługiem jej nie odpiorę. Choć ją „starcowi” (ubogiemu) dać. Pójdź do szałasu i zmień ją! Namocz, póki mokra!

Odciągnęła go wreszcie od poszukiwań kosy; starannie zwinęła pas i poszli.

Sydor na widok synowca usta otworzył.

-- Ciebie gdzie czort wodził?

-- Licha jego mać! Kosę utopiłem!

-- Nie może być! Ty, durniu, gdzieś rozum miał i ręce? Jak świat światem nie słyszano, żeby ludzie kosy topili. Będę ci ja dwie na jeden sianokos sprawiał? Ty niedołęgo! Tfu! Jak udał się bałwan, to cały!

Kalenik, zbiedzony, pokorny, zawstydzony, powlókł się do szałas. Klątwy stryja goniły za nim.

Cała Hrywda wiedzieć będzie o tej kosie, a jego taki srom ogarnął, że począł przeklinać Łucysię, iż mu się utopić nie dała.

Choraży, co sztandar wypuści z rąk, nie czuje się bardziej upokorzonym, niż ten chłop, gdy wracał z próżnymi dłońmi.

Złajał go stryj, wydrwił Kiryk: on rozjuszył się wreszcie i napadł -- na Łucysię przy wieczerzy, o byle co, żeby swe rozdrażnienie spędzić.

Odtąd wtedy tylko był spokój, gdy byli każde z osobna; przy spotkaniu wybuchały zaczepki i swary.

Wreszcie pewnego dnia dziewczyna uciekła, nie mogąc znieść takiego życia.

Nie znając drogi, biegła przed siebie, z cicha płacząc, ludzi spotkanych mijając bez słowa, bez odpowiedzi.

W najgorszy upał uciekła, więc długo iść i prędko nie mogła.

Rachowała, że już daleko uszła, gdy wtem tętent koński się rozległ, a zaraz potem znajomy głos Kalenika:

-- Gdzie to ty się wybrała? Stój!

Zmartwiała ze strachu. Stanęła i wyciągnęła przed siebie dłonie, jakby się już od razów zasłaniała.

-- Nie bij, nie bij! -- jęczała.

On oklep na klaczy jechał i przed nią się zatrzymał.

-- Co z tobą? W pół roboty rzucasz -- zaczął, ciężko dysząc, ale bez przekleństw i bicia. -- Nijakiej ci krzywdy nie zrobiliśmy, a ty uciekasz jak od Tatarów. Chcesz nam wstydu narobić, że od nas uciekają, jak od cholerników. Powiedzą ludzie, że ci krzywdę uczynił. A jaż choć rękę do ciebie wyciągnął, jaż choć paskudne słowo ci powiedział, jaż popatrzył, jak nie należy? To ty za to taka dla mnie? Idź, jak chcesz, ale z tego tobie złe wyjdzie: ludzka obmowa!

Łucysia opuściła ręce i płakała.

-- To ty mnie nie łaj! -- szepnęła.

-- Tfu! Jaki czort! Ty królewna, czy panienka ze dworu?

-- Ty mówił, że nie będziesz łajał.

-- Nu, mówił. To zapomniał. I co? Trzeba było zaraz przypomnieć.

-- Kiedy mnie taki żal porwał i wstyd. Zawrócił, a ona szła za nim.

-- Tobie żal i wstyd; a mnie co? Robotnik to z chłopca albo ze starego? Tydzień nie upłynął, a ja sam został z kosą, a ty druga z grabiami. Toż ja bez ciebie tutaj przepadnę!

-- Nie biadaj, zrobimy i we dwoje wszystko -- pocieszała, dumna z jego ufności.

-- Nie uciekniesz?

-- Nie. Choć do Pokrowy zostanę.

-- Ja dumał, że ty nie całkiem szelma! Wróciła tedy i odtąd znowu była zgoda. Hubenie, wystraszeni jej buntem, przestali wymyślać.

-- Wiadomo: babę latem trzeba głaskać! -- zdecydował Sydor. W sobotę wieczorem złożono naradę.

Sydor z Kirykiem na całą noc ruszyli do Hrywdy po prowianty i by się w domu rozejrzeć. Kalenik i Łucysia zostali, by sąsiedni kosiarze nie ukradli siana.

Całą niedzielę parobek w chaszczach łożę na łyka obdzierał; dziewczyna, uprawszyszy bieliznę, poszła w krzaki, gdzie kaczek młodych roilo się mnóstwo.

Uchwyciła ich kilka. Kalenik hukał do niej niekiedy, aż wreszcie poczęli do siebie śpiewać jedną z tych pieśni od łez smutniejszych, od żywota dłuższych.

Nagle doleciał parobka jej okrzyk.

-- Oj, Boże mój! Co to?

-- Co tam? -- spytał, myśląc, że się z wilkiem spotkała.

-- Chodź--no, zobacz! Co to?

Poskoczył. Dziewczyna stała na małej grząskiej łączce, otoczonej olchą czarną. Wskazała mu palcem coś jakby sznur, zwieszony z jednej gałęzi.

Podszedł, spojrział i cofnął się, żegnając i plując.

U gałęzi za ogon wisiała -- zabita gadzina. Czarnożółte jej ciało sztywne było i oślisłe. Paszczę miała otwartą i drewnianymi widełkami rozszerzoną; język z niej wyzierał, a po nim sączyła się kroplami jakaś ciecz kleista, spadając na ziemię. A na ziemi leżał kawał chleba, a na nim trojak miedziany, zaśniedziały i ciecżą tą oblepiony.

-- Co to? -- spytała Łucysia bardzo blada.

-- Cyt! -- szepnął -- To znachorskie sztuki. To na kogoś zakłęte!

Łucysię lęk okropny zdjął: uciekła, nie oglądając się ani krzycząc.

Kalenik pozostał długo i ledwo wieczorem wrócił. Rozmawiali szeptem po wieczery.

-- Widziała ty, jak ten chleb się wił, by żywy; słyszała ty, jak on stękał, jak człowiek śmiertelny? I Boh me! Ja widział i słyszał. Tak myślę, dopilnuję, kto po to przyjdzie; choćby i trzy dni siedzieć, wytrzymam. Aż oto w sam zachód słońca przyszedł Oksenty Czyruk, gadzinę odwiązał, ów chleb i trojak zabrał w chustkę, taj poszedł.

-- Boże mój! Na co to jemu? Toć grzech tak chleb bezcześcić!

-- Wiadomo, że grzech. To też taki znachor nigdy swoją śmiercią nie umiera.

-- Mohe? A jakże?

-- „Ci”, jego biorą żywcem!

-- O, Jezu! -- wrzasnęła, przysuwając się do niego.

-- Boh me! Mnie opowiadał taki, co to widział: mój „did” nieboszczyk.

A było to z dziadem tego Czyruka; był on taki sam jak ten: „znający”.

Jak zaczął umierać, tak cała chata ze strachu uciekła: tyle on wył i ryczał, na obrazy pluł, Boga przeklinał.

Wziął się tedy mój „did” na „rzykę”, włożył chomąto na głowę i poszedł do tej izby. To przez to chomąto co niewidziane widział, a sam zniknął. I widział, że „tych” było z tysiąc, i tak go włóczyli po chacie i bili i dusili całą noc. Aż, jak kur zapiał, tak z niego przez gębę duszę wywlekli i zabrali ze sobą, a tylko jeden został i w niego, w tego trupa się schronił. To, jak rankiem znaleźli onego martwym, ubrali go, włożyli w trumnę, duchowny zaczął śpiewać, kropić święconą wodą, baby jeły zawodzić, a „tego” dziad mój wciąż widział przez oczy nieboszczyka, jak się od śmiechu zanosił, że go tak honorują!

Włożyli na wóz i powieźli, a wedle potapowych Krzyżów stanęli i odkryli trumnę do ostatniego pożegnania.

I bacz: w trumnie tylko płótno było i wióry, a ciała nie. Tak prędzej wieko narzucili, żeby się posłuch nie rozszedł, i tak pustą w dół zakopali.

-- Bożeż mój! -- zaszemrała Łucysia, wokoło się oglądając. -- To i z Czyrukiem tak będzie?

-- A tak.

-- To on po ojcu znajomość wziął?

-- Nie. Chłopa tylko baba może nauczyć, a babę chłop. Tak jego nauczyła jego ciotka, owego córka, a on pewnie „niewiastce” (synowej) sekret zostawi.

-- Uchroń, Boże, mnie!

-- Nie. Nie zadawać ty uczynę będziesz, ani uroki rzucać, ino na moim polu lny białe zbierać, zdrowych chłopców mi rodzić, taj smaczny chleb rozcyniać. Będziesz ty przed Bogiem i ludźmi dostojna, moje ty złoto!

Dziewczynę strach odleciał. Wieczór był cichy i duszny, odpoczynek całodzienny ich rozmarzył oboje. Parobek objął ją wpół i do siebie pociągał. Opierała się słabo i w milczeniu. Morzyła ją jakaś senność leniwa, jakiś smutek dalekich dobrych nadziei!

Już ją u piersi swej miał i ogarniał coraz silniejszym uściskiem, gdy wtem niebiosa sine przeciął zygzak gromu i ołśnił ich przeraźliwie białą jasnością. Zerwali się na równe nogi.

-- Burza idzie. Ja myślałem, że takie upały bez okazji nie miną! Popłynie siano z trzech dni!

Wicher się zerwał i zahuczał; raz i drugi padł grom niedaleki i widać było przy błysku, że chmura czarna prędko obejmowała całe niebo.

-- Będzie ulewa straszna -- rzekł Kalenik.

Skryli się do szałasu, bo spadły pierwsze krople i wicher z nóg walił.

-- Popłynie siano, popłynie! I stóg, co nie zwierzchniony, do spodu przemoknie. Posiedzimy tu miesiąc!

Teraz ulewa zamieniła się w potop.

Przez dach z trawy do szałasu lały się strumienie na ich plecy, bielizną osłonięte. Odzieżę nakryli kosy i siekierę, a Łucysia resztki chleba i krup. Sami zaszyli się w kąt i cierpieli. Noc tak przeszła bez snu -- w wodzie. Nad ranem Kalenik wyszedł na świat i ręce desperacko wbił w kudły. Łąki, jak okiem zajrzeć, stały pod wodą, pokosy zgmatwane pływały, do brudnych szmat podobne.

-- Ot i przyszło na lichy koniec mnie! -- zamruczał. -- Nie będzie siana!

Łucysia dzwoniła zębami, stojąc za nim. Daleko więcej od klęski chłopca zajmował ją namysł: jak ogień rozłoży z mokrej łozy i przesiąkniętą wilgocią szuwarów.

-- Kalenik, daj zapalkę -- rzekła.

-- Idź do diabła! -- burknął.

Przestraszona usiadła w kucki przy wczorajszym ognisku i bezmyślnie patrzyła na zalany popiół i węgle.

-- Co ja jemu dam na obiad? -- troskała się. Parobek tu i tam jak błędny chodził.

-- Żeby na nich choroba! -- zaczął. -- Porzucili mnie tu samego, a oni szelmy w chacie panują! Bodaj ich wilki wzięły! Co ja tu za radę dam?

Wziął grabie i, brodząc po pas w wodzie, łowił pokosy, rękami je wynosił na wzgórek, roztrzasał do słońca, które wyrzało i dopiekało siarczyście.

Potem i Łucysię zawołał:

-- Porzucić garnki, chleba zjemy! Trza kraść własne siano, bo z tej spiekoty, ani chybi, znowu deszcz wyjdzie!

Mokli znowu dzień cały, na żer pijawkom i komarom. Dziewczyna zgarniała trawę; parobek w wiązki składał i na plecach wynosił. Słońce piekło tak, że parowały im koszule przemokłe, że pot im oczy zalewał. Na pomoc nikt nie przybywał, a tu jeszcze wieczorem schłostała ich powtórna ulewa. Trawa, na upale już wyschła, zamokła znowu; nieskoszoną łąkę zalało.

Jedząc wieczorem resztę spleśniałego chleba, byli tak zmęczeni i zdesperowani, że nic do siebie nie mówili, a ręce i nogi drżały im od wysiłku niezmiernego.

Łucysia cierpliwa ocierała szmatą krwawe ślady pijawek; parobek chwilami zasypiał, żując chleb i chyląc się na wilgotną ziemię.

Aż wreszcie w nocy Sydor i Kiryk wrócili.

Makuszancka przysłała córce słoniny kęs, w prowiantach Hubeniów znalazła się flaszka z wódką, i nowin furę przywieźli. Odzyskali więc wszyscy rezon i nazajutrz na cztery pary rąk robota poszła inaczej.

Ale deszcz się na nich uwziął. Plażył co dzień, wody przybywało w oczach.

Tydzień mordowali się bezskutecznie, rozpoczynając co ranka wczorajszą robotę, po raz dziesiąty rozrzucając złożone kopice, klnąc, to zacinając się w upartym milczeniu wściekłości na moc od ich sił większą.

Już dwa tygodnie było tej męki, a jeszcze połowa łąk stała nietknięta.

Spaleni od słońca, brudni, obrośnięci, w białźnie od mułu czarnej, uwijali się często do samej północy.

Głosy im pochrypiły, nogi do ran powyżerała wilgoć; zawsze chudzi, teraz do tyczek podobni.

I tak ubiegał trzeci tydzień.

Przyprowadzono z Hrywdy woły i sanie. Kosili zupełnie w wodzie, a woły wywlekały na saniach trawę z moczaru. Żeby policzyć ich pot, toby te stogi, co rosły, gorzkie i słone być powinny. Czwartego tygodnia, zaniepokojony, przyszedł pieszo Zacharko i przywlokła się Makuszancka, ulitowawszy się nad córką.

Po lamencie nad jej mizernactwem wzięła od Łucysi grabie, a jej kazała spocząć; ale dziewczyna się zbuntowała i nie chciała ustąpić.

Choć rąk i kości nie czuła, wstyd jej było to okazać, by jej Kalenik „hultajem” nie nazwał.

Matka z żalości przeszła wnet do gniewu. Dostała Łucysia grabiami po plecach, potem poczuła twardą pięść matki, ale pomimo to postawiła na swoim.

Grabiły więc obie; stara głośno wyrzekając, młoda płacząc; grabili i mężczyźni.

-- Żeby na Piotra do domu wrócić! -- myśleli i mówili wszyscy.

Aż wreszcie ściągnięto kopice na ostatni stóg. Wysłał mu fundament Kalenik z chrustu i kołków i zaczęto składać. Rósł szybko, a skwar napędzał chmury, co znowu biegały po niebie niespokojnie, jakby się nawołując, szukając, spiesząc, by robotę zmarnować.

Wsadzono Łucysię na górę i rzucano jej wiązki tak prędko, że czasem tchu jej brakło i ginęła w sianie.

Zwijali się na wyścigi, kto więcej, kto wyżej, rzucając wraz z sianem żarty dziewczynie, której krasna spódnica migąła jak kwiat.

Stóg się zwężał ku górze. Chmury opadały na słońce; począł wiatr targać siano z wideł i grom daleki bił jakby werbel na burzę.

Ale chłopci już żartowali sobie z ulewy.

Zacharko po każdym grzmocie gwizdał.

-- Bębni i graj czartu muzykę! -- śmiał się.

-- Złaż, Łucysia! -- krzyknął Kalenik.

-- Widły ci dam! -- dodał Kiryk ze śmiechem. Dziewczyna zawahała się sekundę -- i skoczyła. Kalenik ją w powietrzu utrzymał i postawił na ziemi.

-- Na, pij! -- rzekł, podając dzbanek z wodą. -- Dałbym ci wódki: takes się dobrze sprawiała!

Czerwona była jak upiór. Podziękowała mu za pochwałę uśmiechem wesołym i piła chciwie.

Mężczyźni skręcili długi sznur z siana i przrzucili go przez stóg na krzyż. Był więc i od wichru bezpieczny.

Teraz otarli rękawem uznojone czoła, odetchnęli.

-- Dał Bóg skończyć! -- rzekł Sydor.

Zacharko z Kirykiem zaintonowali pieśń żołnierską; kobiety obładowały się grabiami i dzbankami; Kalenik wziął woły na sznur i poszedł za nimi.

Wicher rzucił ku nim skrzydło chmur, pędzących cwałem, ale deszcz, jak przez swawolę, ciskał tylko pojedyncze, wielkie krople.

-- Na suche bory! Na suche bory! -- mówił doń Sydor już lekceważąco.

Po miesięcznym obozowisku mało co było do zabrania.

Wpakowano w wóz wielką cechę z sianem dla cieląt, pęki łyka, narzędzia, na półzgniłe szmaty.

Usadowił się na nim Sydor z Makuszanką, Zacharko i Kiryk. Kalenik miał woły prowadzić -- dla Łucysi nie było miejsca.

-- To nic -- rzekła -- pójdę pieszo.

-- Zabłądzisz! -- krzyczała matka.

-- A jaż gdzie będę? Pójdziemy razem! -- odparł parobek, krzesząc ogień do fajki.

Pojechali tedy, a ci niestrudzeni szli bez sarkania i protestu.

Na długim sznurze popędzał Kalenik przed sobą woły, w milczeniu ćmiąc lulkę. Łucysia nie odstępowała go, trwożna, bo tymczasem noc zapadła czarna i ponura. Turkot wozu się oddalał, a wreszcie ucichł zupełnie. Po łąkach wołało ptactwo, migwały błędne ogniki, czasem wilki zawyły.

Droga była pusta, bo Hubenie wracali ostatni z sianokosu, i Prerechreście już ciche będzie aż do zimy.

Jak czerwona skierka świeciła fajka Kalenika; nie odzywał się do dziewczyny, tylko od czasu do czasu wołom wymyślał.

Nareszcie skierka zgasała. Wsunął fajkę w zanadrze, splunął i stanął.

-- Zbłądziliśmy? -- spytała Łucysia.

-- Nie. Pić się chce! Potrzymaj byki!

Oddał jej sznur, położył się na drodze i, jakby nie człowiek, z kałuży się napił. Potem poszli dalej. Ale już mu się język rozwiązał.

-- Dziwuję się ja tobie, dziwuję. Te cztery tygodnie! -- zaczął cmokając. -- Cienka ty, chuda, ni pleców, ni krzyżów. Ot, dziewczynka, pastuszka, taj hody! Dumał ja sobie, jak ty tutaj jechała: jagoda to, taj złoty *lotać*. Nie wytrzyma tygodnia; ale niech będzie, bo mi ta ochotniej będzie robić przy niej!

Skądże u ciebie moc taka? Z różnymi ja kosił, a takiej robotnicy nie miał i w Hrywdzie takiej nie ma. Patrzył ja ciągle na twoje ręce małe i nogi i z dziwu nie wychodził! Lubił ja zawsze na ciebie patrzeć, a gryzł się, żeś chuderlawa i słaba. Ano, dziś ja wiem, jaką robotnicę wezmę; to mi nawet nie żal, żeś biedna.

Nu, nu, za dziesięć tustych ty zrobisz, a mniej zjesz. Będą mi ludzie ciebie zazdrościli.

Łucysia aż pokraśniała z dumy.

-- Z biedy i sieroctwa moc moja -- odparła. Gospodarska córka hoduje się zdrowo, wczas ma, a ja od maleńkości wciągnięta do roboty. Inne jeszcze gęsi pasały, a ja już ze sierpem

chodziłam, nie dla zabawy, ale dla zarobku. Nie było kiedy rosnać i grubieć; ino moc rosła, taj grubiała!

U nas nie było czego paść: ni gęsi, ni owieczki. Jak jedenaście lat miałam, to mi matka sierp kupiła i na dworskie żyto zawiodła. Ekonom się śmiał i żeńcy się śmieli, a mnie matka tylko trzy dni pomagała, a czwartego tom już sama dział swój wyżęła. Od tej pory co dzień idę i idę do dworu.

-- Toś pewnie już trochę grosza zebrała?

-- Nie wiem. Matce oddaję.

-- Nu, dziwy, dziwy! -- zamruczał. -- Dziś na stogu toś za parobka robiła. Napatrzeć się ja nie mógł!

-- Jak tobie robieć, to mi nawet nie męka!

-- I mnie przy tobie straszna ochota. A nu, Łysy! Kudy Krasko? Prędko szli, bo nęciła ich chata i niedzielny odpoczynek.

-- Już gorszej „suchoty” (męki) cały rok nie będzie! -- mówił Kalenik. -- Ni żniwo, ni rola tak mocy nie naderwie, jak ten sianokos pohany! Teraz już i zarobek we dworze dobry i chleb świeży rychło będzie.

-- Pójdiesz w zarobki?

-- Pójdę! Trzeba szmat pieniędzy na wesele, a w domu Zacharko mnie zastąpi.

-- A ja do was przyjdę za len odrobić.

-- Poznasz zagony nasze, żebyś na przyszłe lato na swoje łatwo trafiła. A nu, Łysy, czego zostajesz? Wypasłeś się jak lin, teraz się kwap do domu! Ot, spać będę jutro, za wszystkie czasy!

-- Jakie tam twoje spanie? Ani poduszki, ani pierzyny!

-- Nieżonatego pierzyna -- siano! -- zaśmiał się.

Bose ich nogi i racice wołów zadudniły po dylach mostu. Zostawili za sobą Perechreście i poczęli w nocnych mrokach Hrywdy wyglądać.

-- Tamci już w domu. Kiryk nie żałuje klaczy; nie będzie nigdy z niego gospodarz -- mruczał niechętnie parobek.

-- I Hanna twoja na „wołokitę” wyszła.

-- Szelma to nad szelmy! Hodowała się bez matki; ja nie miał czasu doglądać, to się i zmarnowała. Wesele odprawiła i uciekła; potem zjawiała się, niby to do pracy na lato. Przyjęli chętnie, aż tu w tydzień -- nie ma Hanny! Żebym ja rozum miał, to bym ją powinien był bić co dzień -- a tak uciekła na sucho.

-- Słyszę: do akcyźnika na służbę poszła...

-- Nu, niech--no ja spotkam ją w miasteczku!

Przed nimi poczęło niebo się otwierać dla rannej zorzy. Już rozróżnić można było drogę, drzewa, zagony i po trawach bujną białą rosę.

Skręcali na prawo i na lewo, aż wtem stanęła przed nimi wieś rodzinna w całej okazałości i woły, wyciągnawszy pyski, zaryczały przeciągle.

-- Ot i doma my! -- rzekli jednym głosem. Zaleciał ku nim dym, spotkali konie, wracające z noclegu i ani się spostrzegli, jak się rozstali przy chatce Łucysi. Nie rzekli ani słowa pożegnania i parobek ani się za nią obejrzał, tak zajęty był widokiem swej chaty.

I zaraz zobaczył, że dzieci, objijając zielone gruszki, okieroszowały stare drzewo, że świnię zrobiły sobie tunel pod płotem do ogrodu, że wiatr nadszarpał słomy ze strzechy i że bocian na stodole miał już bocianięta -- zresztą chata była tak samo okopcona, drzewo dzikie, podwórce błotniste, chlewy krzywe, a nad tym wszystkim wisiała jak płachta, przygnębienie, niedbalstwo i bierna rezygnacja. I lato, co stroiło błota i piaski, nie podołało upiększyć Hrywdy. W ogrodzie dworskim białły już wczesne jabłka i spać nie dawały wielu ludziom, a przede wszystkim Żydom, dzierzawcom sadu, i całej młodzi wioskowej.

Starsi nie jedzą zwykle owoców do Spasa, ale pastuchy i parobcy nie zachowują tej tradycji.

Mowa o tych jabłkach była wszędy na ulicy, w święto w karczmie, na pastwisku, przy robocie.

Zrabowanie sadu należy do czynów bohaterskich i najtężsi parobcy przechwalali się z zeszlórocznych napadów.

Plany knuły się na noclegach koni. „Nocleżanie” -- to plaga wsi.

Oni to kopią nocami kartofle, porywają gospodyniom kury i gęsi, spasają łąny zielonego owsa i dworskiej koniczyny. Schwycić ich nie sposób, gdyż wjeżdżają w szkodę konno i za lada szmerem zmykają, drwiąc z polowego. Czasami trafi się im gratka nie lada. Tak się udało pewnej nocy Klimowi Czechowi podkopać się do alkierza szynkarza i dostać wiadro wódki.

Tak się udało Kirykowi Hubeni wywlec z chlewka na probostwie paromiesięczne prosię, a Iwanowi Kitowi dostać kopę jaj z komory u Dudarów.

Ucztowali więc na noclegach przy ogniskach, skwarząc i warząc zdobyte prowianty. Rano trzęsa się wieś od babskiego wyrzekania i płaczu, ale hałastrą ta mało o to dbała, trzymając solidarnie wspólną tajemnicę.

Pachniały im dworskie jabłka i co nocy wybierali się po nie, ale się zwlekało, bo słuch szedł, że psy strasznie złośliwe i Huce wartują -- Żydom do pomocy. Huców nie cierpiała wieś, jak wilki--zboje nie cierpią wiernych brytanów.

Pewnej niedzieli zjawił się Klim Czech, Maksym Syluk i Kiryk Hubenia w ogrodzie.

Każdy miał dziesiątkę na jabłka. Przebierali, kosztowali, snuli się tu i tam, wreszcie napelnili swe zanadza i poszli bardzo grzecznie.

Karpina Huc spotkał ich przy bramie i zaśmiał się.

-- A co? Wypatrzyliście? -- spytał.

-- Ojoj! -- zuchwale odparł Kiryk.

-- A widzieliście moją pałkę przy budzie?

-- Ojoj! -- powtórzył wyrostek.

-- Nu, to jej smak poznacie!

I rozeszli się, zamieniwszy przyjazną zapowiedź -- wojny. Karpina się uwziął. Nie szło mu tyle o żydowskie jabłka ile o swoją sławę junaka.

Pomimo całodziennej pracy w polu czuwał w nocy i brata Matwieja do pomocy uprosił; czuwał noc drugą, ale wszędzie była cisza i spokój.

Na trzecią noc zabrał Matwieja polowy do objazdu łąk i czuł Karpina, że go nieprzewyciężony sen morzy.

Zafrasowany, dumął chwilę w drzwiach stajni, szukając socjusza.

Znalazł wyśmienitego.

Pod żłobem towarzyska jego obiadów, pstra Służka hodowała parę szczeniąt.

Parobek zabrał je w połę świty i zaniósł do ogrodowej budy.

Tedy bezpieczny przy Służce się położył, pałkę do boku wziął i zasnął jak kamień. Żydzi i Żydówki snuli się kupą, drżąc za lada szelestem.

Tymczasem na noclegu ruszyła banda.

Noc im sprzyjała swą ciemnością; uzbroili się w draży i siekiery i poszli. Pod ogrodzeniem zatrzymali się nieco, szukając otworu, ale były to koły dębowe, nowe. Zaczęli więc je rąbać i odrywać, sprawiając się jak można najciszej. Wiatr szumił i głużył robotę. Wśliznęli się wreszcie do ogrodu i szeptem złożyli naradę.

-- Nie pójde do papierówki -- mówił Klim -- bo tam pewnie który Huc śpi. Jak się zerwie, to ubije.

-- A jakże! Niech spróbuje! -- zajadle Kiryk wtrącił. -- Albo to u mnie siekiery nie ma? Tak zarąbię, że ani piśnie!

-- To ty tam idź na niego! Ja z Maksymem oberwę te słodkie nad rowem a Kondrat zajdzie od tyłu, aż het w koniec sadu, i tam byle co trząść będzie, żeby Żydów i Huca oszukać. Pobiegną tam, a my tymczasem się sprawimy!

Rozeszli się tedy, pełzając po rowach, czając się do krzaków.

Serca ich napelniała duma i trochę strachu. Drągi nieśli na ramieniu, siekiery mieli za pasem, wiatr szumiał. Nagle Służka podniosła głowę i z cicha zawarczała. Karpina się przecknął i zaraz oprzytomniał. Leżał nieporuszony, ale uszu nastawił.

Ktoś szedł ku budzie boso i powoli. Huc pałkę ujął i zagarniał się, jak do skoku. Wtem daleko rozległo się trzęsienie gałęzi i zaraz potem ogłuszający wrzask Żydów, biegnących w tamtą stronę.

Służka porwała się, wściekle ujadając, porwał się Karpina i ujrzał cień jeden, uciekający ku płotom, a dwa pod jabłonią.

Suka skoczyła jednemu do nóg, on drugiego poczęstował pałką, ale się potknął i upadł.

Napastnik zwałił się nań i począł go dusić, bijąc przy tym pięściami. Suka to skowyczała z bólu, to rzucała się znowu, chrapiąc z wściekłości. Wreszcie Karpina zerwał się, poznał w napastniku Maksyma Syluka i za świtę go uchwycił.

Tamten, słysząc, że Żydzi biegną, szarpnął się i uciekł.

-- Trzymaj, chwytaj! Ahu, ahu! -- krzyczeli Żydzi. Karpina obrócił się do pozostałego.

Ten rzucił worek i zebrane jabłka, zgubił drąg, opędzał się od suki nogami, a rękami dobywał siekiery zza pasa.

-- Aha, ty tutaj, Kirycek! -- krzyknął Huc rozwścieczony. -- Słodkie jabłuszka tobie, nu, to zgorzknieją rychło.

-- Huź, Służka, huź!

Kiryk siekierę miał już w garści.

-- Puść mnie, bo cię zgrabie! -- krzyknął.

Już go dopadł Karpina, gdy wyrostek nań siekierę cisnął, a jednocześnie dał desperacki skok i, ścigany przez Służkę, umknął.

Posłyszał jęk Karpiny, zrozumiał, że trafił, i uchodził pełen dumy z dokonanej zemsty.

Gdy Żydzi z latarniami dopadli miejsca wypadku, Karpina leżał z rozrąbaną głową i nawet nie jęczał.

Suka przynosiła do jego nóg swe szczenięta, jakby szukając opieki, i wyła żałośnie.

Powstał gwałt okropny, zbudził się cały dwór, pan, pani, Huce wszyscy.

Oblano rannego wodą i pani obejrzała ranę. Czaszka była cała, ostrze zatrzymało się na niej, rozplatawszy czoło i głowę.

Bracia klęli okropnie; Prytulanka i Olenia rwały włosy, wyjąc z płaczu; stary Kornilo milczał i tylko oczami od zgrozy rozszerzonymi patrzył, jak w obraz, w panią.

Ona też na niego spojrzała po opatrunku.

-- Będzie zdrów, Kornilo! -- rzekła.

Tedy stary głęboko odetchnął i odwrócił się, rękawem ocierając oczy.

I zaraz do pana przystąpił.

-- Cierpieli my drwiny i przezwiska, i łajania, i szczekania, ano już krwi nie darujemy! -- rzekł z zawziętością.

-- Już posłałem po policję! -- odparł obywatel.

-- Dziękuję panu! Chłopcy! -- krzyknął na synów. -- Ty, Wasyl, idź za śladem, a ty, Matwiej, może znak jaki znajdziesz! A wy, baby, cicho, kiedy pani mówi, że żyw zostanie!

Rozesłał swoich, ale sam został i, na kiju wsparty, przypatrywał się rękom pani, tamującym krew, kładącym płaty.

I tak doczekał się, aż z omdlenia parobek odszedł. Rozejrzył się, zobaczył krew, rękami do głowy sięgnął.

-- Bardzo cię boli? -- spytała pani.

-- Boli. A złapali hycla?

-- A któż to był? -- rzekł ojciec.

-- Hubeniów Kiryk. Cud, że nie ubił. Oj, świtka cała we krwi! Obwiązano mu głowę, a wnet przyjechał policjant, spisano protokół.

Skrwawioną siekierę, kapelusz, drąg zabrano do sądu, a rannego włożono na wóz i odwieziono do chaty.

Już obejmowała go gorączka, bo na ból się nie skarżył, tylko wciąż powtarzał:

-- A taki im jabłek nie dałem! Taki nic nie wynieśli!

Na Hubeniów spadł tedy grom w postaci śledztwa i aresztu Kiryka.

Stadnina gromadzka została bez pastucha; musiał Sydor syna zastąpić; nie puszczone Kalenika na zarobek, bo roboty przybywało z dniem każdym.

Zapanowała też jawna wojna między sąsiadami.

-- Wasze szczęście, że w środku wsi siedzicie -- odgrażał się Sydor -- inaczej to bym ja was urządził.

-- Psie plemie, dworskie pokurcze! -- krzyczał Zacharko. -- Sądów wam chce się, za jabłka chłopca ciągniecie po turmach! Popadniecie w moje ręce kiedy, to was ze skóry poobdzieram!

Huce wrzeli, ale, hamowani przez ojca, milczeli na łajanie i pogróżki.

Kalenik jeden nie odzywał się z niczym.

Wieczorem słuchał klątw i planów zemsty i tylko spluwając dodawał:

-- Żeby do jesieni poczekali, a to w roboczy czas, jak na złość, włóczę! Ot, tobie i jabłka i ryzyka! Rad teraz, że truś!

-- Ty by rad był, żeby Kiryka zabili może? -- warknął Zacharko.

-- Jakby było sądzone, toby ubili. I warto, bo siekierą nie godzi się rzucać w głowę.

-- To tak? Z Hucami trzymasz, ty łotrze! Brata tobie nie szkoda!

-- To wynoś się z chaty do Huców, won! -- krzyknął Sydor.

-- Czegóż od niego chcecie? -- wtrąciła Tatjana. -- Tak, słusznie mówi. Chłopiec winien, że kradł, to i cierpi. A jak Kalenikowi teraz trzeba za dwóch robić, to go złość obejmie. Wy to, wy gadacie złość, a on milczy...

-- Co to kradł? -- oburzył się Sydor. -- Dziecko ze swawoli po jabłka poszło! To kradzież?

-- Ale, dziecko: a dorosłegoomal nie ubiło! Dobra to swawola! -- zaśmiała się Tatjana. -- Żeby tak u mego ojca, toby go zbił do półśmierci, zamiast bronić.

-- A tobie, hultajko, radość, że w więzieniu siedząc, koszuli nie zmieni i chleba nie zje! Tobie byle nie prac, nie robić, ino jeść i spać! -- zawołał Zacharko.

Kobieta, schylona właśnie nad balią, w której prała bieliznę, podniosła twarz spoconą.

Zawrzało w niej oburzenie na krzywdę.

Spokojna, łagodna, była wzorem pracowitości. Jeśli Kalenik za dwóch, to ona pracowała za pięć. Wstawiała pierwsza, kładła się ostatnia, miała na głowie opranie siedmiu osób, oszycie ich, nakarmienie; miała wieprza, len, żniwo, tysiące drobnych, a uciążliwych obowiązków gospodyni.

Nie słyszał nikt jej narzekania, płaczu, ani krzyku; między obcymi wstydziła się okazać zmęczenie i o honor swój była ambitna; i tylko jeden Kalenik trud jej rozumiał i często dopomógł, a sąsiedzi chwalili.

Teraz za tę niesprawiedliwość wybuchnęła raz pierwszy potokiem długo zbieranej męki i udręczenia.

Hultajka? Ja? Spać lubię? Jeść?! A kiedyż ty mnie budził, a kiedyż ty mnie widział jedzącą! Tobie gotowe daj i strawę i koszulę, i jeszcze wymyślasz! Z mego płótna twoja bielizna, z mego żyta twój chleb: a ty mi będziesz szelmo, przyganiał! Jak starce byliście beze mnie: a teraz, kiedy was poratowałam, hultajka mnie nazywasz! Ty sam hultaj, a twój ojciec złodziej i pijak, a Kiryk wart turmy, a niczego lepszego!

-- Milcz, wiedzmo! -- porywając się z lawy, krzyknął Zacharko.

-- Bo nie gadaj, a bij! -- dodał Sydor. -- Będzie ta ona nas uczyć i przezywać! Za mały czas, to cię kijem przetrąci, jak raz nie nauczysz, kto pan!

-- Radź mu, radź! -- krzyknęła Tatjana. -- Ze mną zacznij, a na tobie skończy! Będzie i jemu, jak Kirykowi. U was to swawola -- mordowanie!

Zacharko wpadł na nią, zdarł namitkę, porwał za włosy i począł okładać pięściami.

Kobieta, silna i młoda, broniła się ile mocy, przewrócili balię z ukropem, oparzyli Saka, drzemiącego na ziemi, i szamotali się zajadle, jak zwierzęta.

Wreszcie Tatjana wyrwała się mężowi, rzuciła się do drzwi, Kalenik je prędko otworzył i wypchnął ją na podwórze.

Zasapany Zacharko już nie gonił, zadowolając się całą litanią obelg i okropnych przymiotników.

Sydor śmiał się uszczęśliwiony.

Zapomniano o gniewie na Kalenika.

Parobek z chaty się wysunął, odurzony wrzawą, bojąc się, by złość nań nie spadła.

Na przyzbie u Huców rekonwalescent Karpina siedział z Ołenią.

-- Co tam u was za wojna? -- spytał, poznawszy przyjaciela.

-- Nic. Zacharko się z żoną poswarzył. Ty już zdrow?

-- A już. Z nudy tom się omal nie zbiesił! Jutro dzięki Bogu, do roboty pójde.

-- Dobrze ciebie dziewczyna twoja doglądała.

-- To dziwo? Wesela się jej chce! Ołenią fartuchem zakryła oczy.

-- A ty już sobie jaką upatrzył? -- zagadnął Karpina.

-- Nie będę ze swatami długo chodził. Do jednej chaty, taj zapijemy!

-- Doprawdy! A kto!

-- Jest taka!

-- Nie chcesz mówić? To zobaczymy się na ręczniku przy ślubie, jesienią.

-- Zobaczymy się! -- odparł, a po apatycznej jego twarzy radosny uśmiech przebiegł.

-- Nu, to zanieś jej jabłek ode mnie! Daj mu, Ołeniu, pełne zanadrze!

Były to papierówki owe, tak ciężko bronione krwią.

Kalenik obdarowany wrócił na swe podwórze i, chwilę poczekawszy, przez płot za stodołę się wy dostał.

Dawno już Łucysi nie widział i tęsknił do niej.

Aż wtem omal ne upadł na coś białego. Była to Tatjana w kłębek zwinięta pod ścianą.

-- Co tobie? Idź do chaty! -- rzekł.

-- Nie pójde. Ucieknę do ojca, jak trochę „oczumieję”. Całkiem zabił! -- jęknęła.

-- Porzuć! Albo to jeszcze tak nie będzie! Pierwszy raz toś się przelekleła i, wiadomo, jeszcze niezwykajna! Potem to się przyzwyczaisz! Ot, głupstwo!

-- Nie chcę takiego życia, nie chcę takiej doli! Ty widział, jak ja robiła, ty widział, jak się starała. Za to mi kości poprzetrącał, głowę pobił, włosy wyrwał. Oj, Boże mój mileńki! Boże!

Podniosła się na klęczki i, rękami pobite piersi cisnąc, łkała.

On nie wiedział, co rzec, więc w zanadrze sięgnął. Żal mu jej było.

-- Na jabłko. Zjedz, kwaśne, dobre!

-- Nie przeleknę! Gardło mi całkiem zdusił, jak wilk. Nie żałowałam mu płótna i pierzyny, dogadzałam w stawie. Teraz inaczej będzie. Bije? Nu, to niech złą bije. Niech się wszystko marnuje!

-- Porzuć, przywykniesz! -- pocieszał po swojemu. -- Lubi on ciebie, a jak tam kiedy uderzy, to co? Każdy tak robi. Na to on mąż, a ty baba! Ot, idź do chaty.

-- Moja dolo ciemna, moja dolo pohana! Na to ja dzieci hodować będę?! Boże mój, Boże!

Wtem skrzypnęły drzwi chaty.

-- Tatjano! Ho, Tatjano! -- rozległ się głos Zacharka.

-- Idź, skoro -- szepnął Kalenik -- bo cię tu odszuka i żywej nie zostawi. Idź do niego, do komory, taj milcz!

-- Tatjano! -- głośniej powtórzył Zacharko. Kobieta się zwlekła.

-- Idę! -- odpowiedziała zachrypnięta.

I poszła, stękając, ale już cicha i zrezygnowana, a Kalenik poza stodołami pomknął do Makuszanek chatyny.

Osądzono wreszcie Kiryka i uwolniono.

Uratowały go lata niepełne i rany od zębów Służki. Bronił się zatem od psa i przez nieuwagę, ze strachu, uderzył Karpinę.

Za swawolę kazano mu w gminie wyliczyć piętnaście różg.

Hubenie triumfowali tedy i sam winowajca drwił z Huców, gdzie tylko ich spotkał; obiecywał lepiej się sprawić za drugim razem, chwalił się z swego bohaterstwa i sprytu.

Stary Kornilo, poznawszy wyrok, nic nie rzekł przy ludziach, tylko wieczorem w chacie do synów się ozwał:

-- Nie złoście! Wiadomo, kto winien, Bogu i panu, to i dosyć. Chwalba ich -- złodziejska, a nasza przegrana -- prawych ludzi przegrana! Tak i będzie po koniec świata.

-- Ja bym nie chciał Kirykiem być! -- rzekł Karpina ze wzgardą.

-- Rozumnie wy rzekli, baćku! -- potwierdzili po namyśle starsi synowie.

Wieczorzali właśnie przy długim stole, oświetleni resztą blasku z ulicy.

Matwieja Maria ustawiła przed nimi misy kwaśnego mleka i smażonych kartofli; krajali sobie z jednego bochna grube zrazy chleba i jedli powoli.

Zgoda, spokój i zadowolenie uczciwe panowały w tej chacie białej i obszernej; nawet dziatwa malutka zachowywała się przystojnie, nawet psy leżały spokojnie, wyczekując swej kolei.

Kornilo siedział u góry stołu pod obrazami świętych, naprzeciw niego w drugim końcu Prytulanka.

Rozmawiali o robocie odbytej i o jutrzejszej na dworskim łanie, a mówili o tej ziemi wszyscy „nasza” -- i cieszyli się dobrą pogodą dla zniw.

Kornilo milczał i do siebie się uśmiechał.

-- Coś wesołego dumacie, baćku? -- zagadnął go Karpina.

-- Ano, dumam ja sobie jedną gadkę o złodzieju, co mi ją starzec kiedyś biał.

Przyszedł on starzec do stodoły, a pszenicy leżała kupa złota na toku.

Patrzy on na nią, a ja powiadam:

-- Pachnie wam ta pszenica, ino nie ruszcie! A on sobie pośmiechuje i rzecze:

-- Nie chcę ja Bogu śmierdzieć, ni świętym. I tak powiada: Poszedł jeden kraść do stodoły, ukradł i powiada sobie: że się mnie udało, to za to zrobię ofiarę świętemu Mikole. Kiedy tak myśli, aliści oczami za siebie rzucił, aż tu go człowiek goni.

On „w ucieki” -- tamten za nim.

Biegną tak i biegną, w złodzieju dech zaparło, precz worek rzucił, bo widzi, że pojma, więc choć siebie ratuje.

Poty na niego biją, mdleją nogi, a co spojrzy za się tamten biegnie.

Aż tu widzi: leży przy drodze koń padły, na półogniły, cuchnący.

Z tej desperacji, że nie umknie, on na myśl bierze i schował się pod żebra tej wywłoki, i siedzi w zaduchu, w śwędzie, z robactwem.

Aż mdleje z obrzydzenia, ale trwa ze strachu.

Przesiedział godzinę, omal nie umarł, wreszcie wypelzł na świat.

Patrzy, droga pusta. Idzie tedy, plując, aż spotyka człowieka. Idą w podle, poczynają gadać.

-- Ot, zaznałem biedy -- powiada -- złodziej goni mnie jakiś, uciekałem, taj w tę zdechłą szkapę się schowałem od niego. Omal mnie ta zła woń nie zabiła! Tfu!

A tamten staje i mówi:

-- Jak tobie woniała ta szkapa, tak mnie woniała twoja ofiara! I jak to rzekł, tak wnet się z wiatrem rozwiał i już go nie stało na drodze.

I poznał złodziej, że to ten był, co go ściagał -- święty Mikoła! Ot, jak!

Słuchali wszyscy uważnie i nikt za bajkę nie wziął.

-- Dobrze jemu tak! -- odrzekł Karpina.

-- Może to być! -- dodał Matwiej. -- Niechaj szelma świętych nie zaczepia!

Człowiekowi do nieba wysoko i ciężko; a świętemu co? Zeskoczy na ziemię i jest!

Skończyli jeść i, przeżegnawszy się, do ojca zwrócili.

-- Dziękujemy, ba'ku, Bogu i wam za strawę taj za odpoczynek! -- rzekli razem wszyscy.

-- Na zdrowie wam, dzieci, na moc, taj wszelkie dobro! -- odparł stary.

Rozchodzili się już: kobiety po zielsko dla wieprzaków, mężczyźni do dworu na warty, na objazdy nocne; dzieci układano do snu. Stary jeden zostawał w chacie i komenderował, lulkę ćmiać.

-- Ba'ku! -- ozwała się Maria, sprzątając statki u pieca. -- Mogłabym ja jutro żniwo opuścić?

-- Nie; albo co?

-- W lnie „czyrówkę” chciałam zniszczyć.

-- A na coś ją nahodowała! Teraz nie pora. Lnu nie uratujesz, a i dzień stracisz, i krzywdę panu zrobisz. Po dożynkach to cię uwolnię.

Matwiej na rosę postoly ozuwał i do rozmowy się wtrącił.

-- Albo to ona dożynków doczeka? Jeszcze nam pierwszej chrzciny sprawi.

Kobieta zapłonila się i umilkła, a stary się uśmiechnął wesoło.

-- Kiedy tak, to jej do żniwa szkoda. Zostań się, Mario, w chacie!

-- Nie, ba'ku, nie! Pójdę! -- zaprzeczyła. -- On to niepotrzebnie się troska! -- dodała, na męża wskazując.

Matwiej ubrał się już i fajkę zagasił. Spojrzał na żonę ze śmiechem, objął ją ramieniem i po twarzy pieszczotliwie pogłaskał.

-- A bacz, żeby mi chłopiec był, bo dziewczyn dwie to dosyć! -- rzekł.

Kobieta zaśmiała się do niego ślicznie białymi zębami.

-- Chłopca ci się chce, a kołyskę czyś upłóć? -- odparła.

-- Jutro wieczorem uplotę.

-- Pamiętaj, bo będziesz musiał na ręku kołysać!

-- Ojoj, będą! Byłeś za mnie móg wyorała. Rozstali się, wesoło żartując.

Maria zmyła statki, zajrzała do dzieci śpiących, usłała pościel teściowi, obrała kartofli na jutrzejsze śniadanie; krzątała się żwawo, a wreszcie do sieni wyszła i poczęła w żarnach jęczmień na kaszę rozcierać.

Łoskot kamieni uspił starego Kornię. Wnet też wróciły kobiety zielskiem obładowane i Prytulanka odpędziła Marię od żaren.

-- Boga się bój! -- wołała. -- Czy na to mało zdrowych, żebyś ty życie ważyła! Idź spać, mówię ci! Mnie starej sen nie bierze, to ci kaszę utrę!

-- Dziękuję, ciotko!

-- Idź, idź! -- powtarzały bratowe. -- Trzeba ciebie szkodować, bo sama to nijakiej uwagi nie masz!

I tak ją zagnały do komory i długo w noc monotony stuk żaren jeszcze się rozlegał. I tak stara Prytulanka płaciła uczciwie swym dobrodziejom. Nazajutrz Matwiej, pamiętny obietnicy, pęk rokity wyciął w rowie i na miedzy położył, a potem orał dzień cały, dość daleko od reszty kolegów.

Obiad swój w dwojczkach zastał gotów w kuchni. Kobiety wszystkie żęły. Syn spodziewany mniej go zajmował i wcale o nim zapomniał.

Rolę spiekły upały, bąki kaleczyły konie, pług mu się rozstroił. Biadał parobek długi dzień na skwarze.

Pod wieczór się miało, gdy ujrzał od żytniego łanu ścieżką polną idącą kobietę.

Poznał swoją Marię i nie zdziwił się, gdyż zwykle wracała do domu pierwsza, by krowy podoić i zwarzyć wieczerę.

Spojrzał raz i drugi na nią, ilekroć z pługiem zwracał. Szła bo nie po swojemu, powoli, więc

jej w myśli pożałował.

-- Ciężko jej, biednej! Boh me, już od jutra zakażę żniwa. Tymczasem Maria podeszła bliżej i na miedzę ku niemu się zwróciła. Siermięgę miała rozpiętą i coś trzymała w pole jedną ręką, a w drugiej sierp niosła.

Zatrzymał konie i parę kroków ku niej uczynił.

-- Co ty niesiesz? Broń, Boże, co ukradła? -- spytał niespokojnie.

Kobieta stanęła przed nim i, uśmiechając się bladymi ustami i licem, na którym jeszcze smugi bólu zostały, odchyliła rąbek grubej świty u piersi.

-- W Imię Ojca i Syna! -- przeżegnał się chłop. -- A to skąd?

-- Chłopiec dla ciebie, jakieś chciał! -- odparła łagodnie, podczas gdy oczy łzami nabiegały z radości, czy osłabienia.

-- Matko święta! -- wymówił, zapatrzony wciąż w tę połę zawiniętą i oszołomioną. -- Skąd, kiedy, jak? Dawno się urodził?

-- Przed południem. Zaczęłam żąć i zaraz przestałam. Wstyd mi było wracać przed tylu ludźmi, więc w zboże się skryłam. Bóg chłopaka dał: spoczęłam, taj do ciebie przyniosłam. Cóż stoisz? Ta przeżegnaj i pocałuj małego! Co ty za ojciec taki głupi!

Matwiej oprzytomniał. Krzyżyk ręką zaznaczył, otarłszy z potu twarz i odkrywwszy głowę, pocałował małeństwo. Kobieta usiadła na miedzy.

-- Spocznę trochę przy tobie! -- rzekła. -- Daleko iść od zboża.

-- Zaprzęgnę konie do wozu duchem i przyjadę po ciebie. Poczekaj! -- zawołał.

-- Czyś oszalał? Żeby ludzie ośmieli, że mnie z pola mąż wozi! Tyle szłam, to i resztę drogi zrobię. Albo to on ciężki! Tyle co kociak!

Matwiej już czapki nie włożył i, stojąc nad nią, uśmiechnął się radośnie.

Ona dyszała, zmęczona.

-- Żebyś ty lepiej po Prytulankę skoczył -- rzekła -- bo ja wam wieczerzy dzisiaj nie wyśpiesz zgotować. Narobiłam im mitręgi, moją część muszą dożyć! Mój sokoliku, już ja pójdę, ale ty mi Prytulankę sprowadź!

-- Ot, jadę! Powoli idź! Nie morduj się!

Prędko konie odprzągnął, siadł oklep i do dworu ruszył.

Kobieta poszła ku wsi, drobinę swoją od much i zachodniego blasku osłaniając. A chłopak ten Huców, zrodzony na dworskim łanie, ścieżką dziada i ojca szedł do chaty na rękach matki i rozwierał duże, modre oczęta, jakby zdziwiony, że pierwszym posłaniem były mu kłosy, pierwszym obrazem takie duże pola niechłopskie.

Ten ci trafi do dworu, ten ci najemnikiem wrogim nie będzie.

Sierpień

„Na jesieni co krok, to kęs” -- powiada przysłowie ludowe.

Tego roku wszystko szcudrze obrodziło i sprzęt dał Bóg pogodny.

Pełne były stodoły i odryny, napelniały się komory, każdy był syt chleba.

Wieczorami wieś całą obejmował stukot żaren, cepów i praczów, którymi kobiety objęły lniane siemię z lnu.

Gdy zupełna noc zaszła, wtedy daleko szły po szronnej rosie jęklive, długie tony surm pastuszych -- owego grania jesieni.

Powoli rzedniały zielone osłony drzew, nabierając gorących tonów. Wszystko oddało owoc, nawet chwasty sterczały brunatne, rozrzucając po ziemi białe puchy nasienia, lub czepiając się kolcami, by przetrwać, wżgardzone, a uparte.

Czerniały liście, kraśniały kaliny, jarzębiny, głogi, ginęła pasza, odlatywało ptactwo, a po polach, tak niedawno gwarnych i barwnych, sochy pokrywały sterczące ściernice i bydło błąkało się, przeciągle rycząc.

Zbiegały się, dni, a wydłużały noce chłodne; ziemia jakby zasypiała; niebo osuwało się nad nią, tracąc barwę i czystość.

Rozpoczęły się siewy. Zasiał pierwszy najstarszy gospodarz z Hrywdy, Sawczuk, bo rękę miał szczęśliwą, i on pierwszy skończył i słomą ostatni zagon potrzęsnał.

A za nim inni siali i ową garść słomy rzucali na zagon, kończąc, bo tak obyczaj kazał.

Tak trzeba było, żeby Bóg, co będzie leciał i siewy święcił, miał gdzie stopę postawić i spocząć na złotej, suchej słomie, a nie na roli twardej. Kobiety posłały lny na łąkach, zdjęły wełnę z owiec, poczęły kopać kartofle. Twarze ludzi miały wyraz zadowolenia i karczma się ożywiła, bo każdy miał co przepić i o czym gadać w coraz dłuższe wieczory.

Nawet bór oddawał plon: rydze i grzyby, czerwone brusznice i żurawiny znosili pastuszki do chat, barcie oddały miody, leszczyny orzechy. Co krok, to kęs brał człowiek od swej karmicielki, matki.

Pewnego dnia Karpina Huc z wozem, pełnym zboża, zajechał pod wiatrak dworski do miewa.

Młynarza nie zastał, więc lejce na drzewo zarzucił i pobiegł po niego.

Nie znalazł w chacie, więc zmitręzył szmat czasu, szukając.

Tymczasem drożyną podle wiatraku przechodził Tychon Czyruk, na plecach niosąc wężerz na ryby.

Tłuste kasztany Karpiny zlekły się owego czarnego kosza, poczęły uszami strzyc i szarpać.

Zabawiło to parobka -- nastraszył umyślnie.

Tedy zerwały konie lejce i poczęły latać koło młyna, zaczepiając wozem o zapory, rwąc uprzęż i łamiąc wóz.

Tychon się temu przyglądał ze złośliwą przyjemnością, a wreszcie połakomił się na porządny rzemienny półszorek; obejrzał się, czy go kto nie widzi, konie zatrzymał, uprzężą się obładował i uciekł opłotkami.

Bardzo daleko chłop jeden szedł za broną i ledwie jak punkcik czerniał, ale chłopskie oczy bywają wyśmienite, zresztą, jak okiem zajrzeć, nikogo więcej nie było.

Uciekł tedy Tychon ze swą zdobyczą, kasztany rozbiły wóz i, zaplątawszy się wreszcie, stanęły ogłupiałe.

Tak je zastał Karpina z młynarzem i ręce załamał.

-- Jak ja się panu pokażę? Co ja ojcu powiem? Nieszczęśliwa godzina!

Nie podejrzewając kradzieży, szukał wszędy półszorka, aż w końcu zapłakał gorzko i ze zwieszoną głową prowadził konie do dworu, lamentując głośno.

Na dziedzińcu otoczyła go wnet cała dwornia. Ojciec nawet ze stodoły wyszedł i, wysłuchując narracji, kijem, na którym korce karbował, plecy mu parę razy przemierzył. Czy to ty dziecko nie znasz swoich koni, że bystre? Nie znasz ludzi, że złodzieje? Rzucił, jak błazen! Dobrze tobie tak! Miej wstyd i hańbę nawet przed świniopasem! Ja cię nie będę zasłaniał!

-- Mój bateńku, mój rodzony! -- łkał parobek, nogi ojcowskie całując. -- Wstyd mi gorzej śmierci! Pójdźcie ze mną do pana!

-- Jeszcze może czego? Złapał ty wstyd, to go noś! Zaraz mi ruszaj do kancelarii i sam o karę poproś! Niech pan się dowie, jakiego bałwana wyhodował i jakiego niedbalca chlebem karmi! Marsz!

Karpina poszedł z płaczem.

Pan ani się gniewał, ani o karze nie wspomniał, a pani nawet go pożałowała, ale parobka ta dobroć ogniem piekła. Ręce i nogi państwa całował i jęczał.

-- Tak mnie, Boże, dopomóż, ja to chomąto odnajdę: ja go odbiorę, by pod ziemię schowali! Niech mnie pan ten jeden raz daruje!

-- Ależ, chłopcze, najmniejszej pretensji do ciebie nie mam! -- uspokajał go pan.

-- Ja, wiem, ino pan pomyśli w sobie, że ja dureń, albo o „nasze” dobro niedbały. Ale ten raz proszę tak nie myśleć!

-- Nie, nie! Nigdy nie myślał i nie pomyślę inaczej, tylko żeś mi zuch i druh pocziwy! Za przyjaciela cię mam i mieć zawsze będę! -- upewniał go pan, półwzruszony, półśmiejący się.

Ale stary Kornię rzecz tę ostro wziął do serca. Wieczorem, gdy z ekonomem o jutrzejszej robocie radził, przy zebranych najemnikach i parobkach rzekł:

-- A mego Karpinę jutro jegomość do świń pasienia odprawi, bo koni nie ma w co ubrać, ani do czego założyć.

Stancja ekonomiczna zawrzała śmiechem zebranej zgrai, a chłopaka żary objęły i łzy znowu rzuciły się do oczu.

A wtem z kąta powolny głos Kalenika się rozległ.

-- To twoje, Karpino, konie nosiły przy młynie? Ja widział z daleka.

Karpina ku przyjacielowi skoczył.

-- Widział ty? Skąd?

-- A jaż tam za strugą bronował za odrobek leśny! Kwitu u jegomości proszę.

-- To może ty i złodzieja widział?

-- A jakże!

-- I poznał?

-- Ta dziwo!

-- Któż był? -- Huce wszyscy spytali. Kalenik poskrobał się w kudły.

-- Nie chce się powiedzieć! Będą klęli, albo i gorzej. „Uczynę” zrobią!

-- To taki ty druh! -- zawołał Karpina, a stary Huc dodał gorzko:

-- Mój chleb na przednówku tobie dobry był i deski na trumnę się zdały, ale jak mnie bieda, to ty głupiej klątwy złodzieja się boisz! Oj, ludzie, ludzie!

Kalenik się zawstydział.

-- To powiem. Niech przyjdzie, co chce! Tychon Czyruków to był. Szedł z „werszą”, konie nastraszył, a potem chomąto zdjął, taj poszedł.

-- Daj tobie Bóg zdrowie! -- wykrzyknął Karpina, rzucając się do drzwi.

Wypadł jak szalony i pędem na wieś pognał.

Wrócili Huce do chaty uradowani i czekali go na wieczerzę.

Wpadł zdyszany, rozgorączkowany, ale z pustymi rękami.

-- Co to będzie, bałku? -- wołał od progu. -- Nie chcą oddać!

-- Jak to?

-- A nie chcą! Złajali mnie jeszcze!

-- Słyszeliście! -- wybuchnęli bracia.

-- Cyt! -- rzekł Kornię. -- Jakże, zapierają się?
-- Ale! Znać, nie znają.
-- Toż Kalenik widział! Mówiłeś?
-- Mówiłem. Tychon na chwilę zgłupiał, ale stary powiada: Kiedy widział, to niech przyjdzie i znajdzie. Będzie on swoją śmierć tak widział! Widać, że ukradli, a teraz wstydno się przyznać! Schowali i zataili!
-- To sprowadzić starostę i przetrząsnąć im chatę! -- krzyknął Matwiej.
-- Co ci się zdaje? Jeżeli schowali, to nie w chacie i dobrze. Jak po dobroci nie oddadzą, to przepadnie.
-- Mój Boże! To ja się ze wstydem ostanę! -- zdesperowany zastękał Karpina.
-- Poczekaj! Pójdę ja sam z tobą.
Poszli tedy, pewni dobrego skutku. Spodziewano się ich u Czyruków. Zastali ojca i syna ponurych, zuchwałych, zaciętych.
-- Wiecie, Oksenty, z czym przychodzę! -- zagaił Kornię spokojnie.
-- A wiem: z dziką napaścią! -- odparł znachor.
-- A nieprawda! Nie napastniki my, ale ukrzywdzeni. Po dobrej woli oddajcie tę uprząż! Zapłacę wam za nią trzy ruble, byle chłopiec mój wstydu nie miał.
-- Jaką uprząż? Albo to u nas swojej nie ma, żeby my kradli! Idź, zobacz, ile w „swirnie” wisi rzemieni!
-- Nie pójdę, bo mojej tam nie ma. Tym ci gorzej. Biedny, jak ukradnie, odmowę ma przed Bogiem, a taki bohater, jak wy, to zgrozę czyni!
-- Wy mi tu kazania nieprawie, bo moja chata nie kościół i słuchać nie potrzebuję waszych przymówek! Twój chłopiec może sam ukradł i przepił półszorek, a spokojnych ludzi się czepia. Ja was na sąd podam za obmowę.
-- A, podacie i owszem! -- wybuchnął Karpina. -- Świadki mam, co widzieli, jak Tychon brał.
-- Zgorzą twoje świadki i ty, nim dowiodą!
-- Zobaczymy!
Stary Kornię stał na kiju oparty i ostro w znachora patrzył.
-- Ostatnie słowo, Oksenty! Nie oddacie nam tej straty? -- rzekł, trochę głos podnosząc.
-- Zgiń, przepadnij z twoją przyczepką! Nie brali my i nie oddamy!
-- Nu, to ja ciebie już turbować nie będę, ani na sąd nie podam. Niech moje przejdzie. Tylko ci jedno życzenie zostawię!
Tu głos jeszcze podniósł, rozdrażniony fałszem i gniewny okropnie.
-- Za taką prawdę, jaką ja od ciebie wziął, niechże ci Bóg weźmie, co masz najlepszego. Amen!...
To powiedziawszy, wyszedł z chaty, a Karpina drzwi z hałasem zatrzasnął.
-- Baćku! Mnie czegoś straszno od tej klątwy starego Huca! -- szepnął po ich wyjściu Tychon. -- Ja to chomąto odniosę!
-- Ani mi się waź! -- odparł ponuro znachor. -- Co on za moc ma przeciw mojej?
Parobek ramionami drgnął, jakby mu mróz przeszedł po plecach, ale milczał. I tak się ta sprawa z półszorkiem na razie skończyła. Zginał, jakby wpadł w wodę.
Zapomniał wreszcie o swej stracie nawet zawzięty Karpina, zapomniał o swej klątwie Kornię, tylko czasem wspomniawszy ją zabobonny Tychon i wzdrygał się, cały chłodem przejęty.
Hrywda zajmowała się tą sprawą przez parę tygodni, wreszcie całe zajęcie przeszło na wiadomość daleko ważniejszą i ciekawszą. Dowiedziono, że Prytulanka Huców była wiedźmą. Rzecz się tak miała.
Hubeniów „newistka”, Tatjana, od dawna zauważyła ubywanie mleka u krów. Wprawdzie paszy coraz mniej było, a noce w obórce nie poprawiają udoju, ale mleko nigdy nie może ginać bez przyczyny więdźmy.

Tak też zdecydował Czyruk, do którego Tatjana biegała po radę z kwartą wódki i „kosą” lnu w zanadru; tak jednogłośnie mówiły sąsiadki, u których nie lepiej się działo.

Wedle Czyruka chwymano się środków różnych: postawiono we drzwiach obory bronę zębami na zewnątrz, żeby się wiedźma pokłuła, dano krowom do zjedzenia jakieś zioła, zmywano je wodą, w której zgaszono dziewięć rozżarzonych węgla, nawet kazano Mokreni jeździć konno na kiju wkoło obór.

Wreszcie chodziło o poznanie, która z bab jest wiedźmą.

Udało się to uczynić Sydorowi.

Pewnego wieczora siedział on za stołem, oczekując na wieczerzę i na synów i na synowca, którzy się gdzieś po robotach rozeszli.

Było już ciemno, tylko z pieca ogień świecił. Tatjana wróciła od udoju, skopek z mlekiem postawiła na stole, a sama odwróciła się do garnków.

Wtem z sieni wśliznął się do izby kotek bury, chudy, mały, noszący na sobie ślady dziecinnych i psich swawoli.

Sierść miał nastroszoną, a wygląd załękły. Nie lada głód przypędził go do tej obcej chaty.

Cichutko wskoczył na ławkę, stamtąd na stół, zwęszył przysmak, wspiał się i, nie widząc nieruchomego w cieniu Sydora, począł chciwie chleptać mleko.

Sydor ręce powoli wyciągnął i nagle je spuścił na młodego szkodnika.

Kot zduszony wydał jeden jęk, a potem tylko się wił i miotał rozpacznie.

Chłop, nic nie mówiąc, wstał i podszedł do komina.

-- Ustąp, Tatjano! -- rzekł -- zaraz ja tobie sztukę pokażę.

Kobieta patrzyła zdziwiona.

Sydor garnek usunął i przytknął kota do ognia.

Rozległ się wrzask straszliwy męczzonego zwierzęcia, rozszedł siei dym i swąd osmalonej sierści i skóry.

Niedbały na własny ból ręki stary z uśmiechem szatańskiego zadowolenia przypiekał żywcem nieszczęsne kocię, aż jego głowa, piersi i łapy stały się jedną czarną blizną.

Wtedy odsunął się od ognia i puścił swą ofiarę. Kot, nieprzytomny z bólu, oślepy, uderzył się o ścianę i drzwi, nim wreszcie wpadł do sieni i w ciemnościach nocy zniknął.

-- Co to? Na co to wy zrobili? -- pytała Tatjana i reszta rodziny, która podczas tej operacji zebrała się w izbie.

-- Jutro poznamy, która wiedźma do nas chodzi. Już ja ją dobrze naznaczył.

-- To ona była?

-- A któż? One się zawsze w koty, albo w żaby zamieniają. Już ja to nie raz, nie dwa spenetrował.

-- Mohe? -- dziwili się wszyscy.

-- Ale, tak! Kiedyś, pamiętam: „nieboszczyca” moja żyła, tak samo mleko zginęło. Przychodzę ja raz do świronka z „gaznicą” po nocy, aż patrzę, koło garnka z mlekiem siedzi ropucha -- ot taka!

-- Jesteś -- myślę sobie -- jaż tobie znak zrobię! Złapałem bestię, wziąłem igłę groszową, wsadziłem jej w łapę, taj puściłem wolno. Na drugi dzień idę ulicą, spotykam starą Ryżczychę z obwiniętą ręką. „Gdzie, babo?” -- „Do Czyruka?” -- „Co to?” -- „At, igłę sobie w rękę załamałam!” Od tej pory wiedziałem, kto ona, ale już do mnie nie przyszła! Tak ci i teraz będzie.

-- Ja bym inaczej sądził! -- rzekł Zacharko. -- Taką złapawszy ropuchę, zabić, taj koniec.

-- Głupis! To ona tobie w tę babę się zamieni i trupa u ciebie znajda! Oho, to trzeba ostrożnie.

Zasnęli wszyscy w wielkiej ciekawości, co jutro pokaże. I oto zobaczono nazajutrz Prytulankę, jak szła do dworu, chustką otulona.

Twarz jej róża spaliła, róża złośliwa, zaogniona złym leczeniem w wyrzuty i pęcherze, istotnie jakby płomieniem osmalona. Powstało straszne wzburzenie, gawędy, komentarze,

plotki, które wnet objęły całą wieś z końca w koniec, rosnąc do bajecznych rozmiarów.

Ktoś opowiadał, że widział Prytulankę o świcie na „Jana” nagą i z włosami rozpuszczonymi, obiegającą wieś trzy razy. Inny widział ją na łące z rzeszotem, jak objęła na przemian to mannę, to rosę, powtarzając: „to mnie”, ilekroć ukruszyła manny, „to tobie”, ilekroć strąciła rosę.

Ktoś trzeci przysięgał, że zastał ją kiedyś w chlewie Huców, jak udoiła skopek mleka z zawieszanej u belki uzdy. Wreszcie ktoś czwarty widział, że czyniła toż samo, pociągając frędzle ręcznika.

Teraz jasnym się stało: skąd szedł dostatek i obfitość u Huców i dlaczego szanowano Prytulankę u nich? Ściągała bo im tak wszystko -- sztukami. Tak, a nie inaczej. Że Huce nie pili, nie kradli, nie próżnowali, że jeden pracował dla wszystkich, a wszyscy dla jednego, zgodni, skrzętni, stateczni: to głupstwo -- bez owego rzeszota i zagadkowych wyrazów; że krowy, na dworskich pastwiskach syte, jeszcze wieczorem cały rok karmiono obierzynami, trawą, lub brahą w zimie -- to głupstwo bez owej uzdy i ręcznika; że ta stara, cicha kobieta na oczach wszystkich zbyła żywot mrówczy i nieskazitelny, nie rzekłszy nikomu złego słowa nawet wtedy, gdy ją wyzyskiwano całe lato, a precz wyrzucano z chaty na zimę -- to nic: wiedźmą została i wiedźmą umrze, otoczona nienawiścią, wzdardą i zabobonnym strachem.

Doszły wreszcie te słuchy, to posądzenie do samej Prytulanki. Rzuciła jej to brutalnie w twarz kobieta jakaś, którą przyłapała w ogrodzie na kradzieży kapusty.

Prytulanka zapłakała gorzko, żałośnie i opowiedziała rzecz całą swym gospodarzom.

-- Ja już to słyszał we wsi! -- rzekł stary Kornilo.

-- I ja! -- dodał Matwiej.

Zresztą wszyscy milczeli i nie patrzyli na nią.

Prytulankę to milczenie jej towarzyszek i Karpiny zabolalo, jako wiara w pogłoskę. Popatrzyła po nich jakby czekając słowa, a wreszcie poczęły jej się trząść ręce, drzeć usta, zabiegać łzami coraz nowymi oczy. I tak płakała, podczas gdy wszyscy jedli, coraz to po nich spoglądając, a za matką rozplakała się Ołenia. I tak raz pierwszy siedziały wśród tej rodziny, z nagłą opuszczonymi się czując, wzdardzonymi, samotnymi.

Po wieczery rozeszli się wszyscy do zwykłych zajęć.

Machinalnie Prytulanka wzięła sierp, a Ołenia płachtę; poszły na rzepak dworski po zielsko.

Płakały, nic do siebie nie mówiąc, ale tak się znały, że bez słów powzięły jedno postanowienie.

Już wracały obładowane, gdy stara rzekła:

-- Dużo ty, doniu, masz kwitów do kasy!

-- Dużo, maty!

-- To ty je oddaj zaraz Karpinie i poproś, żeby jutro przy rozplacie je podał.

-- Dobrze, maty.

-- Bo nam, doniu, trzeba będzie stąd iść!

-- Oj, maty! -- jęknęła dziewczyna.

-- Trzeba, doniu. Ty słyszała, że mnie wiedźmą zrobili, a oni milczą, bo im wstyd przeze mnie.

Znaczy, ja kamienia warta, a nie chleba! A może oni i wierzą, co ja taka? Cała wieś wierzy! To mnie jednakowo. Hańbę ja miałam od młodości, głód ja miałam, chłód miałam, naga byłam, sina byłam! Mnie już mało trwać! Ale tobie, doniu, nie jednakowo, tobie nie być wiedźmy córką: to tobie zakała, taj wstyd, ciebie nikt tutaj nie weźmie za taką matkę.

To ja ciebie zabiorę i daleko poprowadzę. Staniem gdzie na służbę: gładkaś, letnia, weźmie cię kto za twoją robotność; a ja tymczasem umrę, taj słuch ten zginie, kto ja, jak ja, skąd ja, a ty się czysta ostaniesz. Trzeba nam iść, doniu, zaraz, póki ciepło.

-- A kiedyż, maty?

-- A ot, dzisiejszej nocy. -- Weźmiemy „łatoszki” najstarsze -- trzewików nie rusz -- trochę chleba i pójdziemy! Ino nie waż się nikomu nic rzec, pamiętaj!

- Nie powiem, maty! -- łkając, odszepnęła Ołenia, a po chwili spytała:
-- Maty, to i paciorki trza im porzucić?
-- A któż ci je dał?
-- Karpina onegdaj.
-- To zdejmij, taj zostaw na stole!
-- Dobrze, maty!

Płacz rozrywał jej piersi, ale nie pojmowała nieposłuszeństwa, wychowana wśród Huców. Prytulanka już się opanowała. Nie czuła w swym sercu żadnego żalu do Huców, ani do ludzi, co ją obgadali; zniosłaby wszystko, gdyby nie córka.

Tyle lat nędzna była, bita, bez dachu i chleba, że ją nie przestraszało to jutro i włóczęga. Szkoda jej było tylko krów, wieprzy, cieląt, tego dobytku, który pohodowała, i szkoda znajomego dworu i dobrej pani!

Wróciły do zagrody i jakby nic spełniały codzienne obowiązki.

Wreszcie noc nadeszła i sen wszystkich utulił. Prytulanka ubrała siebie i córkę w najgorszą odzież, ukroiła z bochna dwie skiby chleba, fartuchem opięła głowę i wyszła.

-- Maty -- szepnęła drżąca Ołenia -- poczekajcie mnie przy wrotach: paciorki odniosę.

Wróciła znowu do chaty. W progu, dziewczyna zawahała się chwilę z paciorkami w rękę, wreszcie przystąpiła do Karpiny i trąciła go w ramię.

Przywykły do wart różnych, przecknął się natychmiast.

-- Kto tam? -- zawołał.

-- Cyt, cyt, to ja! -- szeptała dziewczyna, ręką zatulając mu usta i, pochylając się do jego ucha, poczęła szeptać prędko: -- Ja tobie paciorki odniosła. Już drugiej daj teraz! Bacz, i ja dla ciebie chciała nożyk na jarmarku kupić, zebrała dwa złote, i to weź, i sam sobie kup! Taj zdrów bądź i szczęśliwy, mój sokoliku jasny! Dobry ty był, ale doła zła!

Karpina, zrazu rozespany i mało przytomny, na ławie siadł.

-- Co ty pleciesz? Duru się objadłaś, czy jaki diabeł? -- rzekł, nic jeszcze nie rozumiejąc. -- Trzymaj swoje paciorki! Nie odbieram przecie. Przystąpiło co do ciebie? Idź spać!

Dziewczyna położyła na kolanach jego swój dar.

-- Pójdę już, pójdę! -- szepnęła, łkając. -- Oczy moje ciebie nie zobaczą, tylko zapłacę po tobie nie raz, nie dwa, bo dobry ty był aż dotąd! Ostańcie zdrowi!

Zawróciła się, skrzypnęły drzwi jedne, potem drugie. Parobek siedział wciąż jeszcze, ze snem i zmęczeniem walcząc. Wreszcie, gdy i wrota na ulicę skrzypnęły, coś go poderwało z miejsca. Wstał -- rozsypały mu się z kolan pieniądze i szklane czerwone perelki, a na ten brzęk zbudził się i Kornilo.

-- Kto tam! -- spytał.

-- To ja, bat'ku.

-- Czego łazisz?

-- Czy ja wiem? Śniło się źle, czy naprawdę.

Mrucząc, zapalił lampkę, wyszedł do sieni, gdzie za przepierzeniem mieszkała Prytulanka. Nikt tam nie spał teraz. Wrócił do izby. Rozbudzili się wszyscy.

-- Czego łazisz? -- pytano zewsząd.

-- Boh me, coś się stało! Nie ma ciotki!

-- Jak to nie ma? A Ołenia?

-- I jej nie ma.

-- Nie może być!

Porwali się wszyscy. Zaczęto wołać i szukać. Pobiegł Karpina aż w koniec wsi, ale wrócił, bo noc jak piekło była czarna.

Zaświecili ogień i sen ich nie brał. Wzięto parobczaka na spytki.

-- Tak i tak! -- opowiadał, blady i jękając się:

-- Wieczorem Ołenia mi kwity swoje oddała, taj prosiła, żebym za nią jutro do kasy poszedł.

Tak często bywało. Aż tu budzi mnie wśród nocy, taj -- Zaciął się i krwią nagle oblał -- taj paciorki mi oddała!

-- To ty jej paciorki dawał? -- spytał ojciec.

-- Ale! -- nieśmiało się chłopiec przyznał.

-- Czuj, ty błaznie! To ty może jej jaką krzywdę uczynił? Gadaj zaraz! To tego może one uciekły?

-- Boże dopomóż -- nie! Złego słowa nie dał.

-- Nu, to za coś jej gościńce kupował?

-- Ja ją bardzo mocno lubił, już dawno! Ja ją chciał brać! Ona się mnie nia bała. One od języków ludzkich uciekły. Wiedźmą zrobili ciotkę; dojadali co krok!

-- Może to być -- zamruczał Kornilo -- ale że my się za nią nie ujeli, nie obronili, że od nas poszła, to nam wstyd i hańba.

Kobiety podniosły lament, mężczyźni siedzieli, ponuro milcząc. Czuli swą winę.

Aż wtem Karpina nagle zajęczał, jakby przez grubą skórę chłopską dopiero teraz ból go doszedł.

-- Oj, ciemna moja godzina! Ta dziewczyna była mnie jak słońko! Kędy się ja obróczę, gdzie ja się podzieję! Pójdę i ja jej szukać skroś świata!

-- Milcz, błaznie! Było gadać wczoraj, jak one płakały z żalu!

Teraz roboty patrz i chaty!

Tak ich ranek zastał, rozstrojonych i błędnych. Rozpełzli się, szukając śladów, ale nikt zbiegów nie spotkał.

Musiały już być daleko i trudno było je wytropić. Marne to, ciche, szare. Zaszyje się gdzie w zapadły kąt kraju, stanie na służbę na folwarku, zwijać się będzie, starać, pracować.

Nikt ich nie spyta o dzieje i paszport. Tak się w oddali ślady ich rozplyną, jak ślad kamienia w fali.

W Hrywdzie gadano o nich dni kilka, potem wspomniano tylko u Huców. Wspomniały kobiety, poczuwszy nadmiar pracy, i stary Kornilo, gdy robotnika rachował. Karpina milczał; stał się tylko opryskliwym i często wieczorami gdzie się wałęsał.

-- Szuka sobie dziewczyny! -- mówili bracia. -- Aż raz zastał go ojciec w karczmie pijanym do nieprzytomności i obył. Chłopiec do nóg padł w pokorze, ale w kilka dni potem znowu się upił.

Zaczęły się tedy periodyczne ojcowskie egzekucje u Huców. Karpina ogłupiał, osowiał, często zhułany zasypiał nad robotą. Stał nad pochyłością, po której człowiek się stacza do upodlenia.

Nie znajdując rady, poszedł stary do pana.

-- Nie ma chłopca, nie ma! -- powtarzał, opowiedziawszy rzecz całą. -- Łajdak się zrobił, pijak, hultaj! Niech go pan ze służby wypisze, bo ja bił, bił, ano prędko zabiję, a on co dzień gorszy!

Pan sprawę wziął do serca, bo lubił bardzo chłopaka.

-- Dajcie-no mi go tutaj wieczorem na rozprawę! -- rzekł.

Przyszedeł Karpina tak zalękły, że się trząsał cały i od razu rymnął panu do nóg.

-- Cóż, źle z tobą?

-- Niech pan bije, bo ja szelma! -- przyznał się. -- A potem niech mnie pan wypędzi, bo ja do niczego! Pójdę sobie.

-- Nie pójdziesz, ale dasz mi słowo, że wódki do ust nie weźmiesz przez miesiąc.

-- Nie zdzierzę, panie.

-- Zdzierzysz, bo ja ci za miesiąc odszukam twoją dziewczynę i tę starą! No, przysięgaj! Palce na krzyż złóż!

Złożył je i przysięgał uroczyście.

-- No, chłopcze! Uszy do góry! Dziewczyna będzie, wesele będzie okrutne, krowa będzie!

Tylko ty się trzymaj! Pamiętaj, że ja ciebie za przyjaciela mam!

Tego wieczora młodzież się zeszała do Huców, jak zwykle bywało co roku „na muzykę”; domowe kobiety jednak nie ruszyły się z miejsc.

-- Nic z waszej ochoty -- rzekły -- nie będzie wam nasz parobek grał. Już my i zapomnieli, kiedy w chacie wieczerzał.

A wtem w sieniach rozległ się wesoły głos, śpiewając:

Oj znany, znany, kto lubi polkę,
Wydeptał ścieżynę -- da przez fasolkę.

Karpina wszedł, otrząsł się z deszczu, czuprynę jasną odrzucił.

-- Oj! Ile was tutaj, jak gęsi! Do skrzypek to moich w gościnę. Rade skrzypce gościom.

Siermięgę mokrą zrzucił, zapyłone skrzypce z ściany zdjął, na rogu stołu siadł i, zmrużywszy oczy, metelęcę zagrał.

Tego wieczora miał ochotę nawet tańczyć stary Kornilo.

I odtąd nie widział nikt Karpiny w karczmie, a w chacie Huców dawna zgoda wróciła. Dotrzymał chłopiec panu przysięgi, dotrzymał mu i pan.

Pieniądzy nie żałował, starań nie żałował, ale odkrył mu Prytulankę czysty przypadek. Coś w parę tygodni zawołał Kornilę z synem do kancelarii.

-- No, Karpina, mam twoją dziewczynę! -- wesoło oznajmił.

-- Nie może być! -- wykrzyknęli obydwaj.

-- A tak! Przyznam się, że bez wielkiego trudu. Służy Ołenia z matką u mojej ciotki, stąd o mil dwadzieścia.

-- Ot, szelmy daleko zadreptały! -- zaśmiał się stary Huc.

-- Inaczej jak wypadkiem trudno ich było wyszukać, bo nawet w gminie nie znalazłem ich nazwiska. Jestem u ciotki, wychodzę na folwark. Kogo widzę? Ołenię karmiącą kury. Co ty tu robisz? -- pytam, a ona mi buch do nóg i w płacz! Nic-em jej nie rzekł; uprosiłem ciotki, żeby ich tam pilnowali, i prędko do domu wróciłem. Weźcie jutro parę koni i w skok po nie jedźcie!

-- Może dziś na noc? -- szepnął Karpina.

-- Jak sobie chcesz i jak ci ojciec poradzi. Ja ci słowa dotrzymałem: wódkę dam, krowę sobie wybierzesz, a mnie na wesele proś!

Pochylili się mu do kolan, a on ich obu za głowę objął i pocałował.

Karpina związał się jak w ukropie.

Wózek nasmarował i derką przykrył, wór obroku wpakował, a furmana się o drogę do pańskiej ciotki rozpytał, ojcu wytchnąć nie dał, tak go napędzał.

Matwiej ojca miejsce tymczasem objął i pęk kluczy od stodół i odryn dostał, wraz z tysiącem poleceń. Kobiety włożyły do wozu jedzenie i kożuchy dla zbiegów i, pożegnani błogosławieństwem całej rodziny, wyjechali ojciec z synem w daleką drogę. Ubrani byli odświętnie, weseli, pogoda im służyła, parskwały ochotnie Karpiny kasztany. Na czwarty dzień pod wieczór stanęli u celu.

Zatrzymali się przy bramie, postawili konie przy wozie i spytali parobków o kuchnię czeladną.

Wprowadzono ich do oficyn, do wielkiej izby, gdzie panowała Prytulanka.

Właśnie stała u komina, garnków z wieczerzą doglądając, a Ołenia opodał myła miski. Parobcy siedzieli za stołem i gwar panował, jak w ulu.

Olbrzymia, poważna postać Kornili Huca stanęła w progu, a zza niego wychylała się twarz Karpiny uśmiechnięta, uradowana.

-- Pochwalony Jezus! -- pozdrowił stary.

Na ten głos miska wypadła z rąk Ołeni, a Prytulanka rozłożyła ramiona i patrzyła na swego dobrodzieja -- oniemiała.

-- Na wieki! -- odpowiedzieli parobcy, a któryś dodał: -- Wejdźcie, cudze ludzie; prosim do ognia i do strawy.

Huce weszli. Kobiety stały jak martwe. Stary ich nie zaczepiał, ani wymawiał, ani prosił, przy tyłu ludziach; Karpina, za ojcem, nie odzywał się także.

Zrobiono im miejsce na ławie, zaczęto rozmawiać.

-- Skąd dobre ludzie?

-- Z Hrywdy!

Nazwy takiej nie słyszeli!

-- A daleko?

-- Ot, do waszego dworu. Nasz pan tutaj był niedawno, bo oni z waszą panią swojaki.

-- Aha! A jakże tam u was? Dobre zbiory?

-- Niczego, tylko omlót nietęgi.

-- Tak i u nas! A posieli już tam ludzie?

-- W tych dniach skończą.

-- Dobrą porę na siew dał Bóg! A to wasz chłopiec?

-- Mój, jeszcze takich trzech jest; ten najmniejszy.

-- To wy do pani?

-- Nie, za swoją sprawą.

Karpina tymczasem wciąż na Ołenię zerkał i uśmiechał się.

Dziewczynie leciało wszystko z rąk.

-- Gospodyni Tekla, dawajcie wieszczę! -- dopominali się parobcy.

Korniło dopiero teraz się dowiedział, że Prytulanka jego miała jakieś inne imię.

Baba była jakby nieprzytomna. Coś ciągnęło do Huców witać, pytać, płakać, a jakiś niewytłumaczony lęk, czy srom, wstrzymywał.

Zawołała dziewczynę do sieni.

-- Czego oni przyjechali, doniu?

-- Po nas, maty.

-- Nie wiem! Nic nie mówią. Może tak sobie, przypadkiem!

-- Oj, maty, po nas! -- upierała się dziewczyna, a głos jej się śmiał i płakał i śpiewał.

-- Gospodyn! Cóż u diabła? Nie dacie jeść? -- krzyczano z izby.

Skoczyła Prytulanka do komina, poczęła jadło łać w misy; Olenia stawiała je na długim stole. Zaczęto pożywać łąpczywie, zapomniano o podróźnych.

Stary Huc kobiałkę z pleców zdjął, dobył chleba, kielbasy i sera.

-- Jedz! -- rzekł do syna.

Ale Karpina zwlekał. Patrzył na Ołenię, jakby czekając na co.

Ona swoją część z garnka ułała na polewaną misę, z swego bochenka ukroiła dwa zrazy chleba i, trzymając dwie łyżki w ręku, stała zasromana, zalękła, nie mogąc się zebrać na odwagę jedzenia, czy podania.

Aż trafili na siebie oczami. Dziewczyna porwała misę, postawiła ją na ławie między ojcem i synem i, nic nie mówiąc, podała chleb i łyżki.

-- Dziękujemy! Chleb swój mamy! -- rzekł Korniło, biorąc się do jedzenia.

-- Weźcie mego! -- prosiła jak o łaskę.

Karpina wziął, ze swego kawał jej podał.

-- To ty mój weź! -- odparł.

Olenia przyjęła tę zmianę. Chleb był jednaki, czarny, suchy. Wróciła z nim do matki i rozłamała na połowę.

-- Na, maty -- szepnęła -- to Huców chleb!

Prytulanki oczy zaświeciły łzami.

-- Oj daj, doniu daj!

Usiadły obok siebie za piecem i jadły, milcząc. Odłamywały od skibki małe cząstki, zbierały

skrzętnie okruszyny, a od czasu do czasu na chleb ten kochany padała łąza.

Tyle lat on ich karmił, tyle lat go stara piekla; wyhodował dziewczynę jak łanię, zdrowo chował kobietę bezdomną.

Teraz odnalazły ten smak znajomy i w myśli odnajdywały zagony, co go rodziły, dziezę, co go miesiła, piec, chatę -- wszystko.

On ci ich własny był, ich rodzony.

-- Maty -- szepnęła Ołenia -- on od tutejszego smaczniejszy i od pieroga smaczniejszy.

-- Wielkie dziwo! -- trzęsąc głową, odparła stara. -- Toć to Huców, nasz!

A potem dodała:

-- Nie wiem, kto teraz dzieży pilnuje; „musić” Maria.

-- Pewnie Maria! -- potwierdziła Ołenia.

Zjedli parobcy, skończyli jeść Huce. Czeladna się powoli opróżniała.

Podróżni poprosili miejscowych, aby ich do pani zaprowadzono i wyszli.

Wielka izba wyglądała ponuro przy oświetleniu małej lampki bez kominka. Kobiety pozostały same i sprzątały, coraz to na drzwi spoglądając. A wtem otwarły się one z łoskotem i, poprzedzając ojca, wpadł Karpina.

-- Zbierajcie się, baby, wołokity! A hyla do domu! -- zawołał wesoło.

-- Cyt! -- upominał go Kornilo i do Prytulanki się zwrócił. -- Kiedy wam moja chata była niemila, trza było rzec, taj po dniu rzucać, a nie wśród nocy, jak złodzieje. Siłą my was nie trzymali i nie myśleli się rozstawać!

-- Nie łaj, kumie! -- zawołała Prytulanka, w rękę go całując. -- Wiedźmą mnie zrobili: nie chciałam wam wstydu robić.

-- Wstydu! -- oburzył się stary. -- Za durnia mnie mas żebym ja się na głupców oglądał!

Szedł ja całe życie przeciw wsi i tak dzieci nauczyłem! A ty, słuchasz gawęd i plotek, toś głupia baba!

-- Głupia, kumie!

-- Tak jest. Uciekałaś, diabeł wie, czego. Narobiło się kłopotu w chacie, chryi, lamentu. Kartofle we dworze bez was wybrali dc połowy, a teraz ja, stary, włóczyć się muszę na kraj świata za wami, taj zapędzać was, jak owce błędne, do domu. Nie, babski rozui wart niucha tabaki!

-- To zabierzecie nas znowu? Na zimę?

-- Zdurzyła się ciotka całkiem! -- zawołał Karpina. -- gnałem swoje konie tyle mil -- czego? Żeby na was popatrzeć, taji samym wrócić?

Prytulanka popchnęła Ołenię.

-- Co stoisz jak cielę? Pocałujże w nogę dziadka!

-- Pokłoń się, Ołenia, pokłoń na dobry początek! -- zaśmiał się Karpina.

-- Wkrótce będziesz wszystkim się kłaniała! Nu, dobrze, pójdź ja konie zakładać, a wy się zbierajcie! Miesiąc „samo” wschodzi.

-- Tak, zaraz! Mój Boże! Może pani nie puści.

-- Był ja u pani z listem od naszego pana -- uspokoił Kornilo.

Wóz zajechał przede drzwi. Na turkot zjawilo się kilku parobków.

-- Co to? Gospodynię nam zabieracie? Zostawcie choć dziewczynę! -- zawołał któryś.

-- Ale, zaraz! -- oburzył się Karpina. -- Hodował ja ją sobie, a nie komu!

-- A, szkoda! Dobra baba była i dziewczucha sprawna.

-- Po złą by tyle mil koni nie gnali.

Wybór był żaden. W tych swoich „łatoszykach” i bosc wyszły kobiety, żegnając wszystkich. Gapiów zebrało się sporo, patrząc na ten odjazd.

-- Drogie, snadź, baby! -- mówiono, patrząc, że im dawano kozuchy, sadowiono je wygodnie.

Nareszcie wóz ruszył i księżyc wszedł wyżej, by podróżnym przyświecać.

Wyjechali na drogę. Prytulance wrócił rezon i ogromnie ciekawa rozpytywała się o sprawy chatnie. Zagadali się tedy ze starym bez końca.

A tymczasem Karpina w zanadrze sięgnął i Ołeni coś za świtę wetknął.

-- Moje paciorki! -- szepnęła.

-- Zaraz włóż i naciesz się krzynę nimi. Za mały czas trzeba ci je będzie całkiem zrzucić!

-- Mój sokoliku!

-- Ty szelmo! „Sokoliku” mówisz, a uciekać toś gotowa! Poczekaj: przywiążę ja ciebie teraz na wieki -- burczał, a bokiem na nią spoglądał i uśmiechał się pocziwie.

Miesiąc się im przyglądał, to z boku, to w oczy. Rzadko widywał, by z tak daleka ktoś zwoził sobie dwie baby do chaty na zimę i przednówek.

Wrzesień

Czternastego września oczekiwano w Hrywdzie od roku do roku. Termin to był uroczysty: „Czesnejko” -- jarmark jedyny w miasteczku. Już na tydzień przedtem ciągnęły przez wieś wozy ładowne z dalekich stron z towarami. Więc jechali kołodzieje i bednarze, kupcy z kozuchami i obrazami, wieźli ludziska wszystko, czego wieś potrzebuje na zimę.

W przeddzień już i żywy towar spędzono: konie, krowy, woły, a chłopci hrywdańscy prorokowali świetny jarmark.

Oni nie produkowali nic, oprócz rolnych płodów, ale przecie każdy coś kupić potrzebował. Na kupno to przez cały rok zbierały kobiety to len, to wełnę, to cebulę, grzyby, jaja i kokoszę; gospodarze potrzebowali bron i sań, kozuchów i czapek: więc długie narady bywały po chatach: o bydłociu na sprzedaż, o zboża miarce, która może zbędzie. Przednówek był jeszcze daleki, a tymczasem nagliły różne potrzeby.

W przeddzień jarmarku zdarzały się też bójki, protesty hałaśliwe i płacze kobiece po krowie lub owieczce.

Bitwa w tym roku zaszła najkrwawsza u Hubeniów. Bito Kale--nika.

Pierwsze to były razy, które odebrał, on gospodarz chatni i rządcza dobytku przez tyle lat.

Bił go stryj, pijak i marnotrawca, bił Zacharko, hultaj zaniedbały, a potem dopomagał Kiryk i skubały nawet dzieci, jak szczenięta, zaprawiając się do życia i czynu.

On się nawet mało bronił, tak się przestraszył i zdziwił napaści.

Wypchnięto go z chaty, upadł w błoto na podwórzu, powstał, otarł twarz, poprawił świętę roztarganą i wrócił do chaty.

Po wieczerzy dopiero do Huców wstąpił i zboże kiedyś pożyczzone odniósł.

Nawet się nie poskarżył i dopiero zagadnięty przez Karpinę milczące swe usta rozwarł.

-- Ale, poswarzyli się! -- powoli opowiadał. -- „Penteinego” wołu chcą sprzedać. Ja gadam, że kiedy sprzedawać, to chyba „podręcznego”, bo i starszy, i „zazimisty”, a oni krzyczą: ty durny, co wiesz!! Tak ja powiadam: a któż wiedzieć będzie? Nie orał nim diad'ko u Sundela w karczmie, ani Zacharko w Nowozybkowie, ino ja na polu. Tak „stali” mnie łajać, taj bić! Ot jak!

-- Dałbym ja im, żeby zagabnęli! -- krzyknął Karpina zuchwale.

-- At! Ja człowiek spokojny, a zmordowany robotą, to się zlenił. A i nie spodziewał się! -- apatycznie odparł Kalenik.

Splunął i po chwili namysłu dodał:

-- Dureń ja, a taki oni większe durnie! Psie pieniądze wezmą za byka na jesieni. Kto jego dostanie, dopiero rozumny będzie!

-- Ty, Kalenik pilnuj się jednakże! -- wtrącił stary Huc. -- Źle jest, że ciebie bić poczynają; potem zupełnie wypędzą.

-- Oho! Z mojego gospodarstwa?

-- A cóż? Wołu już przeciw tobie sprzedają.

Parobek ręce w kudły zanurzył, które po całodziennej młócce pełne były ździebeł słomy i kurzu.

-- Wół co innego! -- zamruczał. -- Ziemi nie dam!

-- A słyszę, chce ciebie brać „wdowica” Syluków? -- spytał Matwiej.

-- Gadają, że u niej już żyjesz -- zaśmiał się Karpina.

-- Mutnia! Dwa dni młócił! Namawiała: nie zechciał.

-- Czemu? Połowa pola i dwoje małych dzieci.

-- To co? Nie chcę!

-- A ja bym ci życzył! -- burknął stary. -- Żenić się pora.

-- Albom to dziewczki nie wart? Ożenię się po swojej woli, a nie po babskiej!

Wyszedł.

Wdowa Syluków niedawno w żniwa została samą w chacie. Naprzeciw Hubeniów było jej gospodarstwo i ona ciągle na oczach Kalenika.

Wesoła była, zwinna, gadatliwa. Zaczepiała go co dzień, wabiła do siebie jawnie.

Sydor i Zacharko gwałtem go do niej wypychali.

Zawadzał im w chacie. Narzekała Tatjana na opieranie i oszywanie tyłu mężczyzn; chleba żałowano mu, do gospodarstwa starczyło rąk bez niego.

Działo to się nieznacznie i on nie postrzegał, jak w tej chacie schodził z pierwszego miejsca na ostatnie. Zacharko teraz rządził wołami i sochą, Kiryk klaczą, stary radził tylko z synami o sprawach domu i zagona, Tatjana zaniedbywała jego odzież i jedzenie.

Nie spostrzegł się, że zstąpił wreszcie do roli parobka. Od żniw szedł co dzień na zarobek do dworu, co niedzieli zarobione pieniądze odnosił stryjowi. Rachował, że zbiera na swoje wesele i, myślą tą opanowany, rad był, że mu dozwolono zarabiać na siebie.

Często zapomniano mu zanieść obiad na pole; jadł tylko chleb, pił wodę, ale i wtedy nie sarkał, ani głosu nie podnosił.

Było to zwierzę pociągowe bez żadnych fantazji i kaprysów.

I tak lodrywał się od chaty, a raczej odrywano go od niej, przygotowywano do zmian wielkich. On tego ani widział, ani rozumiał, ani czuł. Jego teraz zajmowała myśl żeniaczki, bo mu pora była, a odbyć to trzeba raz przecie. Pieniądzy wprowadzie szkoda; ale kłopot ten jak chorobę przejść trzeba, bo i ludzie się śmieją z nieżonatego i opranie nijak i przecie żonę chociaż wyłajac można za byle co, a i pastuszki do gęsi potrzebne. Sak wyrasta, trzeba dzieci znowu w chacie.

Gadano o jego żeniaczce, ale mu wciąż rajono „wdowicę”. Rajono, aż go wreszcie namówiono na próbę. Poszedł do młócki. Wdowa rada mu była, karmiła, poiła. Posiedział dzień, dwa, trzeciego wieczora do jedzenia się zabierał, gdy drzwi się otworzyły -- weszła Łucysia. Bardzo blada była i przerażona swym czynem.

-- Pochwalony! -- rzekła głucho.

-- Na wieki! -- odparła Sylukowa wesoło. -- A co wam trzeba? U mnie wszystkiego dostaniesz! Z ochotą dam, bo mi dobrze. Ot, gospodarza znowu mam, taj lepszego niż pierwszy!

Mówiła to bez złej myśli urażenia dziewczyny, ot, byle się pochwalić.

-- Czują ja! Słyszała -- odparła Łucysia. -- Ot, bieliznę wam jego odnoszę, co u mnie w praniu była.

Położyła zwitek na ławce i odejść chciała. Sylukowa zatrzymała ją za ramię.

-- To ty prała? Poczekajże! Może darmo? Ja tobie za niego zapłacę!

-- Ni, zapłacił on mnie! -- rzekła Łucysia głucho i wyszła. Nazajutrz Kalenik był znowu we dworze na robocie -- i straciła wdowa swego gospodarza; nie straciła jednak nadziei. Ściagała go wszędzie, przybiegała do Hubeniów, do Huców, zaczepiała go na ulicy. On nie uciekał, ale i nie wracał do niej; nie żartował, ale i nie burczał. Tak trwał!

Noc była ciemna, gdy wyszedł do Huców. Zabielało coś u Syluków.

-- Kalenik!

-- A czego?

-- Pójdiesz na jarmark?

-- Pójdę.

-- Co masz piechotą iść? Jest u mnie kobyła.

-- To co?

-- Powieź mnie!

-- Nie wiem! -- odparł.

-- To chodź tymczasem! Jagły z mlekiem nagotowałam.

Parobek spojrział na ulicę błotnistą.

-- Spać chce się! -- apatycznie odparł.

-- Hultaju, tobie sen w głowie!

-- A cóż! Zmęczył się.

-- To z tobą tak? Nakarmcie mnie, napójdzie i popchnijcie mnie na słomę, to już i sam zasnę.

-- A cóż! -- potwierdził obojętnie.

Rozmawiali przez ulicę, nie widząc siebie.

-- Zachodził do mnie Czechów Andronik -- mówiła kobieta dalej ze śmiechem. -- Co ty powiesz na to?

-- Nie mój interes.

-- A może twój!

Splunął i odszedł. Naprzeciw skrzyżowały drzwi, kobieta weszła sama do chaty i słychać było, że złość spędzała na dzieci, bo wyły w niebogłosy.

Około północy wiatr się zerwał i począł na Hrywdę napędzać chmur szmaty. Wygryzał też liść po liściu osłony drzew, rozsiewał chwasty po polach, szarpał strzechy, szkodził, gdzie mógł.

Gdy ranek wszedł, nie było słońca i deszczyk mżył drobny. Pomimo to, kto żył, stroił się i wybierał w drogę.

Wozy ciągnęły sznurem, pełne ludzi i towaru; poza stodołami szli piesi.

Za wsią zabelala droga od świt i namitek, napelniła się gwarem tysiąca.

Kalenik dawniej jeździł. Jeszcze zeszłego roku wioził stryjną i stryja na wozie ładownym.

Teraz i na tym wozie nie stało mu miejsca: siadła Tatjana z Sydorem, Zacharko na przedzie; jemu kazano wołu prowadzić.

Posłyszawszy to, zaklął i poszedł.

Sam nie wiedział, po co dążył do miasteczka, ale tak obyczaj kazał. Miał dwa złote w kieszeni, więc szedł.

Napędził go Karpina z Ołenią. Złączyli się tedy i gawędzili o spotykanym bydle.

Huc ze swą dziewczyną szli po kozuchy. Już ich zapowiedzi wyszły, na podziw całej wsi.

Oprócz tych kozuchów nic im nie trzeba było na gospodarke.

-- Ta sama bodnia, ta sama dzieża! -- śmiał się Karpina. -- Nawet garnuszka nie kupimy! Ot, do komory ją od matki zabiorę, taj koniec! Tak i ty zrób! Bacz! Syluczycha jedzie!

-- Siadajcie! -- zawołała do nich wesoła kobieta.

-- Bierz większego! -- zaśmiał się Karpina. -- Ja już mozół mam na karku. Na nic tobie!

Ołenię pokazał, a Kalenika trącił.

-- Nie bądź głupi, siadaj! Co ty baby się boisz?

Kalenik oszołomiony leżce ujął i usiadł na przedzie. Ruszyli wśród innych. Klacz była siwa, gładka, żrebak przy niej półroczny. Kobieta wiozła grzyby, mannę i parę owiec na sprzedaż. Po dostatkach tych powiódł okiem chłop i westchnął. Tajało mu serce.

-- Będiesz co kupowała? -- spytał.

-- Ale, wołu trzeba. Doradź ty mnie!

-- Naszego kup. Ot, hen go Kiryk prowadzi. Tak ci radzę z dobrej duszy. Zbytki robią, że go sprzedają; ja wczoraj się poswarzył nawet o to.

-- Stary on?

-- Gdzie zaś! Ośm lat. Ja jego wyhodował! Taka skotyna dobra, że w siole lepszej nie ma. Z twoim łysym parzyste będą.

-- A może on ciebie tylko słucha?

-- O, i jak!

Mijali właśnie wołu. Parobek się przechylił.

-- Hnedko! -- zawołał.

Byk podniósł głowę: poznał głos i zamruczał. Zaśmiał się Kalenik, jak rzadko to czynił, ale wnet zmarkotniał i parę razy za tym bydlęciem-przyjacielem się obejrzał.

-- Jak ma iść z domu, lepiej do ciebie, niż Żydom na mięso! -- zamruczał.
-- I pewnie! -- potwierdziła wdowa. -- A jak nie chce parobka słuchać, to ty nim porzesz.
-- Takim orać to uciecha -- rzekł.

Spotykali więcej bydła, ale kobieta prawie nie patrzyła na nie.

Zaczepiali ich znajomi. Ona swoim woźnicą cwanila się, na grube żarty odpowiadając śmiało. Parobek w milczeniu fajkę kocił. Aż wtem u wstępu do miasteczka spostrzegł Łucysię.

Z daleka ją poznał, bo bieląla nowiutką świtą i chustczyną śnieżną. Po tej czystości znać ją było wszędy i po tej kosie złotej, jakiej drugiej na okolicę nikt nie miał.

Stały obie z matką, otoczone Żydówkami, które im z rąk prawie wyrywały dwa koguty pstre i kobiałkę jaj. W ulicy już tłok był, bo Żydzi opadali wozy, chcąc nie dopuścić chłopów z towarami do konkurencji na rynku.

Łucysia oczy swe modre przeprowadziła z Kalenika na wdowę i znowu na parobka. Wóz ją minął, a ona wciąż za nim patrzyła.

Opadli Żydzi i wdowę, ale Kalenik parł się naprzód, zaczepiając o natłoczone furmanki. Klęli go i on kłął, ale się nie zatrzymywał, bo Hrywda miała swoje miejsce na rynku, a on za nic by nie stanął wśród ludzi i fur z Kończyć, z Błot, z Zamoroczenia, wśród czarnych świt i kusych namitek „cudzych” ludzi.

Nareszcie do tłoczyli się do swoich. Opodał i Sydor z Zacharkiem trzymali byka. Zresztą plac był tak pełen, że tworzył chaos twarzy, łbów rogatych i nierogatych, chałatów żydowskich, zgiełku, wrzawy, łajania, śmiechu, szwargotu.

Kalenik klacz odprzągnął i do drabiny uwiązał, a sam gapił się o luśnię wsparty.

Rozmyślał: na co wydać owe dwa złote?

Wabiły go i czapki i buty i kozuchy i rzemienie. Niczego nie miał z tych dostatków.

Stał zbiedzony, w zrudziałej świcie i postołach, w kapeluszu czarnym od chatnego dymu; wstyd mu było nawet odejść od swoich.

-- A co chcecie za owce, gospodarzu? -- ktoś go z nagłą spytał. Obejrzał się. Chłop to był cudzy.

Sylukowa się roześmiała, a on odburknął:

-- Idź do czorta!

Splunął i uciekł, nawoływania kobiety nie słuchając. Teraz tłum go ogarnął i począł ze sobą nieść i popychać. Tak mimo woli znalazł się przed wystawą czapnika. Kiryk tam był, Tychon Czyruk, Klim Czech, postrojeni, z kaletkami na szyi, w których grosze brzęczały. Mierzyli, targowali, odchodzili po sto razy i znowu wracali.

Dziewczęta kręciły się opodał przy kramiku z chustami; baby obchodziły, szeroko radząc, wozy bednarzy i garncarzy; gospodarze chodzili od bron do kół kutych i nic.

Wśród, nich Żydzi i Żydówki, rozgorączkowni, zachrypnięci, obłoceni, spotniali.

I znowu Łucysia przewinęła się przed okiem Kalenika. Koguta już nie miała, natomiast garnek czarny i wianek cebuli w fartuchu. Tedy on się do niej zbliżył.

-- Dzień dobry!

-- Dobre zdrowie! -- odparła cicho.

-- Szmata dałaś za garnek?

-- Dziesiątkę.

-- To i wszystko?

-- Ale! Matka jeszcze poszła włóczki krasnej wziąć do pasów, taj kanchory i percu, bo coś niedomaga!

Nie patrzyła na niego, to mówiąc, i nie spytała o nic. Byłby wolał, żeby co rzekła; ale ona tak zawsze cicha była i nieskarżąca się nigdy!

-- Łucyś! -- rzekł, -- Chodź do kramu! Kupię tobie chustkę, a sobie szalik, taj pójdziemy razem do domu.

-- Nie chcę! Na co mi chustka?

-- Ot, za pranie ci zapłacę!
-- Nie płacił ty mnie do tej pory, to i teraz nie trzeba. Płać, kto łakomy na zapłatę.
Spojrzała na jego koszulę i dodała z pewną dumą:
-- W bielsze ja ciebie ubierałam. Ano, ja oprócz rąk nic nie mam, to muszę lepiej się starać!
-- Jak ty się odrzuciła, to i tak cierpię!
-- Ja się nie odrzuciła, ino komu służysz, ten niech ciebie patrzy! Szli tak, rozmawiając, i natknęli się na Karpinę z Ołenią.
-- A co? Nie wyrzuciłeś wdowy? -- zaśmiał się Huc.
-- Choroba na nią!
Szli we czworo. Dziewczęta naprzód, chłopcy za nimi.
-- Kiryk czapkę ukradł i odebrali. Widziałeś?
-- Nie! Nu, nabije go dziadek!
-- Czego? Stary nie lepszy.
-- Nabije, bo nie udało się!
-- Aha! A ty co kupił?
-- Nic. Nie ma za co!
-- Ot hultaj! Nie mogłeś to zarobić?
-- Zarobił, to dziadkowi oddaję!
-- Urodzi ci bocian żrebię, jeśli co zobaczysz. Chodź, wypijemy piwa! Od wódki ja się odklął!
A dziewczęta szeptały między sobą.
-- Za tobą, Łucysiu, czego on chodzi? -- pytała Ołenia. -- Toż do wdowy idzie!
-- Niechaj idzie, kiedy sądzono! A ty prędko idziesz za męża?
-- W pierwszą niedzielę po Bogosławie. Już i bodnia gotowa i ręczniki pokrojone.
-- Dobrze tobie!
-- Ale, dobrze. Ino się boję, że bardzo prędko. Bić będzie, bo i „pobożył się” (zaklął się), że ubije, jak na drugiego spojrzę.
-- To i lubi.
-- A ciebie Tychon już weźmie!
-- Czy ja wiem? Może mnie Kniazie wezmą!
I nagle łzy jej poczęły biec po twarzy i w bok się zwróciła i w tłumie przepadła.
-- Co jej? -- zagadnął zdziwiony Karpina.
-- Czy ja wiem? -- zawołała Ołenia. -- Żurba ją jakaś dręczy! Stali na progu karczmy, więc weszli. Docisnęli się do stołu.
Karpina kazał podać piwa. Izba była pełna pijanych i tak dymna i ciasna, że na nich nikt uwagi nie zwrócił.
Wypili. Karpina zafundował bułek, zapalił z fantazją gotowego papierosa.
Człek jakiś z waszecia go zaczepił.
-- Ty, chłopcze, dworak?
-- Czemu?
-- Ot, taki czysty i ostrzyżony!
-- Nu, dworak.
-- A może ci służby trzeba? Ja ekonom z Kończyć.
-- Ja dworak, ale ja służby nigdy nie szukał. Ja Huc z Hrywdy. Zrodził się na pańskim polu, taj na nim umrę.
-- Huc z Hrywdy! No, to ja o was słyszał. Darujcie. Nie dostanę was, choćbym chciał. Was Łaszkami drażnią.
-- Ale ja -- Karpina Łaszek -- u durniów, a u pana mego ja przyjaciół, taj dziecko.
-- Wypijcież ze mną piwa na znajomość!
Ekonom postawił drugi garniec. Zepchnięto dwóch pijanych pod ławkę i usiedli nowi

znajomi.

Kalenik dogryzał bułkę i po tłumie się obzierał. Wtem z alkierza żydowskiego wypadła dziewczyna, za nią zgraja Żydów i Żydówek.

-- Ty sielma, złodziejka! -- wyła tłuszcza.

Dopadnięto dziewczynę u progu, poczęto ją skubać, szarpać, bić i lżyć.

Kalenik poznał swą siostrę Hannę.

-- Do policji, do turmy ją! -- krzyczano.

Obojętny parobek patrzył. W strzępach krasnej spódnicy, w podartej koszuli, bez chustki, bosa, roztargana, czerwona, dziewczyna miotała się jak furia, zasłaniając piersi, gdzie za koszulą coś ukryła widocznie.

Biła, gryzła, kopała nogami, wrzeszcząc przekleństwa, to płacząc z bólu. Nareszcie ciekawość przemogła. Kalenik się ruszył. Poznawszy go, Hanna rzuciła się w tę stronę.

-- Kalenik, hołubku, sokoliku! Ratuj!

Ale on ją za ręce porwał, rozkrzyżował, i dobył zza koszuli chustkę czerwoną, bawełnianą, nienową nawet. Jej-to tak broniła, jak wilczyca.

-- Ty ścierko! -- mruknął; ale wtem syknął z bólu, bo dziewczyna rozwścieczona ugryzła go w ramię, pchnęła i uciekła na plac, a za nią poleciały z rąk bachorów garście błota, skorupy, śmiecie.

Chłop chustkę Żydom cisnął i, zawstydzony śmiechem ludzi, widzów, wyszedł, głowę wcisnąwszy w ramiona.

Znowu go tłum pchał tu i tam -- do kozuchów, do świt, do butów; dostawał hołoblami w plecy, łokciami w boki, wpadał na innych gapiów, grzął w rozmiesionym jak ciasto błocie.

Rynek był mrowiskiem, które zionęło z siebie kłatwy i swąd zmieszany dziegciu, wilgoci, dymu i nawozu. A przeważały w tym mrowiu barwy siwe i białe, gdzieniegdzie krasnym punktem upstrzone, i sterczały ponad tłum dachy zapadłe kramów, drzewa, bóżnica żydowska, a niebo siało z góry deszczyk drobny jak mgła.

Przed kramem z drobiazgami stanął Kalenik. Myślał długo, przetrząsał to i owo, pytał o cenę, odchodził i wracał; wreszcie kupił cztery obwarzanki i tytoniu tylko paczkę, dostał w dodatku paczkę zapalek za grosz i, zapłaciwszy należność, odszedł. Stracił chęć do wszystkiego, bo sobie nagle wołu przypomniał.

Zaczął się więc przepychać do Hrywdy.

Wół był na miejscu u wozu. Kilku Żydów targowało go, dotykało ze wszech stron.

Jeden ciągnął go za ogon, drugi po raz setny w zęby zaglądał, a wszyscy ganili na wyścigi.

Sydor, stary ćwik, nie odzywał się ani słowem. Wyczerpawszy swe środki, Żydzi przypuszczali szturm.

-- Ile?

-- Sorok! -- lakonicznie mówił Sydor.

-- Czego sorok? Złotych?

-- Rubli!

-- Nu! To u niego złoto w brzuchu! On „kłyszawy”, on sto lat ma, on „tref. Dam 25. Chcesz? Bierz! I wyciągała się obrośnięta, chuda łapa. Ale chłop swojej nie podawał.

-- Nu, i kwartę „baryszu”.

-- Sorok i garniec baryszu!

Żydzi przyskakiwali i odskakiwali, odchodzili i wracali, pluli niby z pogardą, pokazywali pieniądze.

I słychać było wśród targu przyjacielskie odezwy:

-- Ny, ty świnia muzyk!

-- Ty parszywy niechrzczeniec!

Zacharko z Tatjaną opodał przebierali ceberki i dzieże u bednarza; w wozie już były garnki i dwa żelaza do sochy.

Kalenik słuchał, zachwycony targiem, gdy go ktoś wołać począł.

Obejrzał się: Sylukowa go spostrzegła.

Wrócił tedy na swe pierwsze stanowisko. Sprzedała owce, kupiła kozuch, chustkę ciepłą, niecki, ale tymczasem podczas gdy chodziła,; znikł z wozu worek z obrokiem. Biadała okropnie.

-- Tak to sierocie. Nie ma kogo przy wozie zostawić! Oj, moja dola!

-- Kupuj wołu! -- szepnął Kalenik. -- Żydy targują. Daj trzydzieści rubli i dwa garnce baryszu! Boh me -- wart!

-- Pójdę, a ty przy wozie zostań!

-- Tylko beze mnie nie pijcie!

-- Jakże tobie będzie cała kwarta!

Poszła do Sydora. Zgiełk się wszczął gorszy, ale dyszkant baby opanował Żydów i starego. Po godzinie wróciła z Sydorem i z wołem. Na widok synowca stary się zaśmiał.

Postropek kobiecie oddał w ręce i parobka ku niej popchnął.

-- Weźże ode mnie i byka i kij do jego popędzania! -- zawołał.

Kalenik wpadł na wdowę i obalił ją na ziemię. Zrobił się tumult i śmiech okropny. Najszczyściej śmiała się Sylukowa.

Zabłocił się jej kozuch i przekreśliła namitka, ale ona zanosila się od śmiechu, szturchając w bok Kalenika.

-- Nu, nu, tobie on kij, a mnie on węgiel.

-- Macie pieniądze!

Poszli do karczmy całą gromadą. Znowu tę scenę widziała Łucysia z dala.

-- Maty! Wypijmy po czarce! -- poprosiła. Weszły więc i one.

Hubenie pili z wdową. Ta już pijana była i tańczyła, pokrzykując.

Kalenika też rozebrała wódka.

Na widok Makuszanek wesele przyszło mu do głowy, bo jął śpiewać:

Oj, świt wstępuje,
Gwiazdy zajmuje.

Łucysię strach zdjął i żal niepojęty. Nie dopiła czarki i trąciła matkę.

Wyszły, ale wtem Kalenika coś tknęło i wyszedł także.

Kobiety obładowane szły powoli: wnet je napędził.

Już się też pod wieczór miało i powoli barykady z wozów się rozluźniały. Stateczniejsi rozjeżdżali się do domów.

Karczmy za to nie mieściły ludzi. Kupna dopiero teraz zapijano, ostatnie grosze rzucano na stoły i rozhowory szerokie prowadzono o tej masie wrażeń odczutyh i rzeczy widzianych.

Rozhowory te i opowieści starczą na rok cały, aż do przyszłego jarmarku.

Opróżniał się rynek z żywego pomostu i dopiero teraz z wszęch stron ukazywały się na nim kozy i krowy żydowskie, zbierając siano; spuszczały się wrony, przeszukując, jak gałganiarki, kupy śmiecia; i urwisy mieszczańskie snuły się wśród wozów, ściągając z nich, gdzie się co dało. Po karczmach już się zapijano, lub walano pod ławy. Kobiety gwałtem wyciągały chłopów. Zgiełk rósł w miarę zstępujących ciemności.

Droga znowu była zatłoczona wozami, ale deszcz i błoto starły świeżość odzieży i humory były posępne.

Okazywały się złe sprzedaże i nabytki, żal po wydanym groszu, nuda pijacka; powstawały kłótnie, spory, łajania.

Z rzadka jakiś podochocony urlopnik poczynał piosenkę hulaszczą, lub dziewczyna, zacepiona brutalnie, krzyknęła niby przerażona. Czasem pijak się rozpędzał, okładając kijem klacz głodną; wyprzedzał innych, wywracał, obrywał ociosy; wtedy sypały się przekleństwa i bitwa na bicze.

Deszczyk ciągle mżył i ciemności gęstniały. Brzegiem zagonów, ścieżyną, ubitą tysiącem stóp, dreptały Makuszanek.

Trzewiki zdjęły zaraz przy końcu miasteczka, fartuchami opięły głowy i szły prędko. Stara gadała z rozkoszą o cudach widzianych, ale jej nikt nie pomagał.

Łucysia i idący za nią Kalenik nie mówili nic. Myślałby ktoś obcy, że się wcale nie znają.

Tak doszły do pierwszych chat, opuściły drogę i poza stodołami, wzdłuż płotów, dążyły do swej chaty.

Wtedy dopiero Kalenik usta otworzył i streścił swe wrażenia i obserwacje:

-- Powiedzieć prawdę -- piękniejszego wołu, jak mój hodowaniec, nie było na jarmarku! Ot co!

O tym widocznie myślał całą drogę.

Od podwórza Makuszanek Krasia ich witała przeciągłym rykiem. Kobieta przyspieszyła kroku, młodzi zwolnili i oto znaleźli się sami przy płocie.

Łucysia chciała przeskoczyć, ale parobek ją zatrzymał.

-- Łucyś, taki gościńca ode mnie weź! Na! Podał jej obwarzanek: wzięła w milczeniu.

-- Zaraz po Bogosławie swaty przyślę.

-- Mutysz!

-- Boh me! -- potwierdził, w pierś się bijąc.

-- Już pieniądze zebrał i wieprz gładki. Nu, powiedz! Co tobie?

-- Ja nie wiem! Tak mnie coś nudno! Onegdajszej nocy przyśniło się źle. Jakby to Lach zdarny przyszedł do mnie, taj mówi: -- Gotuj się na wesele, Łucyś! Ja ci ślub dam, ino nie w kościele ze świecami, a na Kniazjach z krzyżami! Licho mnie czeka, widno!

-- Tfu, mara! Czego byś umierała?! Takeś się przez to lato rozrosła, a żadnego moru na okoliczność nie słyhać. Na, jedz, taj bodnie szykuj!

Dał jej drugi obwarzanek, a ona do fartucha sięgnęła i poczęstowała Kalenika garścią cebuli.

Jedli, głośno mlaskając ustami.

Wtem krok czyjś ich spłoszył. Dziewczyna wskoczyła na podwórze, Kalenik odszedł. U Hubeniów w chacie tylko dzieci były. Sak w starej czapce ojca, z biczem nieodstępnym, siedział na przypiecku, oczy swe dziecinne, a już i złe i krzywe, wlepiając przed siebie w rozmyślanie nad jakąś psotą. Mokrenia rozczochrana i brudna, jak ścierka, opatrywała okaleczała okropnie nogę.

-- Pozapędzaliście bydło? -- spytał Kalenik.

-- A cóż? -- odparł Sak.

Parobek oddał im dwa pozostałe obwarzanki. Rzucili się na specjał i zaraz się pobili, to śmiejąc się, to wyjąc dziko.

Gospodyni nie było z powrotem, więc i o wieczerzy nikt nie pomyślał.

Zjadł Kalenik kawał chleba, popił wodą, zdjął przemokłe postoiły i legł spać. Roili mu się kozuchy, buty, czapki, cała widziana świetność, gdy go nagle zgiełk obudził.

Wstał przerażony. To Zacharko pijany bił Tatjanę, włączając ją Za włosy po chacie. Lampka blaszana, stojąca na brzegu komina, oświetlała ponuro ten obraz. Kiryk się na to gapił, a spod pieca wyzierały dzieci jak z fortecy.

-- O co to oni się swarzą? -- pytał szkolnika Kalenik.

-- O wieprza, że gdzieś zginął!

-- Nu, to trzeba iść szukać!

-- Cyt! Siedz cicho! Wieprz w chlewie: ja umyślnie tak powiedział, żeby on ją nabił.

-- Czy ty zwariowałeś?!

-- A na co ona, szelma, powiedziała Sylukowej, że ja worek z obrokiem wziął?

-- Nu, i odebrali?

-- Ale, baba jeszcze mnie bić chciała!

-- Aaaa! Nie udało się! -- zamruczał Kalenik, a potem dodał: -- A jak zobaczą, że wieprz jest,

to na ciebie się zwałą.

-- Nie bój się: ja go Sylukowej wpuszczę w kapustę, to jutro Zacharko jej jeszcze doda!

-- A diad'ko gdzie?

-- Na piecu bestia śpi! Co nam kieliszek doszedł, to jemu dwa. Tymczasem Zacharko się zmęczył i bić przestał, ale i kobieta leżała jak nieżywa. Kalenik, wywiedziawszy się o wszystko, a senny, na powrót się ułożył. Kiryk wysliznął się z chaty. Cisza, przerywana stękaniem pijanych i Tatjany, zapadła nad izbą, wraz z ciemnością, bo i lampka, wyzionąwszy ostatni słup dymu, zgasła. Tak się ów „Czesnejko” zakończył, pierwszy na „własnym” bycie Tatjany. Nazajutrz pod wieczór rozpowiadała o tym przez płot Marii Hucowej, pokazując sińce.

-- Nieszczęsna moja głowa! Już teraz mało który dzień mam spokojny! -- mówiła. -- O byle co bije, nie patrząc gdzie: w piersi, w głowę. Już mi z tego bólu kołtun zwijać się zaczął. *Musi* i dziecka nie urodzę! A taki mocny, że prawie do śmierci zabija.

Hucowa z małym Michałkiem na ręku, zdrowa, szanowana, oburzała się okropnie.

-- Ta jego rzuć do licha! U ojca przyjmą. Toż ty tu bez pory umrzesz.

Ale Tatjana przeczyła głową:

-- Nie pójdę. Niechaj zabije, nie pójdę. Nie dospałam, nie dojadłam; takiego wieprza latem upasłam, jak źrebię. Niedoczekanie jego, żeby tyle mięsa i słoniny sam zjadł, a ja nie! A len? Jak żyto wysoki, a cienki. Niedoczekanie jego, żeby on go sprzedał! Taki zostanę, jemu na złość, na zimę!

Została tedy w tym piekle, gorszym każdego dnia. Zacharko z sochą we dworze zarabiał, Sydor za pieniądze otrzymane za wołu, drzewo na chlew kupił. Kiryk drwa do dworu woził.

Zarobek więc był, ale stało się pewnej niedzieli po rozplacie, że tylko Kalenik swe pieniądze gospodarzowi odniósł. Synowie wrócili ledwie wieczorem, pijani.

Zaczęła się kłótnia.

-- Albo oddacie pieniądze, albo jutro nie dam ni sochy ni wozu! -- krzyczał stary.

-- Ale, nie dasz! -- burknął Kiryk. -- Będzie ciebie kto prosił! Wolno tobie pić, wolno i nam.

-- Milcz, szczeniaku!

-- Milcz, ty sam, stary psie!

Sydor uderzył szkolnika, ten go pchnął. Zacharko tedy ujął się za bratem.

-- Ty, stary pijanico! Siedź cicho, taj Bogu dziękuj, że ci chleb dajemy! Jak dokuczysz, to precz wygonim! W „starce” idź, miejsca nam nie zajmuj!

Sydor nagle umilkł. Znać, że coś w głowie sumował. Nazajutrz, gdy synowie po sprzężaj szli, drzwi im od chlewu zastąpił.

-- Precz! -- krzyknął. -- Nie dam! Pierwszy znowu go Kiryk trącił.

Gdy ojciec zaczął ich łąać, skoczył i Zacharko, porwał starego za włosy, rzucił sobie pod nogi i pięściami okładał, a tymczasem Kiryk klacz spokojnie do wozu zaprzęgał.

Na krzyk starego zbiegli się ludzie i odciągnęli Zacharka.

Kiryk na wóz siadł i śmiał się.

-- Niechaj bije! Jak ojca wytluc, to dobra pszenica się urodzi! -- rzekł, wyjeżdżając na ulicę.

Ten i ów z chłopów zaśmiał się, jak z najlepszego konceptu.

To był pierwszy objaw, że Sydor dzieci na ludzi pohodował, że parobków ma, a nie chłopców, że go już mogą zastąpić.

Odtąd, choć spokój pozorny wrócił, ster wydarto z rąk starego. Począł się też w robocie opuszczać, w karczmie po całych dniach przesiadywał. Przepijał pieniądze, potem niósł, co porwał w chacie. Kradł u synów i kradł po wsi dla arendarza.

W ogóle cała wieś kradła i nikt tego tak bardzo nie brał do serca. Poszkodowany wetował swą stratę u sąsiada; po tygodniu przechwalano się już z tych czynów bohaterских. Złapany na gorącym uczynku groził czarami lub podpaleniem, więc go puszczano na swobodę, byle lichu zażegnać.

Do sądów udawali się tylko bardzo naiwni, albo pieniacle z profesji. Sprawy także

kończono w tej karczynie, która stała bliżej gminy. Rzadko który złodziej, nowicjusz, lub potulny, otrzymywał bastonadę.

Najgorzej, jak zwykle, psocili pastuchy. Teraz, jesienią, gdy paszy była obfitość, gospodarze nie paśli wołów osobiście i pojedynczo.

Wypędzano je gromadnie „na doświtki”. Zwykle pastuszki, chłopcy i dziewczęta, zbierali się w jeden tabun, spędzali woły do jednego gospodarza i, czekając świtu, baraszkowali na sianie w odrynie.

Na swawole te nikt nie zwracał uwagi. Młódź rozwydrzona była okropnie i nikt na starszych ani uważał, ani słuchał.

Codziennie te bezeceństwa należały do porządku, do tej pory roku, do życia bieżącego wsi.

Pewnej takiej nocy Kiryk przyszedł ostatni do kompanii. Zmarudził około wozu u Czechów, zanim zeń zdjął żelazne obręcze, potem zanim swój łup u siebie w chlewie starannie ukrył pod nawozem.

Wpadł do rówieśników z gotowym projektem.

-- Wiecie, chłopcy, gdzie na dziś pasza?

-- W kapustach!

-- Nie. W koniczynie dworskiej.

-- A gdzie ona? Toż latem skosili i zorali.

-- Aha! A nasienna?

-- A, prawda! I tę skosili onegdaj.

-- Nu, to na pokosy!

-- Wał na pokosy!

Koniczyna ta daleko była od dworu, więc ją stróż rzadko odwiedzał.

Tej nocy jednak go coś tknęło.

Zebrał się i poszedł, wzięwszy sobie trzech Huców do pomocy.

Nie udał się projekt Kiryka; nie dotrzymała mu drużyna, gdy chciał odbijać bydło.

Zbito go okropnie i popędzono bydło do dworu.

Nazajutrz rozpoczęła się procesja delikwentów do pana. Myślano, jak zwykle, słomą się wykręcić.

-- Z przypadku wyszło! Dzieciuchy się pospały! Wilk rozegnał. Nasze woły nie jedzą koniczyny! Z rodu nie *jedli*! Ten jeden raz darujcie!

Ale pan się zawzięł. Raz pierwszy kazał płacić wedle taksy: po rublu od sztuki; był głuchy na wszelkie prośby.

Wreszcie zapłacono, ale wszyscy gromadą zwałili się do Hubeniów, grożąc, klnąc.

-- Wasz chłopiec tych głupców namówił: niech za nich płaci, a nie, to „prygowor” zrobimy! Niech w turmie siedzi!

Gdy Zacharko począł im hardo się stawiać, od słów przyszło do czynu. Gromada wyła, a potem wzięto się do pięści.

Zbiegło się więcej ludu. Poczęto wypominać kradzieże; grożono, że wydadzą ów niedoszły mord Karpiny Huca; gwałt powstał tak okropny, że wreszcie Hubenie złożyli broń: zapłacili część, na resztę dali zastaw -- i ludzie się rozeszli.

Wtedy domowi rzucili się na szkolnika. Bił go ojciec i brat, łajła bratowa i nawet spokojny Kalenik -- dzieci drwiły. Kiryk ani się bronił, ani zębów zaciętych nie uchylił. Twarz jego chorobliwie blada, szpetna, wyrażała zapamiętałą mściwość. Nazajutrz wpadł znowu na śmiechy i naigrawania towarzyszy -- nie dawano mu nigdzie przejść spokojnie.

Wreszcie drugiego dnia wybuchnął.

-- Czekajcie jeszcze, czekajcie! -- mruknął. -- Nie dali naszym wołom kłapcia trawy: może im siana zbraknąć.

Czekano niedługo. Na trzecią noc wietrzną i ciemną Kiryk, jak zwykle, gdy inni się kładli, poszedł niby „na doświtki” czekać. W rzeczywistości inny projekt dojrzał mu w głowie.

Okolo północy Kalenik posłyszał, że ktoś wszedł.

Nie mógł to być nikt inny tylko Kiryk, gdyż chatę zasuwane z wewnątrz, a on miał z sobą klucz, a raczej szczególne narzędzie: żelazko, służące do odsuwania drewnianego skobla.

Tak, szkolnik to był.

Po omacku się wśliznął i jak kot cicho się sprawiał.

Spod ławki wyciągnął sporą garść pakuł, przedtem przygotowanych, lampkę na nie wylał, wziął garść zapalek do kieszeni i, jak się zjawiał, nieznacznie wyszedł.

Noc była wietrzna i czarna. Na roli, na trawie, bosc jego nogi nie czyniły śladów.

Musiał być zdecydowany stanowczo, bo wcale się nie namyślał. Przesadził płot, potem rów graniczny i wszedł na dworskie łąki. Nie widać go było, ale on instynktownie do ziemi przypadał. Za lada szelestem stawał i nadśluchiwał.

Łąki były grząskie i wodą zalane, on przecie lepszej drogi nie szukał, ani kierunku nie zmieniał.

Wreszcie stóg przed nim zaczerniał.

Obszedł go wkoło, rękami zmierzył i z dumą do siebie wyszeptał:

-- Ten sam: ot trafił sprytnie!

Tedy przy stogu tym przykucnął i chwilę odpoczywał. Tak prędko szedł, że mu dech zaparło. Potem blaszaną puszkę zza koszuli wyjął i papierosa sobie skręcił.

Zapalił jedną zapalną, zgasła na wicherze, przy drugiej zatlił smrodliwy tytoń. Palił i różne myśli chodziły mu po głowie.

-- Ażeby zamiast stogu dwór, a może gumno którego z tych, co od nich pieniądze brali?...

Ale nie. Wracac daleko, czasu szkoda. Począł ze spodu skubać garście siana, aż uczynił jamę sporą. W nią wetknął owe pakuły, sianem założył i potarł zapalną. Nie chybiła tym razem.

Wsunął ją między źdźbła, rozległ się suchy trzask płomienia: ogień ogarnął już jamę.

Kiryk się zerwał i poczał uciekać, tak zgięty, że ledwie nad kępy wystawał, tak szybko, że tylko migał, jak zwierz leśny.

Był już niedaleko płotów, gdy nagle te płoty i chaty i drzewa stanęły wyraźnie jak w słońcu -- w czerwonej łunie. Widać było, jak na dłoni, całą równinę, dwór czarny, wieś niską, drzewa przeredzone.

A na tle stała ta pochodnia czerwona, góra objęta ogniem, rzucająca wkoło siebie, jak latające obłoczki, wiązki siana -- żywa, I wściekła.

Wiatr się z tą pochodnią szamotał i jakby jej dawał policzki; to z góry, to z boków kręciły się płomienie, a huczały gniewne.

Teraz i niebo stało się widoczne: szare, chmur szybko pędzących pełne.

Między chmury wsiąkał dym czarny, pełen atomów siana zwęglonego, i tworzył nad tą pochodnią dziwnie pogięte zygzaki. I tak stało się jasno, że wszystko było widać, tylko nie widać było ani żadnego ratunku, ani sprawiedliwości.

Od dworu ukazało się parę ludzkich, czarnych sylwetek, ale nikt nie biadał i nie jęczał: patrzano w milczeniu.

Tylko psy zawyły i tylko zaryczało przeciągle bydło, jakby przeczuwało ciężki przednówek.

Październik

Już tylko runie zielone były i tylko liście spadające krasne. Zresztą ziemia szarą się stała, naga, chłód i wilgoć z niej szły, a tak gęsto było w powietrzu, że nawet głos bez echa ginął.

Cicho też było na polach ogołoconych, ni ptaszka, ni świerszcza, ni śpiewu ludzkiego. Gdzie na wiosnę miano zasiać jare zboże, tam zagony rozdarte sochami tworzyły płaszczyznę chropawą, siwą, i po niej chodziły wrony posępne, brudne, szukając pędraków, lub zając przypadał za bruzdą, lub lis kopał rude polne myszy. Po łąkach mokrych i bezbarwnych wałęsało się bydło, ogryzając pogardzane dotychczas szuwary i łozy.

A wszystko puste było, głodne, obumarłe, i ziemia ta zdawała się tak zmęczoną i wyczerpaną przez rodzajność lata, że leżała, odrętwiała, bez głosu, bez woni, bez barwy -- chciwością ludzką odarta, zdeptana, żelazem poszarpana, a nieczuła na nic.

We wsi błoto rozgrzane codziennym pochodem bydła tworzyło odmęty; płoty rozgradzano, ogrody były nagie, drzewa bezlistne, strzechy popleśniałe.

I słychać było ze wszech stron tylko łoskot cepów, stukot „ternic”, objających lniane październice, a gdy wieczór wczesny zapadał i milkła praca, wtedy odzywały się tylko surmy ptaszków minorowym, przeciągłym akordem.

Zniknęły białe letnie stroje. Teraz wszystko brudne było, bure, jak cały krajobraz, i dymem chat przesiąkłe i wilgocią przejęte.

Kobiety, do wiedźm podobne od lnianej „krosty”, o jednym tylko mówiły i myślały: o tym lnianym ukochanym, nad którym zimę spędzą.

Mężczyźni wzięli się do chat budowania, a klecili byle jak, na starą modłę: ciasno, nisko, źle, gotowi za lat parę znowu zaczynać!

Chodziły też swaty, odprawiano wesele; młódź rozprawiała o bliskim poborze wojskowym; zbierano jesienne podatki.

Życie więc szło swoim trybem, to życie ludzkie, któremu nie dano, jak ziemi, nigdy spocząć, nigdy zasnąć, nigdy przestać działać, tętnić -- rodzić!

Pewnego wieczora Kalenik, idąc od młyna, spotkał Czyraków, ojca i syna.

Postrojeni byli i faszka wyglądała z kieszeni starego: szli w swaty widocznie.

Parobczak niespostrzeżony poszedł za nimi. Naprzeciw karczmy skręcili do najlichszej wdowiej chaty i weszli.

Kalenik chyłkiem pod okienko się podsunął i patrzył nocą zakryty.

Na widok ich Łucysia krzyknęła okropnie, Makuszanka odpowiedziała na pozdrowienie. Widocznie olśniona była i szczęśliwa honorem tak świetnej patrii.

W szybce szczelinkę znalazłszy, słyszał Kalenik i wyrazy.

Zagał stary wedle obyczaju.

-- Jest u mnie pole i dobytku pełna obora, i koni pełna stajnia i len się w komorze nie mieści.

I jest u mnie ten oto jedynak, nie hultaj, nie pijak i nie rozpustnik. Stateczny, zdrow i spokojny. A u was, matko, jest dziewczka, którą on sobie nad inne upodobał, nad bogate, nad rozumne, nad piękne.

Tedy my po nią przychodzimy. Za gospodynię do chaty, za panią do dostatków, za żonę on ją sobie chce, a ja was o nią proszę już drugi raz.

Nie odmawiajcie, zapoiny przyjmijcie, nie odrzucajcie swatów części!

Dobyl wódkę z kieszeni.

-- Ja przeciw wam i waszemu chłopcu nic nie mam! -- odparła Makuszanka. -- Ino tę jedną mając, o wolę jej spytam.

-- Łucysia, chodź-no tutaj!

Dziewczyna wyszła z kąta, powoli, niechętnie.

-- Słyszałaś? -- spytała ją matka surowo.

-- Ale! -- bąknęła.

-- Nu, to kieliszek podaj!

Łucysia jakby wrosła w ziemię.

Czyraki patrzyli na nią: Tychon z widocznym niepokojem, znachor spod brwi nawistych świdrująco, aż w duszę.

-- Nu! -- odwiązując fartuch, nagliła matka.

-- Nie dam „porcji!” (kieliszek). -- Niech sobie idą.

Matka ściągnęła ją przez plecy sznurkami od fartucha. Do kolan padła, do nóg, od razów się nie zasłaniając.

-- Matusiu rodzona! Nie chcę, zabijcie, nie pójdę! Czy wy mi chleba żałujecie, czy ja wam zbrzydłam, że precz gonicie? Nie chcę ja „bohatera”, żeby mi moją biedą oczy wypiekał, jak do swaru przyjdzie.

Zwróciła się do Tychona:

-- Czego ty się do mnie przyczepił? Weź taką, co ci rada! Odczep ty się ode mnie, siłą nie weźmiesz, a wolna nie pójdę. Mówiłam ci tak nie raz, nie dwa!

-- Gadanie pusta rzecz. Myśleli my, że rozumu nabierzesz, albo ci go matka doda. Źle jest uczciwą prośbą hańbować i krzywdę nam robić.

Stary Czyruk, to mówiąc, oczy złośliwie zwrócił na Makuszanekę, a babę okropny lęk zdjął.

-- Głupie zwierzę! Bierz łaskę, kiedy ci dają, słyszysz! -- krzyknęła.

Ale Łucysia skamieniała w uporze.

Skryła się w kąt, za piec, i tylko powtarzała, łkając rozpacznie:

-- Nie chcę, Boh me, nie pójdę! Idźcie sobie. Porwała się do niej matka bić, ale ją Czyruk zatrzymał.

-- Dziewczyno! -- rzekł -- posłuchaj ty mnie jeszcze! Różne rzeczy umiem i zostawić przed śmiercią komuś muszę. Synowi nie wolno, chyba kobiecie. Pomyśl ty dobrze! Zostawię tobie.

-- O Jezu! -- jęknęła dziewczyna. -- Ja nie chcę! Ja was się boję i waszej chaty i tej nauki. Żebym ja miała swoją śmiercią nie umrzeć, ale przez „nich” zginąć nagle, jak wy, znachory, umieracie? W Imię Ojca i Syna! Uchowaj mnie, Jezu Chryste!

W czarny, ciasny kąt się tuliła, drżąc jak przed zmorą.

-- Nie hańbuj, głupia! -- strasznym tonem krzyknął znachor. -- Czego nie wiesz, nie gadaj, aż poczujesz! Pamiętaj! Nu, nie chcecie? Pójdziemy sobie gdzie indziej.

Makuszancka, przerażona, zatrzymała go.

-- Oksenty, nie marnujcie słów i gniewu dla tej głupoty! Co ona rozumie? Uparła się i koniec! Popamięta tę odmowę. Przypomnę ja jej godzinę tę każdego rana i wieczorem kijem. Ano, was I proszę, o takie głupstwo nie bądźcie mi krzywi. Bóg wie, jaką wam rada. Odłożyli do jesieni, odłożymy do wiosny, poczekajmy!

-- Po co próżna mitręga? Do wesela wszystko gotowe, wyprawić je trzeba. Oszukaliście nas raz, drugi raz za wiele! Pójdziemy gdzie indziej. Ale kiedy chcecie, bym z tej chaty krzyw nie wyszedł, to traktament weźcie. Niech ludzie nie widzą, że z pełną flaszką wracamy.

-- A jakże ja traktament przyjmę, kiedy ta głupia waszego chłopca nie chce, a za wódkę zapłaty nie mamy?

-- Jaż zapłaty nie chcę, ani zapoiny to będą. Ot, wódka jest, wypijemy w kompanii: taj tyle!

Zapraszał, ale wzrok miał ponury i, widząc wahanie się starej, dodał:

-- Chyba mnie za wroga mieć chcecie?

-- Nie, nie! Uchowaj Boże! -- przerażona krzyknęła. Drżącą ręką podała kieliszek.

Czyruk oddał go synowi.

-- Przepij ty do gospodyni! -- rzekł. Tychon w milczeniu usłuchał.

Wypił, skłoniwszy się Makuszaneczce, i oddał jej pełny kieliszek.

-- Do was, Oksenty! -- rzekła. Stary głową kiwnął.

Czarka z grubego, mętnego szkła znalazła się w jego ręku. Tedy do Łucysi się zwrócił.

-- A ja do ciebie, dziewczyno!

-- Nie lubię wódki! -- szepnęła.

Czyruk wypił i z pełnym kieliszkiem do niej przystąpił.

Płyn rozlewał się po brzegach. Znachor nieznacznie wielki swój palec w nim zmaczał i nieznacznie spod paznokcia wsiąkała do wódki odrobina jakiejś zielonawej substancji i wnet się rozeszła.

-- Wypij mój poczęstunek! Rucianego ci wianka życzę. Bacz, zem niekrzyw za odmowę!

-- Wypij! -- rozkazująco krzyknęła matka. Dziewczyna oszołomiona nie zdołała się dłużej opierać.

Przeżegnała się i wypila.

-- Gorzkie! -- rzekła, spluwając.

-- Gorzko spełnić, a żal porzucić! -- mruknął Czyruk i do syna się zwrócił.

-- Nu, chodźmy gdzie indziej, kiedy nas tutaj nie chcą. Do zobaczenia!

-- Idźcie z Bogiem! Skłonili się obydwaj i wyszli.

W sieni stary znachor pięścią w uszak uderzył.

-- Upadł z pieca kamień, będzie tobie amen! -- wymówił uroczyście, aż się Tychon wzdrygnął.

-- Co wy gadacie, bat'ku?

-- Jakem ci obiecał i jakieś chciał, ni twoją ani czyją nie będzie!

-- Prawdę mówicie?

-- Zobaczysz.

Odeszli powoli. Za nimi rychło Kalenik od okienka odstał i do chaty się powlókł. Teraz na niego kolej swatów była.

Wieczorzali u niego. Do misy się przysiadł i w milczeniu pożywał zacierkę. Ogarniała go niecierpliwość zagajenia sprawy.

-- Diad'ku! -- ozwał się wreszcie. -- Pora mnie żonkę brać!

Sydor i Zacharko spojrzeli na niego.

-- A pieniądze na wódkę masz? -- spytał stryj.

-- Alboż ja chowam pieniądze? U was są.

-- Jak u mnie, to na chatę, a nie na wesele.

-- Chata postoi do drugiej jesieni, a mnie już czas.

-- To niech cię Syluczycha bez wesela bierze! -- wtrącił Zacharko.

-- Ja ta Syluczychy nie chcę.

-- Nu, a kogo?

-- Makuszanki Łucysię!

-- Zdurzał! -- krzyknęła Tatjana, a mężczyźni zaśmiali się hałaśliwie.

On po nich oczami powiódł spokojnie.

-- Ja na śmiech nie gadam. Zlubił ją, taj wezmę!

-- To bierz, kiedy pieniądze masz! -- burknął Sydor.

-- Wy macie! Nie Uczył ja ich, ale szmat (dużo) nanosił. Cegłę i drwa woził, a potem co dzień pieszo chodził.

-- Wozileś to moją klaczą, a coś pieszo zarobił, toś i przejadł.

-- Taka sama klacz wasza, jak i moja, a com zjadł, to swoje. Parobkiem u was nie służyłem.

-- A jakże! Może to ojcowskie, twoje?

-- A ojcowskie! Taki on wam brat był, jak Kiryk Zacharkowi.

-- A łżesz! -- wmieszał się Zacharko. -- Twój ojciec kulawy krawiec był -- powiadają.

-- Bat'ko za niego całe życie robił pole, a on w chacie siermięgi szył, albo po wsi laził.

Takiego kulasa do mnie nie równaj, bo ja ci pokażę.

-- Prawdę mówi. Spytaj się ludzi. Zrzekł się na mnie gruntu po wieczne czasy za to, zem mu

chleb dawał, a potem was dwoje hodował. Teraz już dawność minęła i twego tutaj nic nie ma.

-- A gdzie się ono podziało? Gdzież ojcowska połowa?

-- Gdzie? -- parsknął śmiechem. -- Idź, na Kniazjach poszukaj! Tam sobie órz i siej, chatę staw i swoją Łucysię z korowajem prowadź!

-- Jakże to? -- ogłuszony i nie bardzo przytomny Kalenik powoli spytał. -- Toż za cóż ja tutaj tyle lat pracowałem i hodowałem i budowałem? Toż ja na tej ojcowiznie dawność odsłużyłem. Pogłupieli wy, czy co? Ja tu gospodarzem byłem i zostanę. Toć moje!

-- Idź do gminy i przeczytaj, czyje tam stoi! Ot, dureń nabity! -- pogardliwie krzyknął Zacharko.

-- A zresztą, co tobie do tego! Ja tu pan i starszy i moje prawo! -- dodał Sydor, bijąc w stół pięścią.

Parobek zupełnie osłupiał.

Sam niepiśmienny i nieczytający, bał się i czcił zarazem papier, czarno pokreślony. Erudycja bratanków dobiła go.

Zrobiło mu się czarno i straszno w głowie. Może to i prawda, co oni mówią. Oni „znają”, a on czym się obroni?

Umilkł tedy. Tamci jeść skończyli i do fajek się wzięli.

I on od stołu pod piec się usunął i postoiły pleść począł, ale go wewnątrz coś paliło, coś drżało, coś pytało, pytało!

Wstał wreszcie, siermięgę narzucił i wyszedł. Ciągnęło go coś do karczmy, ciągnęło do Huców. Musiał komuś biedę opowiedzieć. Ale Żyd darmo nie będzie słuchał, a Huc po dobroci poratuje.

Przeskoczył więc płot i wszedł do chaty. Nie było nikogo obcego i kobiety się po weselach rozpięchły. Brakło też Karpiny i jego skrzypiec na ścianie. Rozrywany był muzykant na wsze strony.

Prytulanka kołysała Matwiejów najmniejsze, a Olenia już w namitce i krasnym andaraku maglowała na rogu stołu męzowskie koszule, spiesząc się, aby także do tańca skoczyć.

Starsi mężczyźni słuchali ojca, który, wesoło usposobiony, z dawnych czasów opowieść im biał.

Wchodzącego pozdrowili przyjaźnie i dalej gadali. On też nie zaraz zaczął. Milczkiem u drzwi siadł, raz i drugi z wiadra wody popił i stęknął.

-- Nie duż (chory) ty? -- spytała go Prytulanka.

-- Ale! -- bąknął.

-- Duchy (płuca) widać zajęło, bo nie swoim głosem gadasz! -- dodała Olenia.

-- Wszystko boli! -- rzekł.

Wtedy stary Kornilo głowę podniósł, a za nim spojrzeli synowie.

-- Co tobie? Znowu wybili może!

Parobek zaruszał ustami, a potem ręką za gardło się wziął, jakby zduszony, wreszcie zakaszał się i poczęły mu z oczu biec łzy, z ust głuchy jęk się wydierał. I tak zgarbiony, szerniały, nędzny -- ten wielki drab o tytanicznych ramionach zdał się dzieckiem małym i taką żalność budził, że go ci obcy obścapił litośnie i poczuł na swej głowie twardą rękę Kornila, podczas gdy tamci pytali zajęci.

-- Cyt! A hody! Powiedz słowo! Jaka ci krzywda? Cytże, cyt!

Zdechło co u was?

Powoli, bezładnie zaczął mówić i raptem ta krzywda uczyniła go wymownym: zobaczył ją, poznał i objął w całym ogromie.

-- Wypędzają mnie, bo bał'ko ziemi się odrzekł. Krawiec był, taj kulawy. A jaż nie wiedział. Żeby on mnie to rzekł, tobym wtedy się oddzielił. Tyle lat moc całą tam kładł i ich hodowałem i bydło hodowałem i „choromy” (budowle) stroił. A nic wtedy nie mówili! Żeby ja tyle lat parobkiem służyłem, toby mnie gospodarz synem zrobił. A oni mnie dopiero teraz won goniją!

Teraz mi łychy koniec przyszedł. Za harowanie moje, za starunki moje, za spokój! Dosłużył się ja tego wieczora, że się dowiedział, iż co moje, to ich, a dla mnie -- batracki chleb! Ni mnie żonka, ni mnie komora, ni mnie okrasa, ni pierzyna! Bił się ja, bił dwadzieścia siedem lat na tym świecie, a teraz do ojca na Kniazie mnie gonią z ziemi tej i z chaty!

Moje dawności to ino ręce pokaleczałe i krzyże naderwane i ta zguba, co stoi za wrotami.

Na to mnie matka nosiła pod piersiami, na to mnie na świat samego puścili!

Bodajże ta matka kamienie była rodziła, bodajże to choroby ziemię z sierot oczyściły, bodajże świat wisielce nosił i psy! I bodajże moje poty tę ziemię otruły, robakami ich żywcem stoczyły!

-- Cyt! -- krzyknął groźnie Kornilo, za ramię go porywając i trzęsąc. -- Hody skargi i milcz z kłatwą! Jakże to, czemu cię precz gonią? Spokojnie mów!

Ale żałość Kalenika skurczyła się w sobie i zakamieniała nagle. Jak ze snu zbudzony, błędne oczy podniósł i długo milczał.

-- Nu! -- naglił Kornilo.

-- Toż wy słyszeli! -- rzekł złamanym głosem.

-- Czyż ty dzielić się chciał?

-- Ni; ze swatów to poszło. Żeń się -- gadają -- jeśli pieniądze masz! A nfoje pieniądze tam -- w ichże rękach zbójceckich.

-- Co to? „Mutnia!” -- zawołał Matwiej. -- Nijak to być nie może. Breszą, jak sobaki. Nikt ziemi się nie zręka. Durny ty! Nastraszyli i wierzysz.

Kalenik gorejące oczy podniósł na starego:

-- Didu! Prawda to?

-- Zobaczymy. Idź ty i spocznij! Jutro pójdę z tobą do gminy: taj nam niech to przeczytają, jako stoi. Teraz cicho bądź i nie pomstuj! Zastąpimy za tobą; dla mnie pisarz robi.

I było cicho. Nazajutrz wieczorem poszli do gminy. Pisarz księgi rozpatrzył. Nie było tam mowy o żadnym zrzeczeniu się, ani spłacie. Cztery zagony Hubeniów zapisane były na Sydora i nieżyjącego Radziwoną, krawca.

Tedy zażądał Huc, imieniem Kalenika, wydzielenia mu połowy tej ziemi i połowy siedziby i budowli i mienia i, zagaiwszy tę sprawę, dobrej myśli wrócili.

Dwa, trzy dni był spokój. Dopiero pozwy na sąd spadły jak grom na bezpiecznych w swym mniemaniu Sydora i synów.

W chacie powstał sądny dzień.

Kalenik przed tą zgrają rozbestwioną uszedł do Huców, a oni się rozbiegli po radę i sposoby różne.

Sędziów trzech było: Chryn z Hrywdy, Łazaruk z Kończyc i Szczerba zamoroczeński.

O teścia spokojny Zacharko poszedł do Kończyć, a Sydor, jak dzień, tak noc, pił z Chrynem w karczmie.

Wiedział i słyszał to Kalenik, ale sprawy swej pewny, nie dbał. Do dworu co rana z Hucami szedł i czekał terminu.

Pewnego wieczora długo nie wracał. Przyjaciele już się trwożyć zaczęli, gdy nareszcie wszedł błądy, błotem pokryty i, do światła podstąpiwszy, na stół nóż z rzemykiem cisnął, a potem starą siermięgę i kozuch zrzucił i bok lewy odkrył.

Przecięta była odzież i koszula, a na żebrach szrama krwawa i krew była na nożu.

-- Zarznąć ciebie chcieli! -- zawołał Huc.

-- Ale! To Kiryk! Szedł ja, aż tu coś na moście do mnie z wierzby skoczyło, taj żgnęło w bok. Żebra nie puściły.

Pchnął ja jego od siebie jak zmore, to w rów buchnął, a ja nóż uchwycił. Dobry nożyk, odtoczony jak brzytwa.

-- Nie chodźże sam po nocy!

-- Nu, niech--no mi się ten hycel pod rękę nawinie! -- mruknął zajadły Karpina.

Kalenik póź ze krwi otarł i widocznie cieszył się tym nabytkiem. Zaraz go też do pasa

przytroczył i była to pierwsza rzecz cudza, którą sobie wziął -- on -- trus do kradzieży.

Tak tedy i Kiryk pracował razem ze starszymi nad utrzymaniem ziemi.

Ale tymczasem zabrakło Łucysi we dworze na robocie. Pierwszego dnia zaraz Kalenik to spostrzegł i spytał o nią sąsiadki.

-- Niezdrowa! Cości na żywot niedomaga! -- odpowiedziano.

Nazajutrz parobek poszukał jej znowu oczami.

Gdy była, starali się pracować niedaleko od siebie, przy warczeniu młocarni, w pyle, w znoju. Pomagali sobie wzajem.

Znowu jej brakło tego dnia.

Tknął go niepokój. Może znowu swaty przyszły i matka niewoli iść?

Wieczorem nawet o kwit się nie dopominał i pobiegł na zwiady.

Przeraził się, gdy wszedł do chatyny.

Dziewczyna leżała na matczynej pościeli, jęcząc żałośnie. Kilka bab ją otaczało: odkadzały ją właśnie. Matka zawodziła, płacząc i łkając.

Parobek widły w dłoni cisnąc, stał skamieniały w progu. Zaczęły mu szczękać zęby.

-- Maty! -- nieśmiało do starej się odezwał. -- Co jej takiego?

-- Oj, sokołyku, nie będzie jej, nie będzie! Trzeci dzień do ust nic nie bierze, ni wody kropli, ni mleka. Z początku ino na żołądek się skarżyła: boli i boli!

Myślałam, że się zadźwignęła, słomę nosząc. A tu ją wymioty porwały, a potem czkawka i kurcze. I od tej chwili w oczach ginie, jak ten robak się wije i jednym głosem jęczy. Światła już trzeci dzień nie gaszę, na nogach trwam, a ona tak i gaśnie -- gaśnie! Już ja widzę, że jej nie będzie. Niech baby, co chcą, mówią, tak i ona nie z tego już świata, nie po tej ziemi będzie chodziła. Taki nie, taki nie!

-- Nie mówcie tak! Do doktora ją zawieźć! Nie umrze, matko, nie umrze -- powiedz!

Taki strach bił mu z oczu, że stara tej wiary jego uczepliła się rozpaczliwie.

-- Może ty prawdę lepszą wiesz! O Jezu, o Jezu! -- zajęczała, siwą głową o ścianę bijąc.

Baby znachorki skończyły swe zaklęcia i praktyki. Wychodziły milczące i skupione.

-- Będzie „jednakowa” (pozdrowieje)! -- mruzczały, w kościste szpony biorąc zapłatę.

Teraz Kalenik o krok się zbliżył.

Dziewczyna ucichła, dymem odurzona i wyczerpana bólem. Szarą płachtą przykryta, zmaląła jak dziecko, z rękami, odrzuconymi bezwładnie, była obrazem śmiertelnej nicości. Twarz jej miała jedną barwę zaśniedziałego kruszcu, oczy podsiniące, czarne usta i skurecz bezmiernego cierpienia w rysach. Rozplótł się jej warkocz, ale i to złoto już nie świeciło. Roztargane, wypłowiałe włosy poskręcał, zda się, ból, a pleśń osiadła. Kalenik o widły wsparty patrzył.

Aż nagle ból ją znowu ocucił.

Zwinęła się, zadygotała i przeciągle zawyła nieludzkim głosem. Oczy rozwarły się bezmiernie, w kątach ust zabielała piana.

-- Łucysia! -- jęknął parobek.

Spojrzała na niego i łzy jej się rzuciły do oczu i zalkała.

-- Nie ma już mnie, nie ma! -- wyszeptała.

-- Co tobie?

-- Umrę, umrę! Idzie śmierć biała taj zimna! Idzie!

-- Nagle (bardzo) boli?

-- Słowem nie powiedzieć. Ognie we mnie, gorycze, noże! Pójdę już, pójdę.

Znowu się wyprężyła i zwinęła konwulsyjnie i dreszcze ją przebiegły, a jęk ze straszną czawką się mieszał.

Przyskoczyła do niej matka, a parobek za głowę się porwał i uciekł.

Wpadł do Huców jak wicher; w sieniach pod strzechą wynalazł łachmanek z ową złotówką jedyną, uchowaną przed łapczywością Sydora, i poprosił Marii o flaszkę.

Kobieta spytała, na co, a gdy jej tę nową swą troskę opowiedział, ofiarowała się z pomocą.

Poszli we dwoje. Kalenik wódki i kamfory kupił i odwiedzili chorą.

Spała: babskie odwary działały chwilowo. Stara nabrała dobrej myśli, uspokoił się i parobek. Poszeptali z Makuszą i, ufni w młode siły, wrócili.

Ale nazajutrz i dni następnych znowu jej we dworze nie było.

Dziewczęta i chłopcy poczuli się naśmiewać z troskliwości Kalenika: więc on już o nią i spytać się wstydził i zejść do chaty nie ośmielał i żalności okazać się bał, byle na języki całej wsi się nie dostał.

A wreszcie trzeciego dnia, gdy już termin sądu na przyszłą niedzielę był wyznaczony, a Hubenie odgrazali się strasznie, stary Huc umyślnie wyprawił go z transportem wódki do oddalonego magazynu, byle bratankom z oczu zszedł.

Powrócił w sobotę. Nie śmiał o Łucysię spytać, więc sam pobiegł, opłotkami się czając.

Cicho było w chałupie. Makuszą siedziała u okna i szyła.

A szyła krasny, cienki andarak, a na stole leżała koszula nowa, sztywne, na ramionach wyszyta bogato.

Parobek na robotę tę popatrzył i nic nie rzekł.

A i stara, jakby go nie spostrzegła, monotonnym, nie swoim głosem mówiła:

-- Nie szkoduję ja tobie, doniu, ni tkaniny, ni pracy. Ubiorę ja ciebie w najlepsze, najcieńsze. Nie ma po tobie komu brać, nie ma po tobie dla kogo chować! Naszykuję ci wszystko nowiutkie, czyściutkie.

Oddaję ja ciebie ba'kom, taj didom na dziedzinę, bratu Michałkowi w opiekę, na kniahinie do kniazów pójdiesz, detyno moja! Ni harować nie będziesz. Wiem ja, jak to szyc i jak te gody prawić, bo mi one nie pierwsze ale już Bóg dał -- ostatnie.

Gotowe twoje odzieże chędogie, za wszystkie weselnice twoja ruta na główce najdłużej ostanie. Świekra ci jej nie zdejmie, kos twych nie zaplotą, wstążek nie rozdarujesz. Mołoduchą cię ustroję na wieki wieków!

Od pościeli cichy płacz zaszemrał i głos powolny.

-- Cyt, maty, cyt! Nie mów tak! Nie chce się umierać. Lepiej ty mnie mocy skąd weź! Ja by pożyć trochę chciała. Mnie tak zdaje się, że tak ja tylko jeden dzień pożyła, tak tylko minutkę, że i nie obejrzała się, jak minęło!

Kalenik się poruszył, więc spytała, źle widząc w mroku październikowym.

-- Kto tam stoi wedle progu? Przystąpił do niej.

-- To ty! Wyzierałam ja ciebie.

-- W drodze był!

-- A, «bac! Maty mówi, że mnie już nie będzie. Popatrz ty na mnie świeżymi oczami, może ja taki zostanę jeszcze na ziemi.

On długo popatrzył i poczał głową kiwać.

-- Ni, taki umrzesz! Już w tobie żadnej kraski nie znać! -- rzekł. -- Chciałby ja, żeby ty ostała, ale nie ostaniesz. Bez pory pójdiesz, ale taki pójdiesz!

-- Moja dola, moja dola! Musi to prawda, każdy tak mówi! Maty, nie dawaj mnie andaraka, bo ciężki, lepiej płócienną spódnicę włóż! Sokoliku -- ni ba'ka, ni brata nie ma. Połóż ty mnie przykładzinę (nagrobek), taj niechaj kto piśmienny postawi na nim, że to Łucysiny pamiętnik. Będę ja leżeć, leżeć!

Tu się w niego wpatrzyła smutnie i, zapadając w odrętwienie i nieprzytomność, poczęła szeptać w malignie.

Oj, świt wstępuje,
Gwiazdy zajmuje:
Młody Kalenik na wóz już siada,
Swojej Łucysi dobranoc gada.

Makuszancka zajęczała rozpacznie, więc się dziewczyna przecknęła i, zwracając się do Kalenika, poczęła prosić, widząc, że do wyjścia się zabiera.

-- Posiedź trochę jeszcze. Mnie się zdaje, że za tobą mnie śmierć nie zobaczy!

Usiadł tedy opodal i, zwiesiwszy głowę, milczał. Po chwili w tej ciszy i coraz gęstniejącym mroku znowu majaczyć zaczęła i ciągle jej wesele, marzenie dziewcząt, po głowie się snuło.

-- Rodź tobie, Boże, złotą pszenicę, rodź białe żyto! -- szeptała i ręką ruszała, jakby po kątach chaty mężowskiej ziarna sypała. A potem zgarnęła się i jakby do kolan padała.

Przestępuj, Łucysiu, twe nowe progi; Upadnij teściom na obie nogi: Teściowie, ojcowie, nie krzywdźcie mnie.

-- Maty! -- rzekł Kalenik -- może by ona jabłuszka chciała. Ja do dworu skoczę i poproszę u pani.

-- Skocz, sokoliku! Czy ja już wiem?

-- Nie będzie jej, nie będzie! -- poczęła zawodzić stara.

On wyszedł i zatoczył się parę razy, tak go ta troska z nóg waliła.

Do pani się dostał i o jabłko poprosił, zapominając o wstydzie i swej wrodzonej nieśmiałości.

-- Dla kogóż to? spytała pani.

-- To Łucysia umiera, proszę pani! -- wyjąkał.

-- Cóż jej takiego?

-- Bóg wie. Baby mówią, że uczyna!

-- Naprawdę umiera?

-- Ale.

-- No to zaprowadź-że mnie do niej! Chłop do nóg pani padł i zapłakał.

Założono konia i ruszyli. Pani wzięła z sobą leki różne i jabłek czerwonych. Noc już zapadła, gdy stanęli na miejscu. W izbie zaduch panował straszny i upał. Przy świetle łuczywa obejrzała pani dziewczynę, rozpytała o szczegóły.

W miarę badania coraz się stawała surowszą jej twarz i marszczyło się czoło.

Widziała ona w swej praktyce długoletniej dużo, dużo wypadków, widziała kryminały. I poznała, że dziewczyna przeszła zapalenie okropne kiszek i że ratunku nie było żadnego, bo teraz toczyła ją gangrena.

Zgubiona była -- na godziny liczyła się agonია. Nie trzeba było leków. Popatrzyła pani na tę chatę sierocą, na te stroje trumienne, na tę matkę, na parobka, i nie potrafiła im kłamiwej otuchy mówić.

-- Wola Boża! -- szepnęła. Potem do Łucysi się zwróciła.

Coraz mniej pamiętna, coraz mniej bólów czująca, leżała już cicho. Spod grubej koszuli pierś jej widać było -- trochę siwą, a z twarzy tylko oczy żyły jedne; a taka chuda była, że nie więcej trzaska zajmuje miejsca, niż to ciało -- przed niedawnym czasem młode, zdrowe, piękne.

-- Skąd jej to przyszło? Zjadła co niezdrowego? Zerwała się. Jakże wam. Makuszancko, była jej nie pilnować i prędzej mi znać nie dać!

-- Pilnowała ja jej, pani jasna, jak to jajko malowane. Nie było nad nią bielszej, taj lepszej w siole całym. Cóż dobytek mój, pole moje, bogactwa moje!

Pilnowała ja jej. A co moje pilnowanie pomoże na oczy złe, na moce złe! ,,

Nie umorzył mnie Bóg w mojej biedzie, kiedym sama została, ino mi znak dał, że te bogactwa moje, te dwoje dzieciąt moich -- pożyczone tylko do czasu.

Było tak, że mi sen przyszedł, jakobym po lesie czystym chodząc, grzybki brała. A nazbierawszy fartuch pełen, poczęłam je na grzędach sadzić, a grzędy na Kniazjach były. A wysadziwszy, do domu idę aż patrzę, w fartuchu jeszcze jeden ostał taki malutki; tak się zawróciłam do tej grzędy, żeby i tego przy tamtych zostawić i zasadziłam go -- na końcu.

Mówiłam ja sen babom, a one rzeką: Nie dohodujesz się ty dziątek, nie dohodujesz. A ot -- posadziłam Michałka, a ot i tę na grzędę zaniosę, taj na końcu wetknę. Białutkie moje dziatki,

cichutkie, czyściutkie, ino że pożyczone do czasu -- aż je złe moce wezmą!

-- Jakie złe moce? -- zagadnęła pani.

-- Nie z dobrogoż dziwa to na nią przyszło. Uczynił ktoś! Zajrzeli krasy jej, czystości jej, taj zrobili, żeby nie była. Widziała ja takie rzeczy!

-- Któż zrobił? -- badała pani.

-- Na co nam wiedzieć?! Sądzenie Boże nie minie! -- ponuro rzekła baba.

Pani popatrzyła raz jeszcze na Łucysię.

-- Teraz wy prawdę zgadliście, Makuszanko! Wasze dziecko ktoś otruł! Na to nie trzeba sądu Bożego czekać, na to sąd ludzki być musi!

Kobieta rzuciła się i stanęła między panią i Łucysią.

-- Nie dam jej kroić, nie dam tknąć! -- krzyknęła. -- Nie chcę ja sądu, ni doktora. Nie powiem nic i nikomu mówić nie dam! Moja detyna, moja! Niech ją śmierć bierze, niech ziemia bierze!

Taki strach i dzikość błysnęła z jej oczu, łzami wyżartych, że pani zrozumiała nieprzeparty opór i niepodobieństwo rozjaśnienia tajemnicy.

Cała wieś stanie za nią przeciw śledztwu na zwłokach. Krzywo przysięgać będą, byle nie ruszono umarłej; wszyscy osłonią winowajcę, zatrą ślady!

Nawet Kalenik się ozwał:

-- Nie damy jej ruszyć! A to by jej w mogile nie było spokoju! Toć by ona nam nie darowała swego wstydu!

A matka zasłaniała ją ramiony, zmieniona strachem i ohydą.

-- Nikt jej nie ruszał i ruszać nie będzie! Swoją śmiercią umarła! A Łucysia leżała cicha i na szarej płachcie, ją przykrywającej, leżały jabłka czerwone. Wtem ją znowu maligna porwała. Zdało się jej, że z wiankiem dożynkowym do dworu idzie -- przodownica uznojona:

Związaliśmy snopy, postawili kopy,
Zebrali pszenicę, taj i żyto jare.
Do dom już idziemy, niosąc ci ofiarę!

Do dom też szła -- z dożynek, z dosiewek; na to życie, jak letni dzień pogodne, wieczór zachodził.

Ów szept -- ze śpiewów echo konające -- był żegnaniem, był pamiątką.

Pani rękę na głowie jej położyła, na powiekach chłodnych, poza którymi już nie terażniejszość czarna żyła, ale przeszłość bujna i zdrowa.

-- Nie ruszajcie jej teraz! Niech tak zasypia! Nie trzeba już jej nic! -- rzekła.

-- Przetrzyjmy niedzielę? -- szepnął Kalenik.

-- Może.

Wstała pani i zakryła biedną -- płachtą. A potem od drzwi raz jeszcze spojrzęła, mało co widząc przez łyzy.

A łyzy te biegły nad ciemnotą tej chaty, nędzą tej doli, dla której ona nie miała ratunku.

Nazajutrz wczesnym rankiem poczęto dzwonić w kościele. Dobiegło to wołanie Kalenika przez ścianę Hucowej sieni.

Przecknął się i siadł na ławie.

Czyżby to już na mszę wołano, a on zaspał? Ale nie: dzwony gadały inaczej, a na świecie ledwie szarzało.

Więc tak siedząc, wpólnagi, źle rozbudzony, począł dźwięki rachować i drzeć na całym ciecie. Nie mógł wstać i nie mógł niczego innego pomyśleć, ino to liczenie, które źle umiał.

-- Raz, dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście. Dalej się mylił, więc znowu zaczynał.

-- Raz, dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście.

Rachował i rachował, aż mu się zdało, że o jego czaszkę dzwonią i że go te udręczenia boją, jak razy cepa, czy obucha.

A wtem obudziła się Prytulanka w swej klitce, posłuchała i poczęła, wstając, szeptać:

-- Wiekowe spoczywanie słudze twojemu daj Boże i w królestwie Twoim go uspokój!
Amen, amen, amen!

Potem wyszła do sieni, a spostrzegając, że Kalenik nie śpi, rzekła:

-- Pomarł ktoś przeciw niedzieli. Zacuchnie komuś chata do jutra.

I wyszła. Zaskrzypiał żuraw u studni i głos Sylukowej się rozległ:

-- Nie wytrzymała Łucysia!

-- Mohe!

-- Ale! Przed świtaniem doszła! Znowu żuraw jęknął, a dzwony biły.

-- To po niej dzwonią?

-- Ale! Aż tu słychać, jak stara zawodzi. Nie weźmie już jej Kalenik! Taki on mnie sądzony.

Prytulanka wróciła do chaty. Nie odezwała się wcale i zaczęła ogień rozkładać, raz w raz nos ocierając i oczy.

Dzwony przestały wołać.

Budzili się chatni wszyscy. Ruch się poczynał świąteczny: mycie, czesanie, oblekanie czystej bielizny. W sieniach Kalenik wciąż siedział jak senny, jak przepity.

A wtem we drzwiach stanęła Sylukowa. Szła jak do swego już -- pewna, bezpieczna.

-- Masz, gospodarzu mój, koszulę czystą! A zapuścił się ty, a czarnyś! Ot, oprzątnij się na ten sąd! Na tobie i na wódkę rubla! Dobra nasza!

Śmiały się jej oczy, śmiały usta. Objęła go za szyję i pogłaskała.

-- Ciepły kwas mam w chacie! Chodź, głowę ci przyczeszę. A hody drzemać!

Karpina wyrzwał z izby.

-- Nie leż mu w oczy dzisiaj! -- krzyknął. -- Będzie dosyć czasu potem. Żeby na jego miejscu był, tobym cię kijem pognał! Idź do diabła!

Kobieta zaśmiała się i pobiegła.

Kalenik wstał jak automat, popatrzył na koszulę, ale jej nie włożył.

Machinalnie postoił ozuł, ubrał się, czapkę na oczy nacisnął.

-- Didu, ja pójde! -- rzekł do Huca.

-- Idź, tylko się nie baw! Zaraz po mszy sprawa.

-- Ale, sprawa! -- zamruczał.

Makuszanek chata bez okien stała i bez drzwi. Deszcz jesienny zabijał do wnętrza wiatr przenikliwy, pod przyzbą parę desek leżało. Do pustego cebra zaglądała Krasia, a potem zgłodniała przez okno wetknęła łeb, prosząc o śniadanie.

A pod tym oknem, na ławce, jak do ślubu strojna leżała Łucysia.

Krowa dotknęła jej twarzy, cofnęła się i zaryczała przeciągle.

Rozczesano dziewczynie włosy złote i włożono na nie wianek z barwinku i ruty; miała paciorki swe wszystkie na szyi i wszystkie wstążki. Żółte, wychudłe ręce założono jej na piersi głuchej i puste; krasny miała andarak, fartuch, nowe trzewiki.

Najbogatszej tak do ślubu nie stroją! Tylko miast korowaja kaszy misę na te gody postawiono, miast świec weselnych płonęła gromnica w jej głowach, zatknięta w czarce z grubego, mętnego szkła.

Kilka bab wzdychało. Jedne wchodziły, wychodziły drugie.

Całą izbę, podwórze, ulicę napełniało zawodzenie matki.

Był to niby płacz, niby śpiew obrzędowy.

-- Zoreńko moja, łebido moja! Ubrałaż ja ciebie, uczesała, położyła! Czegóż ty jeszcze chcesz, że tak milczysz, i nie dziękujesz i nie kłaniasz się? Jaż tobie wyprawę dała, jaż tobie łoże usłała, jaż ciebie z chaty oddaję! Tobie teraz o błogosławieństwo prosić trzeba, na swój byt jechać!

Jeszcze pobaw trochę! Jeszcze twoja komora nie zbita, jeszcze po ciebie wóz nie zajechał: pobaw trochę! Byłoby tobie w tej chacie ciepło, było tobie niegłodno. Nie krzywdził cię nikt i

teraz nie wyganiał. Twoja wola iść, twoja wola mię rzucić.

Zabierzże mnie, doniu, serdeńko, nie rzucaj mnie, doniu, zazulo! Taj nie mów, że twoja komora ciasna, taj mnie miejsca nie szkoduj! Mieściły się my w jednej pościeli dotychczas. I nie mów mi, że na twoim wozie mnie nie zabiorą: piechotą cię nagonię, bo powoli pojedziesz -- wołami czarnymi!

Oj, czarne one, czarne, te woły, kiedy ciebie ode mnie biorą! Oj gorzkie twoje weselne napoje, oj, zimna twoja komora!

Idźże, doniu, ludziom się pokłoń! Niech ta zobaczą, jaką wyhodowałam, jaką oddaję. Dał Bóg nagą i słabą kruszynę, jak muszkę. Nie spała ja nad tobą, nie jadła, piersiami karmiła, sama głodna; odzieżą okryła, sama obdarta; nauczyła roboty wszelkiej i ot, jaką oddaję. Taj powiedz ludziom, że ja ciebie nie biła i nie łajała, powiedz, zaświadczył!

Bo i za cóż ja by ciebie biła? Taka ty słodka była jak miód, a dobra jak woda, taka ty cicha była i pracowita!

Żeby ty zła była, żeby ty leniwa była, może byś nie szła teraz.

Pobaw się trochę, taj powiedz: czy tobie lepiej teraz czy ty rada idziesz?

Było w tym języku tyle grozy i tyle szalu boleści, że czuć było jak w tej piersi, w tej głowie porwało się wiele strun i dzwoniły fałszywie.

Kalenik czuł także, że i w nim coś pękło i jakby w głowie lała się krew, a pod piersiami czyniła się próżnia i zimność okropna.

Chciało mu się gdzieś iść, iść -- w jakieś błota, w piaski, żeby się zmęczyć, a zaszedłszy, gdzie by go nikt nie słyszał, wyc i skomleć jak wilk.

Ludzie tak czasem chodzą i podobno nawet skórą wilczą porastają. On takiego sam znał: uroki to były, jak mu się chata spaliła, i cały dobytek i synek jedyny. Teraz parobek zrozumiał te uroki. Rwało go coś w chaszczce, w łoży, w trzęsawiska iść, iść!

A wtem ktoś go za ramię ujął.

-- Chodź, już pora! -- rzekł Karpina Huc. -- Bał'ko już poszedł. A ot, twój rubel ze dworu! Biegnij żywo!

Ocucił się nieco Kalenik i raźniej ruszył. Napędził starego na drodze -- poszli na mszę. Hubeniów nie było między pobożnymi. Huc trącił parobka.

-- Może oni w karczmie z sąsiadami! Chodźmy! Pieniądze na wódkę masz?

-- Ale! -- potwierdził Kalenik, w zaciśniętej dłoni dławiąc zapracowanego rubla.

W karczmie było pełno gospodarzy. Siedział też cały zarząd gminny i pił.

Szczerba najtrzeźwiejszy zauważył sam jeden wejście Huca z parobkiem i dziwnie się uśmiechnął, reszta wcale ich nie spostrzegła w tłoku i dymie, ani przerwała rozmowy.

Od razu policzył stary Kornio siły przeciwników.

Wszyscy pili na koszt Sydora i powtarzali to, co on dowodził. Zacharko traktował śledziami, bułkami, Żyd biegał jak w gorączce.

Z kąta, gdzie z Kalenikiem przykucnął, patrzył po nich Huc i, pykając fajkę, spluwał pod nogi.

Przed dwoma laty, gdy Chryna i Łazaruka wybierano na sędziów, byli to ludzie niebiedni, porządni i trzeźwi. Teraz gospodarka ich upadła zaniedbana i pijakami się stali z profesji; lekki był chleb i wolna wódka.

A sam starszy, wybrany dla bogactwa i rozgałęzionej parenteli, zmienił się także. Ten nie pił i traktamentem pogardzał, ale ciężki był w interesie: pieczętki swej nie kopcił, ani głosu nie wydawał bez rubla; pisarz zaś brał tylko trzy.

Przebąkiwano, że ci dwaj potentaci targowali gdzieś o mil parę majątek. Tak siedząc i obserwując, Kornio wreszcie z cicha bąknął:

-- Nie daj, Boże, pana z Iwana!

-- Didu! -- trącił go Kalenik. -- Czy słyszycie?

-- Słyszę.

-- Nu, oni przysięgać będą!

-- Cyt! Nie słuchaj pijanego szczekania!

Ale pomimo to wstał i o róg pieca oparty zaczął na słowa większą mieć uwagę.

Sydor obdarty, zbiedzony, był obrazem nieszczęścia i wyzysku, gdy perorował:

-- Ino zważcie, ludkowie, jakie ja „skroś” żywota nędzy miał. Porzucił mnie bat'ko z kaleką w chacie. Pańszczyznę ja za niego robił, i gwałty i tłoki i szarwarki. Het na dwoje się rozrywał.

Wesele ja jemu sprawił! Stare ludzie niech powiedzą, czy kłamię!

-- Prawdę „każe!” -- kilka głosów się podniosło. -- Radziwon ino brzuch paśł, w chacie siedząc.

Tu nagle Huc głos podniósł i do starszego się zwrócił.

-- Czy to w naszym siole teraz do karczmy kancelarię przenieśli?

-- Nie twój interes. Ty nie pośrednik. Gdzie nam wygodniej, tam gadamy.

-- To i mnie wolno co rzec?

-- A pewnie! -- burknął starszyna.

-- Nu, to ja powiem, że syn u ojca jednaki, i ten, co kaleka, i ten, co prosty. Radziwona ja znał: pola on nie robił, ale zarabiał dobry grosz i pewno go nie przepijał. A chłopiec potem za niego i siebie odsłużył!

-- To niechaj chłopiec z bat'kiem się sądzi, że mu ziemi nie zostawił.

-- Alboż ja jego krzywdy chcę! -- płaczącym tonem rzekł Sydor. -- Wyhodował ja gadzinę, kiedy on nade mną litości nie ma, po sądach mnie włóczy, wstyd czyni. Nie bronię ja jemu ni chaty, ni chleba. Po cóż on mojej nędzy się napiera?

-- I pszczoły, jak się dzielą -- kąśliwe! -- sentencjonalnie pijany Chryn wyrzekł.

-- A cóż to za krzywda, gdy kto swego dochodzi! -- Huc się ozwał.

-- Wypijcie, Kornio, czarkę! -- zaproponował uprzejmie Za--charko.

-- Nie trza mi twojej czarki, ani myśl, że mnie do niepamięci doprowadzisz, jak tamtych!

-- Słyszycie, ludzie? On gada, że wy pijani! -- zaśmiał się Zacharko.

-- Jemu każdy we wsi pijak, złodziej, albo dureń -- rzekł Sydor.

Starszyna zamruczała coś niechętnie.

Gwar ucichł. Poczuli się jakby nieswoi, złapani. Szczerba oknem wyjrzał.

-- Ludzie ze mszy idą. Czas nam do roboty -- oznajmił.

Ruszyli się tedy, przyoblekając urzędową powagę. Wkoło gminy czyniło się zbiegowisko potrzebnych i niepotrzebnych. Tych, którzy czuli się winnymi i gdzieś się zaszyli, odnajdywał starosta z dziesiętnikami.

Urzednicy ponakładali medale, obsiedli stół, oddzielony od publiczności barierą, i rozpoczęły się sądy.

Były sprawy różne, krótkie: o pobicie, o kradzież, o zaległe podatki. Piątą z rzędu była Hubeniów.

Stancja zatłoczona była. Pomimo otwartych drzwi brakło powietrza, taki swąd ją nappełnił: oddechów, dymu, tytoniu, świt przemokłych i zabłoconych postoiów. Dalsi pchali się naprzód, zduszeni rozdawali kułaki, łajano się bez ceremonii.

Ze ścisku wystąpili tedy Sydor z Zacharkiem i ze świadkami, a potem Kalenik z Hucem.

Parobek wyglądał nieprzytomnie. Oczy jego wyrażały przestach i obłęd i trząśł się cały.

Chryn zapytał go pierwszy, czego chce.

-- To o ziemię! Dwadzieścia lat ja na niej robił, od siedmiu lat ja na niej robił, od siedmiu lat w pracę poszedł! -- wyjąkał.

-- Cóż? Wypędzają ciebie?

-- Ale! Ojcowego, każą, nie ma!

-- Nie! To czego ty chcesz?

-- Żeby mnie przysądzili, co moje. Dziecko małe stoi. A mnie, każą, nie ma?

-- Dureń ty. Ja tobie mówię, że stoisz!

-- Jemu chodzi o to, co w prośbie podaliśmy -- wtrącił Huc. -- On prosi, żeby mu oddano jego dział: dwa zagony pola i połowę siedziby.

-- Ale! -- potwierdził śmielej Kalenik.

-- Nu, a ty na to się zgadzasz, Sydor?

-- Żeby prawda była, toby ja bez sądu oddał, was panów radnych, nie turbując. Ino że nijakiej prawdy w jego gadaniu nie ma, na co ja świadków przedstawię, którzy moje słowa poprzysięgną.

-- Tak jest, poprzysięgniemy! -- rozległy się głosy.

-- Tak mów!

-- Jednym słowem powiem! Nie miał siły ziemi trzymać nieboszczyk Radziwon, taj raz mnie rzecze: „Ożenił ty mnie, karmił, w chacie trzymał, chrzciny dzieciom sprawiał, taj żonkę moją pochował. Znaczy -- i mnie teraz rychło schowasz, bo mnie do ziemi już ciągnie. Tak ja tobie to pole całe oddaję i tych dwoje sierot po mnie. Hoduj ty je -- patrz -- a jak dorosną między ludzi wypraw! A te cztery zagony w wiek wieków niech na ciebie idą”. To powiedziawszy przy ludziach, prędko zmarł, ale ludzi Bóg uchował na świadectwo mojej prawdy. Powiedz ty Żurawel!

-- Ale, ja słyszał te słowa!

-- A ty, Maksym?

-- A jakże, prawda jego!

-- Czemu nie rzekniecie: wódka jego? -- krzyknął Huc. -- Nie ma takiego ojca na świecie, co by własne dzieci z pola spędzał dla brata.

-- Ty co wiesz o polu, kiedy i zagona nie masz? Czego ty do nas się mieszasz! -- burknął Sydor.

-- MieSzam się, bo siła przeciw temu chłopcu, a nikt za nim. Pokażcie na papierze owe słowa Radziwona, a odstąpię.

-- Ludzka przysięga więcej warta!

-- Milczeć! -- krzyknął starszyna. -- Chłopiec lata ma, sam za siebie niech gada; hadwokatów nie trzeba. Słyszał ty, Kalenik, co diad'ko mówi?

-- Mutnia! Tego bał'ko nie uczynił i oni sami wymyślili. Boh me! Dwadzieścia lat ja to pole robił. Mutnia tylko.

-- Ty śmiesz nam kłamstwo zadawać? -- krzyknął Żurawel. -- Ja ciebie nauczę cudzych ludzi sądzić!

A Sydor na kolana padł i, palce na krzyż kładąc, wołał.

-- Żeby ja tak z tego miejsca nie wstał, jak to prawda jest! Bożeż mój, Boże! Na stare lata takiego nieszczęścia dożyć! Jaż jego hodował, jak rodzonego, a on mnie za to do naga chce obedrzyć! Zmiłujcie się nade mną, ludzie, taj nad dziećmi moimi!

-- Kiepstwo staremu się dzieje! -- zaczęli ludzie pomrukiwać.

Kalenik nic nie mówił. Nieruchomy, w garści swego rubla dławiąc, patrzył jak w obraz w twarze sądu. Usta jego wpółotwarte i oczy błędne wyrażały osłupienie, rozpacz i niemą otchłań zwątpienia.

Ile by on powiedzieć miał, żeby mógł, żeby go taki strach nie opadł i takie załęknięcie wobec tylu starszych, mądrych, potężnych.

Więc tylko patrzył i czekał.

A sędziowie poradzili się cicho i Szczerba rzekł:

-- Ty przysięgaj, Żurawel!

Żurawel przysięgnął. Z twarzy Kalenika ustępowała krew. Nagłym ruchem swiętę swą rozchylił.

-- To kiedy ich prawda, po cóż oni mnie zarznąć chcieli! -- rzekł głucho, bok swój, ledwie zgojony, pokazując.

-- A świadka na to masz? -- krzyknął Sydor.

-- Kiryków nóż świadek.
-- Ty sam nóż ukradł, żeby mego biednego chłopca ogadać!
-- To do sprawy nie należy -- pisarz się wtrącił. -- O pobicie, jeśli świadków masz, podawaj osobno prośbę!
-- Przysięgaj Maksym! -- starszyna rozkazał.
Przysięgł Maksym.
-- Zginęli my, didu! -- szepnął Kalenik.
-- Zobaczymy koniec! -- mruknął stary Huc. Sędziowie poczęli między sobą szeptać.
-- Mirem kończcie! -- zaproponował Łazaruk: -- Pięciu was jest w chacie, na pięć części się podzielcie! Weźmiesz piątą część, Kalenik?
-- Jaką piątą? Ja im nie brat rodny, ja z Sydorem równy gospodarz! Połowa moja. Mutnia ta cała bajka -- i grzech ich przysięga! Dwadzieścia lat ja był, to i zostanę!
-- Nu, to nie chcesz?
-- Ni!
Znowu się sędziowie naradzali, a potem pisarz zaczął pisać.
Zrobiła się cisza. Wyciągali wszyscy szyje, a Kalenik rękawem pot z czoła otarł. Huc tylko był spokojny, bo niczego dobrego od tego sądu się nie spodziewał.
Nosowy głos pisarza przerwał milczenie.
Mało co Kalenik słów rozumiał -- huczały mu tylko. Dopiero koniec wstrząsnął nim „Pretensje Kalenika Hubeni sąd odrzuca i opłacić powinien 37 i pół kopiejek na kapitał mirski...”
Starszyna u spodu dokumentu pieczętkę kropnął -- w izbie wrzawa powstała. Hubenie rzucili się do drzwi.
-- Zginął ja! -- wyjąkał Kalenik.
-- Nie bój się! Pójdziemy do zjazdu. Idź tymczasem do domu, ja kopię wyroku wezmę! Nu, łajdaki -- nu złodzieje.
Wypchnięto Kalenika za barierę, tłok go wypchnął na dwór.
Zewsząd opadły go drwiny i docinki, lub ostra krytyka starszych.
Zgarbiony poszedł ku wsi, wlokąc nogi, jakby mu trzydzieści lat przybyło. Tak słabym się czuł, że stawał często i połą twarz z potu ocierał.
A w głowie ciągle jedna mu myśl wirowała:
-- Zginął ja! Zginął ja!
Tak zaszedł do wsi, minął Huców chatę, minął Hubeniów, sam nie wiedział, kędy dążył.
Wreszcie na karczmę popatrzył i wszedł. Zmiętego, rubla na stole położył i, chrypiąc, rzekł:
-- Za całego!
I usiadł ciężko na ławie.
Szary październikowy dzień dobiegał końca. Drobniutki deszczyk rozgrzeził do gruntu ziemię i wszystko: niebo, domy, ludzi, drzewa pociągał mętным tumanem.
Bydło „głodne wracało, rycząc, do obór i surmy rozpoczynały wieczorny koncert. Jedna, dwie, potem kilkanaście razem jęczało swą monotonną, minorową skargę. Karczma była pusta i dla jednego gościa nie zapalano światła. Siedział Kalenik w kącie i pił wódkę jak wodę, dziwiąc się, że go wcale nie upija, tylko grzeje i daje dziwne siły.
Siedział tak może godzinę, może dwie. Zaczęli się ludzie schodzić, ten i ów go zaczepił, on odpowiedzieć chciał, ale żadnego słowa nie pamiętał.
-- Co jemu? -- ktoś rzekł. -- Jak nie człowiek patrzy!
-- Przystąpiło coś do niego!
-- Nie rusz! Może się wściekł!
Został sam w kącie. Mało co wódki zostało w garnku, już też i ludzi nie widział. Zdało mu się, że gdzieś idzie przez pustki, przez czahary -- a siłę czuł okropną.
Otworzono drzwi: wionął ku niemu chłód i te słowa, które nie wiedział, kto mówił:

-- Dajcie, Zundel, wódki kwartę, na kredyt!
-- A na czym?
-- Makuszanki! Dla bab tych, co przy Łucysi nockę przesiedzą. Już i matka jak nieżywa przy niej leży.

-- Będą rano „chowali”?
-- Jak tylko trumnę zbiją.
Żyd dał wódki bez zastawu nawet, a chłopci poczęli o dziewczynie mówić.
-- Taki co szkoda, to szkoda! Dobra dziewczyna: byłaby komuś gospodyni, byłaby komuś żonka. Bez pory śmierć wzięła.

Nisko, bardzo nisko opadła głowa Kalenika; z nagłą ociężała i bez dźwięku poczęły się wargi ruszać.

-- Łucyś! Łucyś! Moje złoto! Nie ma i ciebie, nie ma! Zginął ja, zginął!
Niepewną ręką po czarkę sięgnął i wypił. Jak wielka burza występowały mu z głębi wszystkie bóle i męki. Była ich moc i wreszcie mieścić się nie chciały. Nie wiedział, gdzie on dawny się podział -- nie ten ci był. Mękę nieznośną ogniem zalewał, zmieniała się w szaf.

Znowu drzwi się rozwarły, a na niego chłód buchnął kłębem. Wszedł jakiś parobczak, z weselem i ze śmiechem oznajmił:

-- Ot, zabijają się u Hubeniów, jakby żyto młócili.
-- A któż?
-- A to Hannę precz gonia!
-- Przyszła?
-- Ale! Wiadomo: jak wesele we wsi, a zima nadchodzi, to ona wraca, szelma! Żle tylko dzisiaj trafiła. Pijani wszyscy po sądzie, a takie to pyszne, że i nie przystępuj! Także ją biją, a biją!

Kalenik wstał. Spojrzeli wszyscy na niego i ustąpili z drogi. On nie szedł, lecz sadił jak łoś przez błoto, przez ogrodzenie, na krzyk okropny, który głużył i surmy i weselne wycia. Hanny nie zobaczył. Zwalili się na nią wszyscy, bijąc, kopiąc, obrzucając błotem. I słyhać było:

-- Do siebie ty przyszła, na ojcowskie! Na, sobie -- na, tobie!
Twoja ziemia -- na, jedz ją, jedz! Twoja chata: smakujże jej -- używaj!
Kalenik kół z płotu jednym zamachem wyrwał i, zanim go spostrzegli, z sił całych w gromadę go puścił.

Raz był wściekły. Zwinął się pod nim Kiryk, tknięty w głowę, zapiszczał Sak, upadła Tatjana.

A on już drugi porwał i Zacharka po nogach poczęstował, a potem do Sydora dopadł i za gardło go chwycił, pod nogi swoje rzucił, jak robaka wdeptał go w błoto.

Rozstąpili się wszyscy i wtedy pokazała się w błocie kupka szmat i ciała -- nieruchoma: była to Hanna.

Ale Kalenik jej nie widział swymi krwią nabiegłymi oczyma. Wpadł do sieni, siekierę chwycił, począł rozbijać, czego dotknął. Zrobił się rumor okropny. Wyleciały z brzękiem wszystkie okna, waliły się sprząty, lampka spadła na ziemię i zagorzała szeroko nafta, w drzazgi poszła dzieża karmicielka.

Oprzytomnieli Hubenie i ruszyli gromadą na szaleńca. Rozpoczęła się bójka na pięści, w ciasnej izbie, w ciemności.

Kalenik żadnego dźwięku nie dobył z gardła; zgraja ta nie mogła mu podołać, padali jak snopy, a on ich deptał, dławił, kasał.

Wtem stanął raptownie, jakby paralizem tknięty, zachrapał, ocknął się -- na podwórze wyskoczył.

Kupka szmat i ciała leżała zawsze na tym samym miejscu. Tracił ją nogą -- nie ruszyła się; dotknął -- była zimna. Wtedy się wyprostował; wokoło krwawymi oczami popatrzył -- po siedzibie, po chacie, po gumnie, i nagle zawył, zaskowyczał raz i drugi.

-- Aauu! Aauu!

Łyska, łaszący się mu do nóg, odskoczył i zajadle zaszczał.

A parobek dłońmi się za gardło chwycił i zaskowytał raz jeszcze.

Po całej wsi odpowiedziały mu kundysy. Teraz szalenie dał sus dzikiego zwierza, przesadził płot i na polu się znalazł. Z oddali raz jeszcze rozdrażnił psy wioskowe skowyt niby wilczy, potem wszystko ucichło.

W bród przez rzeczkę, przez piaski Kniaziów, w chaszczce, w trzęsawiska, w łozy darło się coś -- niby człowiek, niby zwierzę -- i szło, szło bez celu, bez czucia, wyjął czasem nocy tej czarnej, strasznej złowrogą pobudkę.

Listopad

Jednego dnia pochowano Łucysię i Hanne, obie jak do ślubu strojne i obie „bez pory” -- jak mówiono.

Pokończyły się też wesela, wybrano rekrutów, baby do przedzenia się wzięły.

Czarno było od nieba do ziemi, aż wreszcie począł śnieg padać i nagość tę wstrętną pokrywał całunem.

O Kaleniku wieść zginęła. Jeden tylko Iwan Żurawel przysięgał, że go widział, gdy po łożę jeździł.

Sierścią wilczą był porośły i na czterech nogach biegł a oczy mu świeciły zielono: ujrawszy parobka, zawył i uciekł.

Huce szukali go wszędy i z dworu czyniono obławę -- bezskutecznie.

Przepadł też bezpowrotnie jego termin apelacji: więc Huc sam od siebie prośbę posłał, nie dając sprawy za wygraną.

Pewnej nocy do chaty Czyruków przyszedł sąd -- ów sąd, o którym Makuszancka mówiła.

Ze snu przecknął się znachor. Tychon go wołał jakimś zalękłym, tajemniczym szeptem.

-- Bał'ku, ho, bał'ku!

-- A co tam?

-- Łucysia do mnie przyszła!

Stary siadł na pościeli.

-- Co ty gadasz?

-- Boh me, prawda! Nie widzieli wy?

-- Co tobie się roi? Rozbudź się!

-- Jaż nie śpię. Toż ja ją trzymał i pieścił.

Parobek mówił zupełnie trzeźwo tylko trochę żywiej niż zwykle. Podniecony był widocznie.

-- Będzie godzina, jak przyszła. Zastukała do okna i zawołała. Otworzył ja jej, taj mówię: Skąd ty? Toć ciebie schowali! Nie -- mówi -- dla drugich schowali, a nie dla ciebie. Dla ciebie mnie pięknie ubrali, jak twój bał'ko chciał: nikomu nie będę, tylko tobie. To i przyszłam!

Wpuścił ją do siebie, ogrzał, bo zziębła była, i tak godzinę ze mną bawiła. Nie chciałem całkiem puszczać, ale do matki chciała się dowiedzieć i wrócić obiecała.

Znachor przerażony słuchał. Zapalił światło i do syna podszedł. Nie spał i dziwnie świeciły mu oczy, zresztą żadnej choroby znaku nie było.

-- Boli ciebie co?

-- Nie. Rozbudził się tylko całkiem i jakoś bardzo serce bije! Dziw, że wy nie słyszeli, jak my z sobą gadali. Dobra ona teraz dla mnie i lubi, lubi!

Stary nic nie odpowiedział, dał mu tylko czegoś się napić i spać przykazał.

Sam już się do rana nie położył, nasłuchując oddechu syna.

Dzień przyszedł i minął jak inne. Tychon robotę swą robił, rozmawiał, śmiał się nawet, jadł, co mu dano, o śnie nie wspominał.

Pod wieczór dopiero raz w raz w okno wyglądał, jakby czegoś czekał niecierpliwie.

Legli spać -- znachor czuwał. Około północy ze zgrozą postyszał szeptem prowadzoną rozmowę -- monolog raczej, bo tej drugiej osoby, której Tychon odpowiadał, ni słysząc, ni widząc nie było.

-- Nie bój się, bał'ko cię nie przepędzi! Śpi on. Nie mówić mu o tobie? Dobrze! Słowa nie powiem. Ale ty w nocy przyjdiesz! Chłodnaś, ogrzej się! Kosy twoje deszcz przejął. Przytul się do mnie!

Cisza potem zapanowała, a stary znachor jął zakłęcia mówić w myśli:

-- Miesiąc na niebie, dąb w lesie, kamień w wodzie. Jak ci trzej bracia zbiorą się razem do

jadła, napoju, wtedy niech umarli chodzą do żywych.

Godzinę, dwie to trwało, a potem znowu szept Tychona się rozległ:

-- Kiedy tobie pora się wracać, to wracaj, zazulo. Pocieszyła ty mnie, polubiła. Na nockę ja się teraz raduję jak na gody. Twego przybycia wyglądam!

Znachor w stronę tę cisnął nożem, ale ostrze przebiło próżnię i zadzwoniło o ścianę.

-- Co to? -- Tychon krzyknął. Czyruk zapalił lampkę.

Syn leżał na wznak na pościeli, potem zimnym oblany i dyszący, jak po wielkiej męce. Oczy miał bezmiernie rozwarłe i w jeden punkt utkwione.

-- Co tobie, synku?

-- Nic. Zmęczył się!

-- Znowu ty coś widział?

-- Ale! Przychodziła ona i co noc już obiecała chodzić! Z trudnością odpowiadała.

Świecy nie gasząc, przesiedział nad nim ojciec do ranka.

Znowu dzień minął. Tychon pracował, ale niechętnie, zadumany i blady. Jadła nie tknęła i gorączkowo świeciły mu oczy.

Gdy noc przyszła, Czyruk światła nie gasił, w okna pozabijał noże, sznurek jakiś na progu położył -- i czuwał.

Tychon zasnął i spał godzin kilka. Zdawało się starymu, że złe moce zwojował, gdy około północy parobek na pościeli siadł, gdzieś daleko wzrok wyęzając i słuch.

Potem się zerwał na równe nogi.

-- Czego wy siedzicie, taj światło palicie? Idźcie spać, idźcie! -- wołał, do lampki rękę wyciągając.

-- Kładź się! -- krzyknął ojciec.

-- Odczepcie się ode mnie! Co mi na złość czynicie? Ona--że za oknem stoi i woła, żeby noc zrobić w chacie! Przyszła już, a wy ją za drzwiami trzymacie! Jej teraz godzina i moja! Zostawcie nas!

Lampkę ze stołu porwał i zgasił. Czyruk za ręce go wziął i ku posłaniu popchnął. Ale młody wściekłą miał teraz siłę i aż drżał cały.

-- Zostawcie nas, a nie to ja pójde do niej, gdzie zechce! Jej to godzina. Cicho! Już idzie!

Znachor upadł na ziemię zgnębiony i znowu izbę napęłniły szmery miłosnej rozmowy -- zgrozy pełne dla słuchającego.

I znowu dzień przyszedł. Tychon w oczach nikał i czerniał, do jadła miał wstręt. Ciągłe tylko nocy wyglądał, chwilami trzęsąc się jak w febrze, nie słysząc, co do niego mówiono, zmorą opętany.

Czyruk dawał mu zioła różne, okurzał, szeptał; ale noc następna do tamtych była podobna, gorsza, bo po niej zostało większe wyczerpanie i osłupienie na parobku. Wstręt miał znachor ludziom się przyznać i rady prosić -- on, najmądrzejszy; bał się też światłem i czuwaniem chorego gorzej rozdrażniać. Wziął tedy maku czarnego i ostry kołek i poszedł tajemniczo na Kniazie.

Wynalazł pod śniegiem Łucysiną mogiłę.

Znać ją było po fartuchu wyszywanym, który matka zawiesiła, po paciorkach opasujących ramię krzyżaka, po śladach Makuszanki świeżych.

Znachor wokoło makiem ją osypał i w środek kopczyka wbił swój drag ostry. Oparł się o trumnę, więc go siekierą wbił głębiej, na wskroś ciała, aż się cały w ziemi schował. Potem ślady swego czynu zatarł i odszedł. Ale w nocy ta zamordowana, po śmierci do ziemi przygwożdżona, znowu przyszła do Tychona. Wypijała mu krew z twarzy, zabierała moc całą, dławiła go w piesczotach. Nie miały nad nią już władzy żadne czary. I ujrzał znachor, że to zguba po niego przyszła i upokorzył się okropnie, byle to jedno kochanie swoje ratować.

Poszedł do Makuszanki.

Został staruchę, siedzącą beczynn timer u komina, nad przęśnicą lnu pełną.

Może myślała: po co prząść?... Ujrzawszy go, nie pozdrowiła, ani wstała, ani nawet nie okazała żadnego uczucia.

Sięgnęła tylko po wrzeczono i przędła.

-- Czemu to wy za Łucysię waszą „stołu nie odprawicie” (nabożeństwo żałobne)? -- spytał ponuro.

-- W czystości kto pomarł, „stołu” nie potrzebuje -- odparła bezdźwięcznie.

-- A widać, że potrzebuje, kiedy w mogile spokoju nie ma i do ludzi chodzi.

-- Żeby mszy chciała, to do mnie by przyszła. Kiedy chodzi, to wie, do kogo, i po co! -- rzekła baba, dziko nań spoglądając.

-- Wy jej chodzić zabrońcie! Matki posłucha. Dziesiąta noc jak mego Tychona męczy!

Makuszancki twarz skurczyła się strasznie.

-- Chcieli wy jej za synową przecie! Otruli, żeby niczyją nie była. Teraz czego chcecie? Waszej woli „ten” posłuchał. Macie synową! Na własny byt ode mnie poszła! A wy czego tutaj? Może i mnie chcecie? Oj, przyjdę i ja do was kiedyś -- przyjdę! A teraz idźcie!

Wstała taka strasznie groźna, że znachor uszedł sprzed jej oczu, z tej chaty osieroconej.

Pomimo tajemnicy wieść o chorobie Tychona niejasna przedarła się do wsi.

Ludzie zachodzili do nich i ciekawie się przyglądali, baby bajały straszne dziwa.

Czarodziej sponurzał do reszty. Cały dzień na ławie siedział, bijąc się z myślami. Ludzi, przychodzących po poradę, zbywał burkliwie, do gospodarstwa nie wychodził, przestał jeść, warzyć, bo nikt nie jadł.

Odwiędził go raz Sydor Hubenia, prosząc o pożyczenie kilku rubli.

-- Ja powiem, co waszemu chłopcu jest -- szepnął konfidencjonalnie.

-- Powiedz! -- gorączkowo Czyruk spytał, pieniądze wyjmując.

-- Uczyna to jest Huców. Zrobiła Prytulanka za owo chomąto. Pamiętacie? Słyszał onegdaj Kiryk, jak Karpina mówił: „Pomrze Tychon za mój półszorek”, a Prytulanka dodała: „Ale, synku, na niego padło, taj zostanie tak!”

Znachor nic nie odrzekł.

Znowu siedział bezradny i na syna patrzył, który wychudły, czarny, do widma raczej niż do żywego człowieka podobny, w okno spozierał na mroźny i jaskrawy dzień.

Przyszła straszna północ, a z nią zmora.

-- Zazulo, serdeńko -- dyszał Tychon -- całujesz ty, jak ogień, tulisz, jak wąż! Ja by tak chciał umrzeć z tobą, nie rozstawać się, nie czekać, Łucysiu złota!

Wtem światło błysło i stary z nożem wzniesionym do posłania syna poskoczył. I zaczął się bój człowieka z widmem. Nóż błyskał, rył posłanie, powietrze, ścianę, rozdawał w tę próżnię razy wściekle, ślepe, podczas gdy ręka lewa chwyciła powietrze, dławiała je, ciskała pod nogi, a z ust wykrzywionych szła piana.

Tychon, światłem jakby sparaliżowany, zajączał nagle i, w pół ciała się podnosząc, ojca za gardło chwycił.

-- Krew, krew, krew! -- krzyknął i upadł na podłogę bez czucia.

A znachor to niewidzialnie zabijał, coraz dalej ku drzwiom pędząc.

Przy mdłym świetle lampki ten bój z nicością, w ciszy w milczeniu, trwał, zda się, wieki, aż u progu stary broń swoją po rękojeść wbił w drzewo i załamał, a sam tamże legł w poprzek drzwi na ziemi, z rękojeścią w dłoni, pilnując spokoju syna, wyгнаwszy to widmo mściwe.

Ale rychło go z ziemi poderwał strach. Jak padł, tak leżał parobek. Wziął go ojciec na ręce. Ni to żywy był, ni to martwy. Tak się giął, jak łoża, a gorący, że aż ręce parzył.

Położył go stary na posłaniu, jał wodą oblewać, do ust wódkę lać. Przecknął się, ale tylko ręce do głowy podniósł.

-- Boli, boli, piecze! -- zastękał i umilkł, krzywiąc się i dysząc. Do rana gorączka go objęła zupełnie.

Bredził, rzucał się, to zamierał, a wciąż mu zasłyszany wyraz Hubeni tkwił w mózgu.

-- To za chomąto. Huc mnie zaklął.

-- Ratuj, baćku! Boli, boli!

Nie było już zmory, ale za to wpełzła śmierć do boju z Czyrukiem.

Siedem dni i siedem nocy bił się z nią stary.

Leki, zioła, zaklęcia, wszystkie swe moce zużył, wszystkich znachorów i baby sprowadził, każdego się radził, całą naukę wypróbował, a Tychon zamierał, zżarty chorobą -- i wreszcie pewnego dnia zobaczył znachor, że go nie uratuje.

Wtedy dopiero myśl mu przyszła jasna.

Chce śmierć łupu, to on jej inny da, on jej wykupi Tychona!

Wśród nocy to doń przystąpiło, ten układ, ta zamiana, a gdy ranek błysnął, już był zdecydowany.

Wyszedł na podwórze i, jak co dzień, bydła dopatrzył. Koniom obrok zasypał, wołom najlepszego siana za drabinę wrzucił, a potem u studni je napił.

Spełniwszy robotę w komorze, ze ściany kosę zdjął, koniec jej ostry w ręku odłamał i jeszcze na brusie odtoczył.

Do chaty nie wracając, ruszył za wrota drogą ku Kniaziom.

Mróz był tęgi i śnieg spadł świeżo, a słońce ledwie wschodziło.

Na wzgórzu znachor raz się obejrzał.

Dymy szły z chat oprócz jednej. Tam Czyruk ostatnie spojrzenie rzucił i coś zamruczał, ręką kiwając.

Potem, gdy już przed grobową kaplicą stał, znowu ten ruch powtórzył i wyraźnie rzekł:

-- Nu, chodź, bierz mnie! Nie jemu zaglądać w oczy ino mnie!

Na, masz!

Położył się w śniegu, brodę o próg kaplicy oparł i gardło wyprężył.

Wtedy ukrytą w rękawie kosę silnie w palce ujął, oczy przymknął i ciał sobie straszliwie po krtani, i ostatnim odruchem żelazo daleko od siebie cisnął.

Bluznęła krew strugą, strumieniem, a podczas gdy tak biegła, ciało się wyprężyło, oczy poczęły się otwierać coraz większe, większe, aż prawie wyszły z orbit i, wlepione w drzwi trupiarni, zastygły. Krew zastygła też szeroką kałużą i całe ciało przybrało kształt rozkrzyżowanego drewna, a usta się wykrzywiły szydlerczo.

I tak leżał wobec wschodzącego dnia.

Po paru godzinach odwiedziło go kilka wron zgłodniałych. Siadły wysoko jeszcze na wierzchach sosen i, przekrzywiając łby, krakały.

A potem od wsi pies jeden zawył, potem drugi i trzeci. Wybiegały na drogę, węszyły i lamentowały żałośnie.

A właśnie tego ranka Sylukowa wybierała się po drzewo do lasu.

Biadając na swą dolę wdowią, założyła klacz do sani, okutała się i, powierzwszy dzieci Hucom pod opiekę, pojechała.

Za nią kilka psów pobiegło nasrożonych. Naprzeciw Kniaziom stanęły, podkurczyły ogony, śnieg łapami odrzucając i lękiem zdjęte.

Nadjechało więcej sań.

-- Widzicie, co psy dokazują? -- zawołała baba.

-- Ale! Coś czernieje przy kaplicy: może wilka ktoś postrzelił i tutaj doszedł.

-- A pójdźmy, zobaczmy! Sylukowa klacz zacięła.

-- Ja się boję! -- krzyknęła i uciekła. Jechała sporym truchtem aż do straży.

Tam kupiony we dworze kwit oddała i prosiła, prawie płacząc, by jej wydano gotowych gałęzi, bo sama nie urąbie.

-- To jedź aż na Czerteże, przy borsucznych jamach, tam „wależ” znajdziecie. Nikomu tam nie dajemy. Ale co mam z tobą robić?

Z tym ją strażnik odprawił.

Babie straszno było tak daleko jechać, ale nadrabiała rezonem.

Las знаła, bo za grzybami go schodziła z końca w koniec.

Ruszyła więc zrazu bitym szlakiem, potem zasypanymi śniegiem drózkami, którędy tej zimy nikt jeszcze nie jechał.

Z daleka zabelowały piaskiem borsucze jamy; uradowała się, że tak dobrze trafiła.

Przy stosie zwalonych gałęzi postawiła klacz i poczęła drzewo na sanie ściągać.

Wtem gdzieś za nią sucha gałąź zatrzeszczała. Kobieta krzyknęła strasznie, obejrzała się i wrzasnęła raz drugi.

O kilka kroków od niej pod sosną coś wielkiego stało, człowiek wysoki, chudy, czarny, łachmanami okryty.

-- O Jezzu! -- jękała Sylukowa, czując, że zamiera z lęku, i człowiek się widocznie przestraszył, ale nie uciekał. Z kudłów i zarostu tylko mu oczy widać było o mgławym, tępym spojrzeniu.

-- Kalenik-wilk -- pomyślała i przeżegnała się.

Jednakże kłamał Iwan Żurawel. Ni sierścią nie był porosły, ni na czworakach chodził. Jak wszyscy ludzie stał, trochę tylko naprzód podany, i nie jak zwierz patrzył.

Począł tedy kobietę lęk odstępować, a budziła się ciekawość.

-- Kalenik! -- krzyknęła. -- Kiedy ty nie wilk i nie umarły, to „pochwalony” powiedz!

-- Pochwalony! -- ozwał się głos głuchym szeptem.

-- O, Jezu! Jak ty mnie przestraszył! Skąd ty idziesz? Gdzieś był te wszystkie czasy? Chodź bliżej! Naści chleba!

Zbliżył się i podany chleb zaczął jeść chciwie.

Patrzyła na niego już zupełnie uspokojona. Lubiła go i za swego przywykła uważać, uciecha ją ogarniała z tego spotkania, z tego, że tak jadł zdrowo jak człowiek, nie jak zwierz.

-- Siądź na saniach! -- rzekła, a gdy usłuchał, śmiejąca się już siadła obok niego.

-- Pokrzep się, a potem pomóż gałęzi zebrać, a potem ze mną wróć do siola!

Skinął głową, nie przestając jeść.

-- Taj zostań już u mnie!

-- Dobrze! -- rzekł apatycznie.

-- Po Narodzeniu się pobierzemy.

-- Jak sobie chcesz! Mnie jednakowo!

-- A już więcej nie pójdziesz -- het?

-- Nie. Zmęczył się i ustał.

-- Zdążasz co robić?

-- Czemu? Trzeba robić.

Zjadł chleb i kruszyny skrzętnie pozbierał. Potem wstał, klacz obejrzał i gałęzie począł zwlekać, powoli, automatycznie.

Nie odezwał się więcej do kobiety, jakby jej gadania nie słyszał, jakby go nie dotykały dzieje wsi, przez ten miesiąc przeżyte, jakby odstał od niej zupełnie.

Nie odpowiadał też, gdy go pytała o jego życie przez ten czas, a może i sam nie pamiętał, gdzie był.

Ładował furę tak spokojnie, jakby po to do boru przyszedł, a sam miał w twarzy bezbarwny, tępy spokój i apatię.

Skończył robotę, siekierę za pas zatknął, klacz założył i, cugle trzymając, poprowadził furę pieszo, podczas gdy kobieta, na wierzchu jej przyczepiona, śmiała się i gadała.

Wyjechali z lasu o zmierzchu.

Kalenik nawet ku wsi nie spojrział, na śnieg mając oczy utkwione, na ślad sani.

-- Dywy! -- krzyknęła Sylukowa. -- Widzisz? Na Kniazjach ogień się pali!

-- Czart pali! -- mruknął.

-- Oj, boję się! Co to takiego?

Coraz bliżej byli i coraz wyraźniej płomień przez sosny błyskał.

Kobieta zaczęła głośno się modlić i pluć na wsze strony. Dzwoniły jej zęby.

Naprzeciw cmentarza kilkoro ludzi stało.

-- Oj, Boże mój! Co tu się robi? -- krzyknęła.

-- A to Czyruka wartujemy! -- obojętny głos odparł.

-- Cóż jemu? Pomarł Tychon?

-- Tychon pozdrowiał, mówią! Żyw będzie! To stary szelma się zarznął i leży. Na sąd czekają. My warta!

-- Och, Bożeż mój, Boże! Na śmierć się zarznął?

-- A jakże! Psia dusza jego! Takiej chryi narobił! Na ten mróz przy trupie całą noc wartuj! Nawet zasnąć straszno!

-- Uciekajmy, Kalenik! -- szepnęła baba. -- Czuł ty? Szczęście, że ja ciebie znalazła! Za nic by w chacie sama nie nocowała.

-- Czego? -- obojętnie parobek odparł. -- Umarły rad, że leży i odpoczywa. Ziemia jego, chata jego, wszystko jego. Durny by był na świat wracać!

-- Bywa, że wraca! -- tajemniczo szepnęła baba.

Kalenik nic nie odparł, a Sylukowa się bała po nocy o takich rzeczach mówić.

Od wsi w nozdrza parobka zaleciał zapach chleba i dymu, ale noc taka była ciemna, że on chat, a ludzie jego nie widzieli. Wracał tedy, już uspokojony, ostygły, już hartowny na żywot cały -- zmarły dla wszystkich dum, pragnień, walk. W jarzmo kładł kark zgięty, aby go już więcej nigdy nie wyjąć, nigdy nie wyprostować.

Grudzień

Stała zima twarda, krzepka, potężna. Zagwoździła rzeki, pola, zamurowała ludzi po dusznych chatach, pokurczyła bydło, zabierała też dzieci, co jej oprzeć się nie miały mocy.

Drobiazg ten najzuchwalej jednak jej uragał.

Błoto po rowach zamarzło gładko, a z chat pędzano dziatwę o byle co.

Bose, w koszulinach tylko, chrypiące, rączki chowając w rękawy, wybiegały na ten lód i wyslizgiwały go na lustro.

Bardzo zziębnięte podnosiły to jedna, to drugą nogę, kuląc się, jak gęsi i psy, zabaw tych spektatorów i towarzysze.

Więc często taki bohater wieczorem kładł się w gorączce, a w tydzień potem wyjeżdżał na Kniazie ---- panować.

Składano to na złe czyjeś oczy i przeklinano sprawcę, pijąc na pogrzebie.

Ruszyli chłopcy po siano na Perechreście, wzięły się baby do przędzenia.

Co wieczór widać je było, przemykające z prząśnicami, do jakiej chaty dużej i światłej -- na „poprady” i gawędę.

Dziewczęta lubiły chodzić do Huców, gdzie Karpina z nich żartował i śmieszne zagadki i śpiewy wymyślał. Zachodzili też tam różni ludzie do Kornila i zostawali przy kompanii.

Kobiety starsze wołały bywać u Sylukowej, bo chata była bardzo ciepła, a baba ciekawa, gadatliwa i wesoła.

Nie skąpa też. Nie żałowała ciepłego kwasu z dzieży, ani kwaśnej kaliny, której pęki zdobiły pułap.

Czasem, jak się rozochociła, nawet żuru misę postawiła dla wszystkich, niby na jakie święto, czy gościnę. Bajano tu kronikę całej wsi: gdzie kto umarł i z czego, gdzie kto się urodził i jak kto żonę bije i za co, kto co ukradł, kto strachy widział, kto ile płótna mieć będzie, kto się dzieli, kto pijany był, kto o weselu zamyśla, kto już chleb kupuje.

Długie wieczory wypełnił Czyruk swą śmiercią, potem Kalenik swym powrotem. Przesuwali się też wszyscy po kolei: Łucysia pracowita, Hanna rozpustna, Hubenie kłótlivi, pijak Chryn, Tychon wyleczony zupełnie, Kiryk, co się na „nastawnika” kierował, Huce „Łaszki” dworskie.

Sylukowa nienasycona była wieści, a baby ze sto razy powtarzały jedno.

Z największą jednak lubością opowiadały, jak je mężowie biją.

-- Jak co bądź „naprzeciw” powiem, to i łupi. Tak nagrzej, że aż ha!

-- Mój to i nie czeka, aż co powiem! Ot, lekką garść ma! Zaraz za łeb, taj o piec!

Wtedy Sylukowa smutniała upokorzona.

-- Nie zaczepił mnie mój jeszcze ni razu. Nieboszczyk to bił co wieczora -- ten, nie.

-- I, i, i! Wiadomo: z początku, taj bez ślubu. Jeszcze mocy swej nie czuje! -- pocieszały ją baby.

-- Tak i ja myślę! -- śmiała się głośno.

Siedziała zwykle przy piecu, mając pod ręką kołyskę z najmłodszą dziewczynką; dwaj starsi chłopcy tarzali się u jej nóg, na toku.

-- Nie ma jego doma? -- spytała któraś baba.

-- Po siano pojechał. Prędko wróci!

-- Oj, gospodarz on, gospodarz! W siole lepszego nie ma. Starający, trzeźwy, dla bydła jak ojciec. Zmarnieją Hubenie bez niego. A łagodny, a cichy. Dziecka nie skrzywdzi, prosięcia nie uderzy, a słucha mnie jak matki.

-- Wilkowaty tylko się stał. Nikomu, spotkawszy, „pochwalony” nie rzeknie i nie zagada.

-- Ale, prawda! Biegała ja do kabalarki, pytać się, czy odejdzie. Powiedziała, że latem od ciepła całkiem pozdrowieje.

-- I pewnie! Zrobił to jemu ktoś, do pory. Odejdzie.

-- To w Łucysynych koszulach, co mu szyła, uczyna była. Jaż je zebrała i po drogach rozrzuciła, żeby kto podjął, taj na niego przeszło! Ni jednej nie zostało! Naszyła ja jemu nowych, długich i cienkich.

-- A, a! -- pokiwały głową baby nad takim zmarnowaniem płótna.

-- A chudyż był, chudy! Odpasłam go trochę, a wieprza wy--karmiłam na wesele. Będęz ja go potem samą słoniną karmiła, żeby najgładszy z wszystkich się stał.

Baby poczuły, jak im ślina przybywa od myśli o tej słoninie.

Wyciągały długie nici i wzdychały z zawiści.

Wtem dzieci uczyniły wrzawę, bijąc się trzaskami po głowach, a niemowlę zapiszczało w kołysce. Nie przestając prażyć, Sylukowa jedną nogą kopnęła chłopców, drugą rozbijała kołyskę i zaśpiewała z cicha:

Oj, w siole nowym, oj, w siole
Hulali kozaki, hulali.
Oj luli, luli!

Jeden Stepan śmiały,
Drugi Hnat wesoly.
Oj luli, luli!

Trzeci Wasyl miły,
Miły, taj „śpiwliwy”.
Oj luli, luli!

Dziecko płakało wciąż, więc do piersi je wzięła i, karmiąc, śpiewała dalej:

Siedzi sam na stole,
Skrzypki sobie stroi.
Oj luli, luli!

A baby tymczasem, głowami się stykając, szeptały:

-- Umarły Kalenik był i dusza Czyruka w niego wskoczyła, taj ożył. Przez to on taki nieszczęśliwy teraz! Bez „uczyny” nikt płótna nie marnuje, ni słoniny. Tyle dobra! Tyle dobra!
Oj, oj!

Przeżegnały się spieszenie kilka razy i znowu przędły, wzdychając.

-- Mój wieprz niedobrze się pasie! -- któraś zaczęła. -- Przebiera, nudzi, ryje.

-- Musi niezdrówy we wnętrzu!

-- Od Chryna kupili, a u niego ręka złota!

Posypały się opowieści o wieprzach z równą lubością, jak o mężowskim biciu.

A wrzeczona warczały i nici biegły, biegły.

Wtem zaskrzypiały wrota i przed okienkiem przesunęła się fura siana.

Najstarszy chłopiec oczy wzniosł i wyseplenił:

-- Matczyna przyjechał!

-- Moje dzieciątko! Jaki ty rozumny! -- zaśmiała się baba, porywając się z miejsca.

Wyskoczyła na podwórze witać, a potem wróciła krzątając się około wieczerzy.

Zapachniała babom kapusta z olejem, kartofle z makiem, aż spluwały z łakomstwa.

Wreszcie Kalenik wszedł, oczu nie podniósł, nikogo nie pozdrowił, siekierę odłożył, czapkę zdjął i na ławie usiadł.

Baby ucichły raptem.

-- Sokoliku! Wieczera twoja stygnie! -- pieszczotliwie ozwała się wdowa.
Nic nie mówiąc, jeść począł.
Ośmieliły się baby i najpierw szmery, potem swobodna gawęda nappełniła izbę.
Chłop jadł i milczał na wszystko.
Gdy skończył, rozebrał się z świt i kozuchów i naprzeciw pieca na ławie usiadł, fajkę kopiąc.
Sylukowa rozplotła i zdjęła mu przemokłe postole.
Nie zdawał się spostrzegać.
Piec zionął na niego żary i blaski, mróz w nim tajał i pozostawiał osłabienie i senność.
Oczy się przymykały, opadała głowa, ale on nie spał.
U nóg jego bawiły się dzieci, te dzieci, które dorósłszy, znowu go wypędzą starego na dziady ze swojej chaty i pola.
On już takie pohodował jedne!
Nie o nich myślał.
Baby mówiły:
-- Chłodno u Makuszanki w chacie i pusto. Nie ma już mocy robić. Łucysine bodnie sprzedaje na chleb, a i Krasie już Żydy targują. Musi ona już postu nie przeżyć!
Dzieci ze swawoli szybki jej potłukły i tak stoją słomą zatkane.
Czy myślał ten milczący o tych czeremchach przy chatynie, o tej złotej kosie, o dumkach, które latem roił?
Płomień o jego schyloną twarz uderzył, ale i on życia nie dopatrywał, ani pamięci.
-- Tatjana dziecka się spodziewa. Rychor Szczerba wczoraj im byka podarował! -- mówiły baby.
I to nie poruszyło chłopca. Odłożył zgasłą fajkę, odrzucił spracowane ręce i mgławce źrenice w ogień wlepił. Sylukowa ozwała się do niego.
-- Idź spać na piec! Zmęczyłeś się!
Ani drgnął. Głowa opadała coraz niżej na piersi, a światło skupiło się na tych jego dłoniach, beczynnie na pół rozwartych.
Czerniała skóra twarda jak podeszwa, widniały guzy, mozoły, szramy.
I oto te jedne dłonie żyły w nim i myślały. Czasem drżenie po nich szło, czasem kurczyły się palce, jakby narzędzie jakie obejmowały: posuwały się tu i tam. Płomienie biegały po nich, więc wyglądały jak krwawe.
I miały te ręce mowę i wyraz, mówiły za usta, za pierś:
-- Spracowane my, starte my, ale zdrowe!
Poszła precz dusza, poszło pomyślenie -- my zostały. Dusza z gorącości wykipiwała, myślenie, jak robak orzech zżarłszy, samo wyszło, a my się ostały biednemu na posiłek, smutnemu na pociechę, sierocie za brata.
Myż tego chłopca karmiciele i jedyne dobre towarzysze, myż jego dumka i marzenie. Na żywot cały my jemu wystarczymy. Nie szkodzi on nas i nie lubi, robotą obciąża i dlatego tylko żyje.
Przez nas jemu ta chata czarna -- dobra, ta dola podła -- nie boli, to życie ciasne -- ciche i spokojne.
Myż jemu za swobodę, za sprawiedliwość, za naukę, za kochanie, za wszystko, co jest na świecie daleko.
Nauczyły my jego wszelkiego zapomnienia, nauczyły my jego -- jego drogi.
Mozoły nasze, guzy, szramy -- to jego myślenie jest jedyne i będzie już, będzie aż do końca.
Płomień przygasł i w mroku siedzącego zostawił.
,Po chwili zdał się tylko plamą szarą, a potem ta plama przybrała kształty jakiegoś narzędzia rolniczego, od którego siłę pociągową odjęto i pozostawiono je w spokoju do świtu.
Spał, twardy, ciężki, wytrzymały, jak maszyna i jak ona bezmyślny i cierpliwy.

Mroki zajęły izbę i chatę. Długa, czarna noc grudniowa nad Hrywdą, owa noc co, zda się, kresu nie ma, ni gwiazd, ni życia, i w której wiele bożych stworzeń zamiera, ciemnią i mrozem pobitych!

koniec